

Krzysztof Turowski

SZUFLADA PEŁNA LUDZI *czyli* **sługa wielkości**

RECENZENT

?

REDAKTOR PROWADZĄCY

Szymon Gumienik

REDAKTOR TECHNICZNY

Mirosław Głodkowski

KOREKTA

Zespół

PROJEKT OKŁADKI

Krzysztof Galus

© Copyright by Wydawnictwo Adam Marszałek

Wszystkie prawa zastrzeżone. Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy.
Żadna jej część nie może być reprodukowana jakimkolwiek sposobem – mechanicznie, elektronicznie,
drogą fotokopii itp. – bez pisemnego zezwolenia wydawcy. Jeśli cytujesz fragmenty tej książki,
nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło

Toruń 2025

ISBN

Wydawnictwo prowadzi sprzedaż wysyłkową:
tel. 56 664 22 35, e-mail: marketing@marszalek.com.pl

Wydawnictwo Adam Marszałek

ul. Lubicka 44, 87-100 Toruń, tel. 56 664 22 35
e-mail: info@marszalek.com.pl, www.marszalek.com.pl
Drukarnia: ul. Warszawska 54, 87-148 Łysomice

Autor składa gorące podziękowanie
Markowi Górskiemu
za bezinteresowną pomoc w wydaniu niniejszej książki
i Basi Tomanik
za wnikliwą korektę redakcyjną

Spis treści

TYTUŁEM WSTĘPU	9
--------------------------	---

ROZDZIAŁ I

TEATR MÓJ WIDZĘ OGROMNY	11
SPOTKANIE I Z MELPOMENĄ	14
SPOTKANIE II KAZIMIERZ DEJMEK	19
SPOTKANIE III BARBARA RACHWAŁSKA	23
SPOTKANIE IV BOHDAN KORZENIEWSKI	26
SPOTKANIE V WOJCIECH MŁYNNARSKI	30
SPOTKANIE VI WOJCIECH PIŁARSKI	33
SPOTKANIE VII ANTONI MAKARSKI	38
SPOTKANIE VIII MACIEJ WOJTYSZKO	44
SPOTKANIE IX JERZY NEUGEBAUER	48
SPOTKANIE X ZYGMUNT LATOSZEWSKI	59

ROZDZIAŁ II

ZACIĄGANIE JĘZYKA	61
SPOTKANIE I WITOLD ŚMIECH	63
SPOTKANIE II KAROL DEJNA	67
SPOTKANIE III STEFANIA SKWARCZYŃSKA	72
SPOTKANIE IV BOLESŁAW LEWICKI	77

ROZDZIAŁ III

SPOTKANIA Z NAUKĄ WSZELKĄ 83

SPOTKANIE I	ANTONINA KŁOSKOWSKA i IJA LAZARI PAWŁOWSKA	83
SPOTKANIE II	JÓZEF SIEROSZEWSKI	89
SPOTKANIE III	JAKUB MOWSZOWICZ	92
SPOTKANIE IV	ZBIGNIEW KUCHOWICZ	96
SPOTKANIE V	JANUSZ SZOSLAND	100
SPOTKANIE VI	OSMAN AHMATOWICZ	104
SPOTKANIE VII	JERZY WERNER	108
SPOTKANIE VIII	MARIAN STEFANOWSKI	112

ROZDZIAŁ IV

GODZINY SZCZEROŚCI 115

GODZINA I	ANDRZEJ SEWERYN (grudzień 1991)	117
GODZINA II	JÓZEF TISCHNER (wiosna 1992)	123
GODZINA III	IGOR ŚMIAŁOWSKI (nagranie 1995)	129
GODZINA IV	JERZY JANICKI (nagranie 1994)	134
GODZINA V	BOHDAN TOMASZEWSKI (nagranie 1994)	139
GODZINA VI	JACEK KACZMARSKI (nagranie wiosna 1993)	144
GODZINA VII	KRZYSZTOF SKUBISZEWSKI (nagranie 1992)	150
GODZINA VIII	WIESŁAW GOŁAS (nagranie 1993)	155
GODZINA IX	EDWARD WENDE (nagranie 1995)	159
GODZINA X	ADAM HANUSZKIEWICZ (nagranie 1995)	163
GODZINA XI	DONALD TUSK (nagranie wiosna 1992)	169
GODZINA XII	GUSTAW HOLOUBEK (nagranie 1993)	174
GODZINA XIII	WŁADYSŁAW BARTOSZEWSKI (nagranie 1993)	180
GODZINA XIV	TADEUSZ DE VIRION (nagranie 1993)	186
GODZINA XV	JACEK KUROŃ (nagranie 1995)	190
GODZINA XVI	JERZY WALDORFF (1995)	194

GODZINA XVII	ALLAN STARSKI (nagranie 1993)	200
GODZINA XVIII	ERNEST BRYLL (nagranie 1995)	204
GODZINA XIX	MICHAŁ BAJOR (nagranie 1996)	212

ROZDZIAŁ V

DWADZIEŚCIA LAT PÓŹNIEJ		217
SPOTKANIE I	ŁUKASZ TURSKI	218
SPOTKANIE II	WOJCIECH NOSZCZYK	226
SPOTKANIE III	PIOTR NOWINA-KONOPKA	238
SPOTKANIE IV	JERZY REGULSKI	249
SPOTKANIE V	JERZY BUZEK	253
SPOTKANIE VI	LESZEK BALCEROWICZ	257
SPOTKANIE VII	HANNA GRONKIEWICZ-WALTZ	261
SPOTKANIE VIII	ZBIGNIEW BUJAK	265
SPOTKANIE IX	WITOLD ORŁOWSKI	268
SPOTKANIE X	WOLNE MEDIA	271

ROZDZIAŁ OSTATNI

SPOTKANIA BARDZIEJ OSOBISTE I ODROBINĘ SENTYMENTALNE		279
SPOTKANIE PO LATACH PRZEMIAN	MAREK GÓRSKI	280
SPOTKANIE W VALDUC	STANISŁAW GROCHOLSKI	286
SPOTKANIE Z ARYSTOKRACJĄ	JADWIGA DRUCKA-LUBECKA	291
SPOTKANIE Z MISTRZEM	WŁODZIMIERZ LUBAŃSKI	297
SPOTKANIE Z PRZYJACIELEM	KRZYSZTOF OPOLSKI	301
SPOTKANIE TROCHĘ SENTYMENTALNE	BOLESŁAW BACHMAN	306
SPOTKANIE NA POŻEGNANIE		311

Tytułem wstępu

W pewnym momencie życia żyjemy przede wszystkim wspomnieniami i coraz częściej zaglądamy w zakamarki naszej szuflady, szuflady pełnej ludzi!!!

Mój dom. Mieszkanie. Pokój. Biurko.

A w nim (pamiętasz?) ta szuflada,

Do której się przez lata składa

Nie używane już portfele,

Wygasłe kwity, wizytówki

Resztki żarówki, ćwierć-ołówki...

Leży tam spinka, fajka, śrubka,

Syndetikonu pusta tubka,

(...)

Brązowe pióro wypalane

Z białym napisem „Zakopane”,

Korbka od czegoś, klucz do czegoś,

Lecz już oboje „do niczegoś” –

Słowem, wiesz, jaka to szuflada...

A gdy jej wnętrze dobrze zbadasz,

Znajdziesz tam małe zasuszone

Serce twe, w gratach zagubione...

Więc nie wyrzucaj nic, nie sprzątaj...

Przyda, nie przyda się – niech leży.

Oszczędzaj graty przy „porządkach”

W takich szufladach i zakątkach,

Boś z każdym cząstkę życia przeżył

I trwasz, nie wiedząc, z tą starzyzną...

Julian Tuwim „Kwiaty polskie” (fragment)

Nie wiem, czy w dzisiejszym rozpędzonym świecie, w pogoni za zyskiem i sławą, często iluzoryczną, znajdzie się czytelnik, którego pomieszczone tu rozmowy zainteresują. Są to rozmowy z ludźmi, którzy w większości dawno odeszli, a nawet gdyby żyli, nie pasowaliby do współczesnego świata.

Byli bowiem ludźmi olbrzymiej wiedzy, niesamowitego szacunku do nauki, do pracy i do ludzi, którzy ich otaczali i którym przekazywali swoją wiedzę i doświadczenie.

Byli uczciwi i wyznawali takie zasady, jak honor, prawda czy życzliwość.

Działali w czasach trudnych, ograniczonych komunistyczną władzą, a mimo to pozostawali wierni sobie i swoim ideałom.

Posiadali godność profesora lub artysty, która nie oznaczała tylko tytułu, ale doskonałość w dziedzinie, którą się zajmowali.

Proponuję więc podróż w czasie, bo może warto poznać wartości, które zaległy gdzieś na dnie szuflady.

Właśnie przeczytałem jednym tchem książkę opartą na autentycznych wydarzeniach – „Światło ukryte w mroku” Sharon Cameron. Świadeństwo niewiarygodnego bohaterstwa dwóch siostr, które podczas wojny ukrywały w Przemyślu trzynastoro Żydów. Czyta się jak pełną pasji historię przygodową z happy endem. Kolejna historia o tragedii żydowskiej. Książka o nadziei, miłości, niebywałej odwadze i wielkiej chęci przeżycia. W tym kontekście nasze codzienne, nawet pandemiczne, problemy wydają się zwykłym przeżębieniem.

W mojej szufladzie ciągle leżą stare wizytówki i stare notesy z adresami. Coś mi wzbrania je wyrzucić. Gdybym je wyrzucił, wyrzuciłbym moją, naszą przeszłość, wyrzuciłbym na śmietnik siebie i pamięć o ludziach, których spotkałem. Było ich setki, tysiące...

Wszystkie wywiady w rozdziałach I–III powstały w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia i były publikowane na antenie Polskiego Radia.

ROZDZIAŁ I

TEATR MÓJ WIDZĘ OGROMNY

*I ciągle widzę ich twarze,
ustawnie w oczy ich patrzę –
ich nie ma – myślę i marzę,
widzę ich w duszy teatrze.*

*Teatr mój widzę ogromny,
wielkie powietrzne przestrzenie,
ludzie je pełnią i cienie,
ja jestem grze ich przytomny.*

Stanisław Wyspiański „List do Adama Chmiela”

Oglądałem w kinie Muranów na początku 2020 roku przeniesione na ekran przedstawienie z londyńskiego Old Vic. Stary dobry Old Vic, specjalizujący się w repertuarze szekspirowskim, dał tym razem znakomitą sztukę Artura Millera „Wszyscy moi synowie”. To prywatne śledztwo pokolenia, które rozlicza swoich rodziców ze zbrodni popełnionych podczas II wojny światowej. Poszukiwanie odpowiedzi na pytanie, czy zbrodnia może być tłumaczona działaniem dla dobra rodziny. Odpowiedź jest tylko jedna. Nic nie usprawiedliwia zbrodni czy choćby zaniedbania. Kłasyka teatru. Wartka, świetnie zagrana. Poczuję się jak za dawnych lat. Byłem zresztą kiedyś w tym teatrze, chyba na „Hamlecie”.

Teatr był i jest moją pasją. Mama od małego zabierała mnie do teatru, szczególnie do Teatru Powszechnego w Łodzi, gdzie grał mój ojciec Henryk Abbe. I tak zostało.



Henryk Abbe w roli Lejzorka Rojtszwanca, ze zbiorów autora

A i sam grałem w Studenckim Teatrze Satyry „Pstrąg”.



Spektakl STS „Pstrąg”, „Bal”, rok 1966, ze zbiorów autora

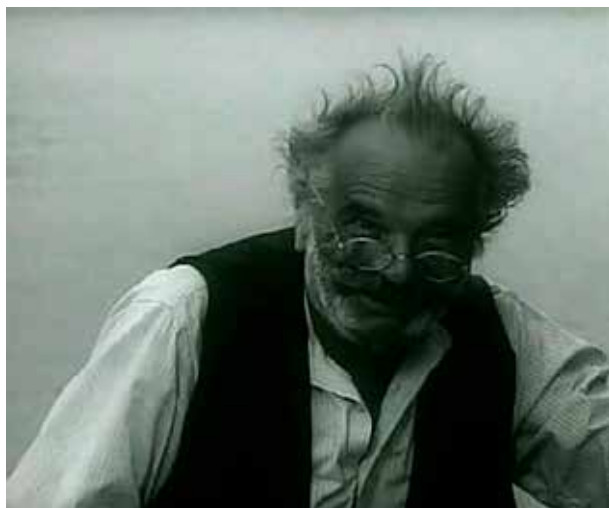
Na studiach polonistycznych jako specjalizację na czwartym roku wybrałem teatrologię pod wodzą jeszcze wówczas docenta Stanisława Kaszyńskiego, zwanego pieszczotliwie „Stasinkiem”.

„Stasinek” zachował się bardzo pięknie w stanie wojennym. Uczestniczył w pomocy internowanym i nie wahał się ze mną spotkać, kiedy wyszedłem z więzienia. Zmarł zresztą niedługo później. Niedawno, zupełnie przypadkowo, odnalazłem jego grób na cmentarzu ewangelickim w Łodzi.

Profesor Stanisław Kaszyński był przede wszystkim historykiem, nie teoretykiem, teatru. Sam stworzył potężne dzieło o historii teatru w Kaliszu i historyków kształcił, a jego najsłynniejszą wychowanką jest pani profesor Hanna Kuligowska. Nic więc dziwnego, że pisząc pracę magisterską u niego właśnie, opracowałem dziewięć lat historii Teatru Miejskiego (obecna nazwa Teatr im. Stefana Jaracza) w Łodzi. Dziewięć lat, kiedy teatrem kierował Kazimierz Wroczyński – człowiek sceny i kabaretu, autor kabaretowych tekstów i sztuk teatralnych.

SPOTKANIE I Z MELPOMENĄ

Gdy kończąc studia, zbierałem materiały do mojej pracy magisterskiej o historii teatru łódzkiego za dyrekcji Kazimierza Wroczyńskiego, wówczas miałem niebywałe szczęście poznać i móc rozmawiać z wieloma wielkimi polskiej sceny: z Władysławem Hańcą i Barbarą Ludwiżanką, z Henrykiem Szletyńskim, Ottonem Axerem, Władysławem Krasnowieckim, Aleksandrem Foglem, ale przede wszystkim z Jackiem Woszczerowiczem. Boże, cóż to był za aktor. Nie przestawał nim być nawet w prywatnej rozmowie. On gadał i opowiadał, spacerował i siadał, i oczy mu płonęły, a ja słuchałem jak zaczarowany.



Jacek Woszczerowicz w filmie „Jak zdobyć pieniądze, kobietę i sławę” w reżyserii Janusza Kondratiuka, ze zbiorów autora

Czy romantyzm jest jeszcze dziś komuś potrzebny, w dobie zaawansowanych technologii i tsunami informacji?

Nie wiem!!!

Wiem jednak, że ani teatr, ani dramat, ani wielka poezja nie umrą nigdy, pod warunkiem, że ich przekaz będzie po prostu piękny.

W Teatrze Polskim, dla przykładu, dano właśnie w 2021 roku „Wiśniowy sad” w reżyserii Krystyny Jandy. Świetny!!! Wybitna reżyseria, klasyczna, bogata scenografia i bardzo dobra gra aktorska z Grażyną Barszczewską na czele, ale nie tylko ona. W roli Ani: Dorota Bzdyla, Warii: Dorota Landowska, Leonida Gajewa: Jerzy Schejbal, Jermołaja Łopachina: Szymon Kuśmider, Szarloty Iwanownej: Joanna Trzpiecińska i wreszcie w epizodycznej roli Firsa znakomity Krzysztof Kumor. Cóż za aktorstwo!

W samej sztuce wydobyto to, co najważniejsze: przemijanie. Stare musi odejść. Nasze przywiązania, nasze tradycje przegrywają z nadchodzącymi zmianami. Rzeczywistość zabija stare wartości.

O mojej miłości do teatru mógłbym pisać całe strony, o wypadach do Warszawy na „Kordiana” czy „Balladynę” w reżyserii Hanuszkiewicza, na „Romulusa Wielkiego” Durrenmatta ze Świdorskim do Teatru Dramatycznego, na „Przedwiośnie” w reżyserii Hübnera do Teatru Powszechnego, o emocjach przeżywanych na „Dwóch teatrach” Szaniawskiego w Teatrze Jaracza w Łodzi, na „Moście” tegoż Szaniawskiego z Józefem Pilarskim w Teatrze Nowym, na „Drewnianej misce” Edmunda Morrisa z niezapomnianą kreacją Ludwika Benoit, na „Historii o chwalebnym zmartwychwstaniu Pańskim” w reżyserii Kazimierza Dejmka, na „Grzechu” Żeromskiego z niezapomnianą kreacją Stanisława Łapińskiego, cudownego „Łapy”, na tej premierze... na tamtej...

Największych jednak kreacji i największych wzruszeń dostarczał Teatr Telewizji. Lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte to był szczyt szczytów i nie mogę się oprzeć pokusie, aby wymienić cztery największe – moim zdaniem – dzieła i cztery największe kreacje:

Jacka Woszczerowicza w „Kapitanie z Koepenick” Carla Zuckmayera, Jana Świderskiego w „Niespodziance” Karola Huberta Roztworowskiego (Boże, ta scena, kiedy on pije wódkę w karczmie po zabójstwie własnego syna), Janusza Warneckiego w „Mistrzu” Zdzisława Skowrońskiego – nagroda Prix Italia za najlepsze widowisko telewizyjne – i Adama Hanuszkiewicza oraz Kalinę Jędrusik w „Apollo z Bellaque” Jeana Giraudoux. Bez tych przedstawień historia teatru byłaby znacznie uboższa.

Ale teatr to nie tylko aktorzy, to cały legion ludzi teatru. W Teatrze Miejskim w Łodzi, dla przykładu, przed wojną pracował krawiec „mężczyźniany” – jak sam mawiał – pan Pytel. Miał jedną przypadłość – lubił grać w karty, ale nie przegrywać. Pewnego razu został sromotnie ograny przez aktora nazwiskiem Kieliszczyk. Pod tym pseudonimem krył się znany dramaturg Antoni Cwojdzinski, autor m.in. utworu „Hipnoza”. Po kilku dniach Pytel woła osobiście Kieliszczyka do garderoby na przymiarkę, a trzeba wiedzieć, że takie osobiste zaproszenie należało do rzadkości. Zdziwiony aktor mierzy kostium i ze zdumieniem stwierdza, że strój jest dalece zbyt obszerny. Pozwala sobie zatem na uwagę, że krój jest mało precyzyjny w stosunku do jego postury, a na to Pytel:

– To nie jest strój dla pana, panie Kieliszczyk, to jest strój dla pana Adwentowicza, pan mnie tylko za manekin służysz!

Tak oto Pytel zemścił się za przegraną.

Trafną charakterystykę teatru łódzkiego w owych czasach dał Tadeusz Żeromski w satyrycznym felietonie „Krawiec w teatrze”. Chodziło rzecz jasna o rzeczonego krawca Abrama Pytla.

– *Teatr i jego zagadnienie. Ślicznie. Ale co to właściwie jest teatr?*

– *Ba! Jak dla kogo? Dla ulicznego gapia teatr jest budynkiem, a dla łódzkiego gapia budynkiem obskurnym. Dla przeciętnego łódzkiego widza teatr jest ostatnią deską ratunku na wypadek strajku kinemato-*

grafów. Dla Magistratu teatr jest przybytkiem, od którego, wbrew przysłowiu, głowa boli. Dla dyrektora teatr jest interesem, i to jak twierdzi dyrektor Szyfman, interesem kiepskim.

– A dla publiczności?

– Cóż za dziwne pytanie? Publiczność nie ma o teatrze pojęcia. I Bogu dzięki. Gdyby, broń Boże, publiczność знаła się choć trochę na teatrze, to na 50 procent sztuk nie przychodziłaby ze względu na to co grają, a na drugie 50 procent ze względu na to jak grają.

– Jakiego pan jest zdania o współczesnym teatrze?

– Bujda bałagańska. To ma być kultura świata. Wystawia się Baładynę pana Słowackiego (...) Ja, co akt przebieram każdego w kontusz i alnawiwę, a na sali cztery goście, z tego trzech za kratkami i jeden strażak. No i kto ma się śmiać? Ja wiem? Jakiś jeździł dawnymi czasami z Otełło i Lilką Wenedzią do Będzina, to publika waliła.

– Graliście po żydowsku?

– Jeszcze gorzej, po polsku!

– Czy nie sądzi pan, że niepowodzenie teatru należy przypisać słabemu repertuarowi? Czy nie uważa pan, że należałoby wystawić coś Szekspira?

– Szekspira? Panie Żeromski, czy my jesteśmy tak dobrze z Lojda Drożdżem (Lloyd George), żeby grać angielskie autory. Są nasze polskie sztuki: „Dybuk”, „Uriel Akosta” (...)

– A co pan myśli o stronie dekoracyjnej teatru?

– Szkoda pieniędzy. Jak wystawili tego „Makbeta” Szekspira, to pobudowali schody, mury, filary, a w środku była taka ciemna dziura. W tej dziurze pewno leżeli te pieniądze, cośmy w tę sztukę wpakowali. Za dużo koszty...

– A co pan myśli o materiale aktorskim w łódzkim teatrze?

– Owszem, materiał jest. Można z tego wykrajać parę aktorzy. Są parę ofiary światowe i parę szlachciców. Czasami się z którym pokłóć. Raz krajałem dla jednego garnitur z jego materiału, ten przychodzi

i krzyczy – Panie Pytel, co mi pan do cholery tyle materiału psuje? To ja go mówię: – A jak pan, panie kochany, tyle literatury dramatycznej w życiu napsuł, to ja pana nic nie mówię!

– Czy nie obawia się pan o przyszłe losy teatru?

– Już się idę bać... Nie takie jak my się bali i też ich cholera trafiła.

Tadeusz Żeromski, „Krawiec w Teatrze”, „Ilustrowana Republika.

Dodatek Literacko-Naukowy” 1926, nr 355

Szczególne miejsce w historii moich spotkań zajmuje Teatr Nowy w Łodzi. Jest tylko rok młodszy ode mnie. Stworzyli go młodzi twórcy, w duchu tworzącej się epoki: Kazimierz Dejmek, Wojciech Pilarski, Antoni Makarski i inni. Zgromadził w większości równie młodych aktorów, którzy później zasłynęli na scenach polskich i na filmowych ekranach. Szybko stał się popularny i szybko też jako duch epoki zaczął przeszkadzać. Mimo iż następowały zmiany reżimu, to i tak prezentacje Teatru Nowego uwierały i łódzką cenzurę, i Komitet Centralny PZPR.

Teatr jednak trwał i płynął przez okres burzy i naporu.

W trzydziestą rocznicę jego istnienia w 1979 roku przeprowadziłem szereg rozmów dla Polskiego Radia w Łodzi.

SPOTKANIE II

KAZIMIERZ DEJMEK

Reżyser teatralny, dyrektor Teatru Nowego w Łodzi, Teatru Narodowego i Teatru Polskiego w Warszawie, autor tak słynnych przedstawień, jak „Historia o chwalebnym zmartwychwstaniu Pańskim” czy „Dziady” zdjęte przez cenzurę w 1968 roku.



Kazimierz Dejmek, fot. Jerzy Neugebauer, ze zbiorów autora

KT: Panie Dyrektorze, przed chwilą miałem możliwość obejrzenia przedstawienia, które uświetniło jubileusz trzydziestolecia Teatru Nowego, przedstawienia „Bogusławski” Wincentego Rapackiego w reżyserii Wojciecha Pilarskiego. Dość rzadko udziela pan wywiadów, dość rzadko występuje pan publicznie, dlatego pozwolę sobie zapytać, jakie jest pańskie pojęcie teatru, pańskie spojrzenie na teatr?

Kazimierz Dejmek: Odpowiedź na to pytanie musiałaby wykroczyć poza ramy naszej krótkiej rozmowy, gdyby się chciało omówić rzecz wyczerpująco. Trzeba by pewnie, mówiąc między nami, ze dwa tomy napisać.

Ale w skrócie moje spojrzenie na teatr. Ja przynależę, ja sam siebie zaliczam i myślę, że moi wrogowie i nieprzyjaciele chętnie przyznają mi rację, już nie do konserwatystów, ale wręcz reakcjonistów teatralnych. Po prostu jestem zwolennikiem i wyznawcą teatru realistycznego. Prawdopodobnie wynika to stąd, to kalectwo duchowe czy psychiczne, że przez wiele lat uprawiałem aktorstwo. Jednocześnie byłem dyrektorem teatru, a więc urzędnikiem i reżyserem, organizatorem pracy zespołu artystycznego i wielu innych zespołów. Ja uważam się w dalszym ciągu jedynie i wyłącznie za aktora. Aktor dopóki będzie miał dwie nogi i dwie ręce, jedną twarz, jest zdefiniowany, zdefiniowany realistycznie.

KT: Czy to wszystko nie jest po prostu dobrym rzemiosłem?

KD: Teatr sztuką bywa. Oczywiście, aby robić dobry teatr, tworzyć dobry teatr, konieczne jest perfekcyjne opanowanie rzemiosł teatralnych, kunsztów teatralnych. Zresztą, jak w każdej dziedzinie sztuki, to są elementarne sprawy.

Dopiero po perfekcyjnym opanowaniu, ciągłym utrzymywaniu w jak najlepszym stanie umiejętności rzemieślniczych, można zacząć mówić o możliwościach tworzenia pewnych faktów estetycznych o walorach mniej czy bardziej artystycznych. Zatem do zrobienia dobrego teatru nie wystarczy tylko rzemiosło. To znaczy rzemiosło plus

coś jeszcze. Przykładem niech będzie Rubinstein, Richter czy inni wirtuozi. To jest perfekcyjne rzemiosło plus coś tam jeszcze, a co to jest jeszcze, no to Bóg jeden wie.

KT: W pańskim teatrze owo rzemiosło wyraża się – moim zdaniem – poprzez szacunek dla literatury i swego rodzaju prostotę bez zbędnych środków nadscenicznych.

KD: Pan chyba się myli. Mój stosunek do literatury wynika z innych powodów niż rzemieślniczy. To jest kwestia światopoglądu artystycznego. Ja, w przeciwieństwie do wielu moich kolegów reżyserów, którzy się uważają za stwórców teatralnych i powołują do życia z niebytu fakty, tworzą teatralne światy jak bogowie, ja się za stwórcę teatralnego nie uważam. Uważam się, będąc reżyserem, za interpretatora dzieła poety teatru, a więc za interpretatora dramatu, i cała reszta jest konsekwencją tego mojego poglądu.

Myślę, że gdyby w języku polskim reżysera nazywać inaczej, interpretatorem, to może ten termin wprowadziłby pewną jasność w to straszne zamieszanie estetyczno-społeczne. Zamieszanie, które upoważnia byle pętaczną teatralną do demolowania Ajschylosa, Mickiewicza, Szekspira itd.

KT: Czy z sentymentem wspomina pan pierwsze przedstawienia na deskach tej sceny?

KT: Pewnie, że z sentymentem. Wynika to choćby z faktu, że pierwsze przedstawienia związane były z moimi młodymi latami. Każdy z nas z pewnym rozrzewnieniem, po pięćdziesiątce, wspomina swoje początki i nie pamięta złego. Takie jest prawo ludzkiej pamięci. Miło wspominać pierwszy dwunastoletni okres.

Teatr rozwijał się dzięki nam, a myśmy się rozwijali dzięki teatrowi. Wyzbywaliśmy się młodzięńczych naiwności, młodzięńczych głupot. Dojrzewialiśmy. Zresztą życie nie szczędziło nam nauk. Nie ze wszystkich wyciągaliśmy zapewne właściwe wnioski. Ale jakieś tam wyciągnęliśmy i dzięki temu, myślę, Teatr Nowy jednak w tej swojej

trzydziestoletniej wędrowce chyba się rozwinął i chyba nadal się rozwija.

KT: Czego życzyć w dniu jubileuszu?

KD: Stare teatralne porzekadło i stary teatralny przesąd nakazują życzyć złamania nogi.

KT: Tego życzę.

SPOTKANIE III

BARBARA RACHWALSKA

Aktorka scen polskich, filmu, telewizji i radia. Grała najdłużej w Teatrze Nowym w Łodzi, ale również w Teatrze Narodowym, Ateneum, Teatrze na Woli.



Barbara Rachwalska, fot. Jerzy Neugebauer, ze zbiorów autora

KT: Pani Basiu, wróciła pani do Łodzi, do Teatru Nowego po paru latach spędzonych w stolicy, a kiedy pani rozpoczęła przygodę z teatrem?

Barbara Rachwańska: O dawno, dawno temu. W 1945 roku, w Łodzi właśnie, w Teatrze Wojska Polskiego. Najpierw u dyrektora Władysława Krasnowieckiego, a potem u Leona Schillera.

KT: A jak pani trafiła do Teatru Nowego?

BR: Należałam do grupy młodych aktorów, którzy ten teatr tworzyli. Kiedy dyrektor Schiller przenosił się do Warszawy, to części kolegów zaproponował wyjazd razem z nim. Mnie nie zaproponował. Natomiast otrzymałam propozycję od dyrektora Melera przejścia do Krasnowieckiego, do Teatru Narodowego. W tym samym czasie dostaliśmy Teatr Nowy, bo Erwin Axer też odjeżdżał do Warszawy. Wtedy się nazywał jeszcze Teatr Kameralny na ulicy Daszyńskiego. I tak zostałam w Nowym.

KT: Pani największe kreacje?

BR: O Boże! Straszne pytanie. Ja tylko mogę powiedzieć, co mnie sprawiało największą przyjemność i do czego jestem najbardziej przywiązana. To „Henryk VI na łowach” Wojciecha Bogusławskiego, w Teatrze Nowym, w reżyserii dyrektora Dejmka. Było bardzo piękne przedstawienie i piękna muzyka Tomasza Kiesewettera. Miałam bardzo dobrych partnerów i powstało bardzo urodziwe przedstawienie. A poza tym? Chyba pierwsza rola w Warszawie, Wasyliś w „Na dnie” Gorkiego. Bardzo się tej roli bałam, ale jakoś się udało. Zawsze mi wychodziło to, czego się najbardziej bałam. Na przykład bardzo się bałam „Żywota Józefa”. Uważałam, że powierzona rola jest absolutnie nie dla mnie, a w efekcie, jeżdżąc z tym przedstawieniem, zobaczyłam kawałek świata.

KT: Najczęściej gra pani role „dobrych kobiet”...

BR: O nie! Wcale nie!

KT: Ale takich wiejskich kobiet...

BR: Wiejskich tak. Dobrodusznych, ale czy dobrych? Ja się boję tych dobrych. Ja się wstydzę tych dobrych...

KT: Ale takie też istnieją, podobno?

BR: Na pewno istnieją... Na przykład w „Łaźni” Majkowskiego grałam Polę, żonę towarzysza Pobiedonosikowa i nienawidziłam jej. Była mi bliska w życiu i ja się tego wstydziłam. Natomiast najbardziej lubię to, co jest mi odległe.

KT: Czy jednak w rolach wiejskich kobiet czuje się pani dobrze?

BR: Tak. Teraz mam serię dozorczyń. W ostatnim przedstawieniu, „Awaria” Haliny Dobrowolskiej, w reżyserii Dejmka, gram dozorczynię, przepraszam, gospodynię bloku, a w filmie grałam okropną dozorczynię, taką, co to krzyczy na dzieci, goni je. Dzieci się boją i śnią im się jako Baba Jaga, ale to bardzo lubiłam. To siedzi we mnie. Ukryte, ale wychodzi.

SPOTKANIE IV

BOHDAN KORZENIEWSKI

Reżyser, krytyk i historyk teatru, tłumacz, pisarz i pedagog.



Bohdan Korzeniewski i Antoni Makarski, ze zbiorów Teresy Makarskiej

Bohdan Korzeniewski: Na początku, po wojnie, był okres mądrego kierownictwa politycznego. Rząd rozumiał, że jeśli nie zmobilizuje Polaków, i to różnych przekonań, to zuboży bardzo kraj, którego nie stać na nowe ubytki.

Starano się bardziej przekonywać niż straszyć. Starano się pozyskać wszystkich. Odnoszono się do różnej naszej przeszłości politycznej w sposób pobłażliwy. Dopóki nie doszły do głosu elementy kariero-

wiczowskie, które zaczęły pozbywać się prawdziwych albo rzekomych konkurentów przez wyostrenie sytuacji politycznej.

Te początki były też niezmiernie twórcze i ciekawe, ale jak wiadomo, teatr poetycki w Łodzi skończył żałośnie już nie za Krasnowieckiego, ale za Schillera oskarżany o Bóg wie jakie zamiary polityczne, których nie żywił. Walczył jedynie o wolność sztuki, do której wróciliśmy. Ale proszę pamiętać, że wówczas to się dopiero szykowało w gronie tzw. formalistów. Zapanował okres socrealizmu i na kilka lat wyniszczył teatr polski.

Przez pewien czas pan Sokorski, który był głównym twórcą socrealizmu, wynalazł sobie trzech „formalistów”: Wiercińskiego, Horzycę i mnie. Tym dwóm z czasem odpuścił, ale mnie atakował na różnych zjazdach.

– Przepraszam – powiedział kiedyś – że ja tak pana atakuję, ale muszę mieć przeciwnika.

– Doskonale rozumiem – odparłem – ale ja też traktuję pana jak przeciwnika i nie wiadomo, kto komu robi przykrość.

Zdarzało się, że ja Sokorskiemu robiłem większą niż on mnie.

W Teatrze Polskim w Warszawie projektowaliśmy wystawienie „Nie-Boskiej komedii” z dekoracjami pięknymi Pronaszki, ale kiedy objął dyрекcję pan Balicki, z tego nie tylko zrezygnował, ale przedstawił to tak wobec czynników politycznych, iż uznano wystawienie „Nie-boskiej komedii” za rzecz niepożądaną.

Wówczas Dejmek z właściwą mu walecznością zapytał, czy mógłby wystawić tę sztukę w Łodzi. Wam wolno – powiedziano. Dejmek jeszcze wówczas nie był w zatargach z władzami.

Ważnym dowodem przyjęcia pierwszego po wojnie wystawienia „Nie-boskiej komedii” było to, że przyjechała na ostatnią rozmowę przed puszczaniem bardzo duża delegacja polityczna z Warszawy. Nie tylko minister kultury i sztuki, ale również przedstawiciele Biura Politycznego.



„Nie-Boska komedia”, 19 czerwca 1959 roku – Teatr Nowy w Łodzi,
fot. Andrzej Brustman, ze zbiorów Teatru Nowego

Prowadziliśmy bardzo otwartą dyskusję, dlaczego w mojej interpretacji akcja dzieje się niemal współcześnie. Dlaczego – pytano – nie jest to umieszczone w przeszłości, tak jak to pisał Krasiński po buncie tkaczy lyońskich?

Dlatego – odpowiadałem – że moim obowiązkiem jest występować o szlachetność, prawomyślność, godność ludzką zawsze i ja występuję przeciwko nadużyciom władzy, która dzisiaj rządzi.

Dyskusja została ostatecznie rozstrzygnięta przez Tatarkównę, która siedziała obok mnie, trzymała mnie za rękę i mówiła: panie profesorze, niech się pan nie unosi (wówczas I sekretarza Komitetu Łódzkiego PZPR).

Po pierwszej w nocy, kiedy byliśmy śmiertelnie zmęczeni, wstała i powiedziała:

– Towarzysze pozwolą, że ja to sama z profesorem załatwię!

Olbrzymia ulga, wszyscy wyszli, a ona do mnie:

– Pan zrobi dla mnie jedną rzecz...

Scenę widm Orcia powtórzyłem w scenie widm Pankracego. Epokę Hrabiego oskarżało się o gwałty, o nadużycia, o zbrodnie. Więźniowie byli przykuci do murów, w kajdanach... W mojej interpretacji to samo było w wizji Pankracego.

...chcę, żeby tkaczka łódzka wprowadziła „Nie-boską” na scenę, ale niech pan usunie tekst w scenie z Pankracym.

– Ja to zrobię dla pani, odparłem, ale zwracam uwagę, że to bez tekstu będzie jeszcze groźniejsze.

– Tak, ale to zupełnie wystarczy, żebym mogła powiedzieć towarzyszom, że pan ustąpił.

Takeśmy zrobili i „Nie-boska” poszła, co zawdzięczamy Michalinie Tatarkównie. Wspominam to ze wzruszeniem i z wdzięcznością dla tej kobiety.

SPOTKANIE V

WOJCIECH MŁYNARSKI

Wybitny autor setek piosenek i ballad, programów telewizyjnych i radiowych, spektakli teatralnych, mistrz polskiego słowa.



Wojciech Młynarski, ze zbiorów autora

W Teatrze Nowym odbyło się setne przedstawienie sztuki „Cień” w reżyserii Kazimierza Dejmka, autorstwa Wojciecha Młynarskiego, na podstawie sztuki Jewgienija Szwarca. Studenci łódzcy przyznali nagrodę za najlepsze przedstawienie roku, co zostało przyjęte gromkimi brawami. Jak to jest możliwe, żeby baśń szła aż sto razy?

Wojciech Młynarski: To jest formuła teatru popularnego dla widza od siedmiu do siedemdziesięciu lat. Jeżeli ten teatr jest dobrze odbierany, to znaczy, że udało mi się wspólnie z kompozytorem Maćkiem Małeckim utrafić. To jest rodzaj teatru magicznego, który wciąga, który wprowadza w pozornie nierealną rzeczywistość i potem się okazuje, że z tego wynika ogólniejsza prawda. Dla każdego inna.

KT: W uzasadnieniu nagrody pisano:

Najnowszym dziełem Wojciecha Młynarskiego jest tekst przedstawienia „Cień”, określonego w podtytule, jako „bajka muzyczna dla dorosłych”. Jest to pełna napięcia rzecz o człowieku występującym samotnie przeciwko otaczającemu złu, rzecz o przepięknej odwadze, o szlachetności jednych i podłości innych ludzi, o krzywdzie i upartym dążeniu do sprawiedliwości. W „Cieniu” Młynarskiego kryje się cień tak samo zatytułowanych utworów Eugeniusza Szwarca i... J. Ch. Andersena, ale jest to ten sam temat, ujęty w zupełnie innej, trudnej do określenia, nowej formie teatru muzycznego.

KT: Czy ma pan swojego Cienia?

WM: Każdy ma. Pan by chciał rozmawiać pół żartem, a jestem seriozny. Piękne i wspaniałe w tej bajce jest to, że w prosty i klarowny sposób podana jest dialektyczna prawda o człowieku i o świecie. Cała recepcja „Cienia” w Łodzi świadczy o tym, że teatr muzyczny jest teatrem wielkiej szansy. Warto kusić się o to, żeby tworzyć kadrę aktorską i realizacyjną dla potrzeb takiego teatru. To jest teatr piekielnie nośny, szalenie pojemny.

KT: Taki teatr musi się składać z dobrej muzyki, ale i z dobrego tekstu, którego w tej sztuce jest bardzo dużo.

WM: Tak, zgadzam się. Ja rozmawiam z panem o teatrze rozumnym, teatrze mądrym, a jednocześnie popartym muzyką, która niesie te

sprawy w sposób zupełnie inny, obiektywizuje je. Stwarza to wspaniałe porozumienie z widownią. To jest doceniane na całym świecie. Na przykład „Kabaret”, który teraz się znalazł w kinie, ale w teatrze to jest potęga. Szansą tego teatru są spektakle współczesne trafiające w samo sedno.

SPOTKANIE VI
WOJCIECH PILARSKI



Wojciech Pilarski, fot. Jerzy Neugebauer

Aktor teatralny i filmowy, reżyser, współtwórca Teatru Nowego, a po odejściu Kazimierza Dejmka dyrektor tego teatru.



KT: 12 listopada 1949 roku odbyła się polska premiera „Brygady szlifierza Karahana” Vaszka Kani. Było to przedstawienie przełomowe: inauguracja łódzkiej sceny, a zarazem wprowadzenie do polskiego teatru sztuki socrealistycznej, mającej podpatrywać życie robotników i ukazywać je na scenie. Autorami ówczesnej inscenizacji i jej opracowania dramaturgicznego byli zbuntowani uczniowie Leona Schillera, aktywnie walczący o nową prawdę w teatrze: Janusz Warmiński i późniejszy dyrektor tej sceny – Kazimierz Dejmek.

Wojciech Piłarski: Łza się w oku kręci... Tyle lat...

To była sztuka, która była wyznaniem naszej wiary artystycznej. To była sztuka, która wprowadziła w życie nasz memoriał grupy młodych aktorów. To była praktyczna realizacja tego, cośmy teoretycznie zapisywali w listach do widzowi.

Były tam takie stwierdzenia, że będziemy teatrem walczącym o nową rzeczywistość, będzie się przeciwstawiał starym obyczajom teatralnym, będzie wprowadzał na scenę nowe wartości i nowe treści, będzie pokazywał nowych ludzi, będzie starał się dobierać repertuar w ten sposób, ażeby pokazywał sprawy wówczas najbardziej istotne.

Groziliśmy nawet widzowi, że nie będziemy szli na żadne układy, będziemy bezkompromisowi, będziemy przeciwstawiać się widzowi, jeżeli gust publiczności nie będzie odpowiadał naszym założeniom ideowym i politycznym.

Na pewno do dzisiejszego dnia część z tych założeń w nas tkwi w naszym teatrze, co zresztą go odróżnia od innych. Teatr wojujący, stale znajdujący coś nowego, coś aktualnego, z czym walczy.

KT: Walka z widzem została chyba wygrana?

WP: Czy do końca? Nie wiem. To sprawa dyskusyjna. Walczyliśmy o widza robotniczego. Teatr na początku był dla robotnika i o robotniku...

KT: Do Teatru Nowego widzowie przychodzili i przychodzą.

WP: Tak, przychodzą. W dalszym ciągu jest teatrem politycznym, teatrem walczącym, teatrem, który bulwersuje... W naszym teatrze, jak w życiu, przechodziliśmy różne fazy. Od pełnego zaangażowania się bezkrytycznego w pewne sprawy polityczne... Byliśmy młodzi, do pewnych rzeczy podchodziliśmy bezkrytycznie na początku. Potem przyszła faza, gdy na pewne sprawy zaczęliśmy patrzeć innym okiem. Pojawiła się jakaś ironia, pojawił się krytycyzm, pojawił się stosunek bardziej dojrzały. To, co wydawało nam się wspaniałe i jednolite, nagle zaczęło nam pokazywać jakieś pęknięcia, jakieś rysy, że trzeba do tego podchodzić w sposób bardziej rozsądny i chłostać biczem satyry.

I „Łaźnia” była pierwszą sztuką, która pokazała trochę inne oblicze teatru. Zagrana na pięciolecie naszej działalności. Niemniej istniało zaangażowanie polityczne, w tym samym nurcie, tylko bardziej dojrzałe.

KT: Były też grane utwory klasyczne, ale inaczej odczytane.

WP: Wszystkie utwory odczytuje się inaczej, ale czasami popełnialiśmy błędy. Na przykład przy wystawieniu „Horsztyńskiego” Słowackiego byliśmy bardziej papiescy niż sam papież i chyba utwór był źle zinterpretowany. Była to pozycja ciekawa i rzetelnie zrobiona, jak wszystkie sztuki przez nas wystawiane. Naprawdę. Nie było żadnego blefu, żadnego szamaństwa, które często w teatrze zastępuje prawdziwą sztukę. Druga połowa lat pięćdziesiątych w życiu teatru to „Święto Winkelrida” Jerzego Andrzejewskiego i Jerzego Zagórskiego, „Historia o chwalebnym zmartwychwstaniu Pańskim”, „Nie-boska komedia”...

Grałem w niej Pankracego. Bohdan Korzeniewski wniósł do naszego teatru to, czego może nam brakowało... inne spojrzenie. Uzupełnił swoim bardziej ironicznym spojrzeniem na życie. Czy to „Don Juan” Moliera, czy „Sprawa” Suchowo-Kobyłina, czy „Szkoła żon” również Moliera, że o „Świętoszku” nie wspomnę. Wniósł pewną lekkość do naszego poważnego spojrzenia na sprawy polityczne i inne. On nas zeuropeizował. W pewnym momencie pasją Dejmkę stała się staropolszczyzna. Wprowadził na scenę takie dzieła, jak: „Historia o chwalebnym zmartwychwstaniu Pańskim”, „Żywot Józefa”, „Dialogus de Passione”. Przyswojono publiczności teksty zapomniane, teksty, które kiedyś Schiller próbował pokazywać, ale Dejmek zrobił więcej.

KT: Byłem na setnym przedstawieniu „Cienia” Szwarcza w przeróbce Wojciecha Młynarskiego i entuzjazm widowni był taki sam, jak to wielokrotnie bywało. Wspomniana walka z widzami została wygrana.

WP: To wyróżnia Teatr Nowy. To polityczne zaangażowanie. Większość sztuk granych w tym teatrze to pozycje niosące w sobie jakieś

wartości polityczne. Czy to „Fryderyk Wielki” Nowaczyńskiego, czy nawet „Dialogus de Passione”, czy właśnie „Cień”, czy wiele, wiele innych... One wszystkie poza chęcią zabawienia widza jeszcze pragną przekazać wartościowe treści związane ze współczesnością, z życiem. To jest specyfiką naszego teatru.

Sztuką jest wyszukiwanie pozycji ciekawych, które leżały kilkanaście, czy kilkaset lat i dopiero nowy nurt je odkrył. Poezja na małej scenie to ciąg propagujący naszą polską sztukę.



„Wielki Fryderyk”, 13 lutego 1977 roku, reżyseria Kazimierz Dejmek,
na zdjęciu: Piotr Krukowski, Barbara Dziekan, Teresa Makarska,
Marek Barbasiewicz, fot. Jerzy Neugebauer

SPOTKANIE VII

ANTONI MAKARSKI

Na małej scenie Teatru Nowego spektakl „Dziewięćdziesiąty trzeci” Stanisławy Przybyszewskiej. W roli Modon – Teresa Makarska, partnerująca Januszowi Kubickiemu.

Na widowni jej ojciec Antoni Makarski, wieloletni dyrektor administracyjny Teatru Nowego.

Antoni Makarski: Odmawiałem, jak mogłem, żeby nie szła w ślady ojca. Trzeba przyznać, że aktor to nie jest człowiek normalny, że aktor gra nie tylko na scenie, ale i w życiu, i to gra zapamiętałe, niezależnie od tego, czy zdaje sobie sprawę, czy nie, to już jest we krwi.



Teresa Makarska z Leonem Niemczykiem w sztuce „Wkrótce nadejdą bracia” Janusza Krasińskiego, Teatr Powszechny w Łodzi, 1973 rok, ze zbiorów Teresy Makarskiej

Wywodzę się z Litwy, gimnazjum ukończyłem w Kownie w 1923 roku i już w gimnazjum grywałem w amatorskich, polskich zespołach. Moja matka na widowni niedowierzała, że to jej Anteczek. Miałem sukcesy, ale bardzo nikłe i bardzo dawne.



Antoni Makarski,
ze zbiorów Teresy Makarskiej

Urodziłem się podczas wojny rosyjsko-japońskiej. Jak przez mgłę pamiętam eszelony wojska zdążające na wschód po klęskę pod Cuszimą. Wojna przewija się przez moje życie stale. Gdy miałem dziesięć lat, to akurat wybuchła I wojna światowa. Przeżyłem jeszcze jedną, polsko-bolszewicką. I ostatnią – II wojnę światową.

W 1923 roku, po maturze, przyjechałem do Polski i już w Polsce zostałem. Skończyłem Instytut Handlowy i jako ekonomista pracowałem w radio toruńskim. Przed samą wojną przeniósłem się do Łodzi. Przyjechałem akurat, kiedy powstała nowa rozgłośnia Polskiego Radia, bo poprzednio była w okolicach rzeźni. W maju 1939 roku została przeniesiona na Narutowicza, a w czerwcu powołano mnie na ćwiczenia

wojskowe. Wróciłem w połowie sierpnia, a 24 otrzymałem powołanie mobilizacyjne. Podczas wojny brałem udział jako oficer zwiadowczy baterii 20 Dywizji Piechoty w obronie Mławy. Stamtąd nasza dywizja, unikając okrążenia przez czołgi Guderiana, przeszła marszem do Warszawy. 8 września byliśmy już w Warszawie, otoczeni przez hitlerowców. Moja bateria stała na Wybrzeżu Kościuszkowskim i ostrzeliwała Wał Miedzeszyński, szturmowany przez Niemców. 27 września, tak jak większość moich dzielnych kolegów, poszliśmy do niewoli. Byłem w obozie Woldenberg, oflag II C (dzisiaj wieś Dobiegniew w woj. lubuskim). Organizowaliśmy tam i teatry amatorskie, i biblioteki, zawody sportowe i próby ucieczki, udane i nieudane. I głód, i brak papierosów, i brak wiadomości. Fatalna choroba „drutowa”, czyli rzucanie się na druty i narażanie się na śmierć lub, jak kto woli, dobrowolne wyzwolenie. Zostaliśmy wyzwoleni 21 stycznia 1945 roku. W zwartym szyku poszliśmy na wschód i dotarliśmy do Łodzi. Wróciłem do mieszkania sprzed wojny. Zaczepiłem się w Teatrze Kameralnym, gdzie byłem kierownikiem administracyjno-gospodarczym. A kiedy w 1949 roku Erwin Axer przeniósł Teatr Kameralny do Warszawy, gdzie powstał Teatr Współczesny, ja objąłem to samo stanowisko w łódzkim Teatrze Nowym, tworzonemu przez grupy młodych ludzi teatru.

Z Panam Antonim spotkałem się po raz pierwszy w kwietniu lub maju 1949 roku – wspominał Kazimierz Dejmek. – Wydał mi się człowiekiem poważnym, zrównoważonym i szczerym. Oczy miał dobre, łagodne i wesołe. Chwilami przyciemniała je nieufność, chwilami błyskała w nich kpina. Więc kiedy tak, gdzieś tam w głębi duszy, podrwiwał sobie z moich wiar, zapałów i projektów, irytowałem się trochę, bo ulatniała się wtedy moja pewność siebie.

I tak to już pozostało między nami, zawsze pan Antoni popatrywał sobie na mnie od czasu do czasu i tak właśnie skłaniał do przyjrzenia się samemu sobie i swoim zamiarom.



Kazimierz Dejmek, Jadwiga Zrobek, inspicjentka,
i Antoni Makarski, ze zbiorów Teresy Makarskiej

Taka to moja droga do teatru. Trochę banalna, szara. Trudno jest sięgnąć wstecz i zobaczyć siebie jako skrobipiórka, który przeżywał wszystkie niewykonania planów, nieudane przedstawienia, brak widowni...

Teatr Nowy jako zespół, łącznie z administracją najniższego szczebla, ze sprzątaczkami, praczkami, maszynistami, stolarzami, układał się towarzysko wyjątkowo przyjemnie. Nie było różnicy między zespołem artystycznym a administracyjno-technicznym. Niestety dzisiaj się zarysowały wyraźne różnice we współżyciu, w objawach koleżeństwa. Za moich czasów, kiedy zachodziła potrzeba, wszyscy pracowaliśmy fizycznie przy montowaniu dekoracji.

Początkowo nie było w ogóle dyrekcji. Było kierownictwo kolegium. Ministerstwo powołało Teatr Nowy do życia, powierzając kierownictwo kolegium składającemu się z Dejmka, Warmińskiego, Makarskiego i Merunowicza. Dopiero w 1951 roku powołany został teatr państwowy, przedtem był tylko subsydiowany, dyrektorem został Dejmek, a ja wicedyrektorem.

Imieniny, urodziny, chrzciny czy wesela pracowników teatru były świętem ogólnym całego zespołu.

Dzisiaj świat idzie zbyt szybko naprzód i zbyt szybko żąda przywilejów, jakie tylko mogą być. Każdy mówi, że jest najważniejszy, i każdy mówi, że bez niego teatr nie będzie istniał.

Bronię się przed zgrzybiałym starcem. Mam już 76 lat. Zbliża się koniec kariery życia.

I Dejmek też się zmienił i wszystko się zmienia, ale pozostała tęsknota do tamtych czasów, do czasów rodzinnych, rodzinnych stosunków.



Teresa Makarska „Plac św. Włodzimierza” Ludmiły Razumowskiej,
Teatr Nowy, 2006 rok, ze zbiorów Teresy Makarskiej

Poza tym pan Antoni był bardzo mądrym człowiekiem – twierdził Kazimierz Dejmek. – Mądra była jego dobroć i mądra była jego miłość dla ludzi i dla teatru. O nas, którzyśmy ten nasz wymarzony Teatr Nowy budowali, można przeczytać, jeśli wola, w paru książkach, w setkach artykułów i recenzji, gdzieś nas tam za coś nagradzano, fotografowano, oklaskiwano. Antoniego nikt nie filmował i nie wywoływał na scenę. Nie był bowiem osobą publiczną. Prawdopodobnie wszystko w naturze ma swoje miejsce i swój sens. Pewnie też i paw, i mrówka. Coraz więcej pawich ogonów, coraz mniej śladu mrówek. Co to się dzieje, Antoni?

SPOTKANIE VIII

MACIEJ WOJTYSZKO

Reżyser teatralny, filmowy i telewizyjny, pisarz, autor sztuk, komiksów i filmów animowanych; w sezonie 1990/1991 dyrektor artystyczny Teatru Powszechnego w Warszawie, a od 2018 do 2020 roku – Teatru Nowego im. Kazimierza Dejmka w Łodzi.



Maciej Wojtyszko, ze zbiorów autora

Maciej Wojtyszko: Pierwsze spotkanie z Kazimierzem Dejmkiem miałem już jako szesnastolatek. Wszedłem na most portalowy w Teatrze Polskim w Warszawie, w białej koszuli, podczas próby i w tym momencie padły z ust dyrektora Dejmka mocno niecenzuralne słowa o tym „palancie”, który władował się nieproszony w białej koszuli na scenę...

Uświadomiło mi to na całe życie, że scena to takie miejsce, w którym każdy punkt jest widoczny i może odwrócić uwagę. To bardzo ważne.

Poza tym dwukrotnie byłem zapraszany przez dyrektora do współpracy w Teatrze Polskim, ale nic z tego nie wyszło. Rozmowa wyglądała mniej więcej tak:

Dejmek – Co by pan mógł dla mnie zrobić?

Ja – Nic!

Dejmek – Dlaczego?

Ja – Bo pan dyrektor robi tak dobrze, że ja bym się bał.

Dejmek – Patrzcie go! Znalazła się, kurwa, sierotka Marysia!

Potem były przymiarki do wystawienia „Ostatnich dni” Bułhakowa. Zgadzałem się, że to dobra sztuka o Puszkynie, lepsza od „Maskarady” Iwaszkiewicza, ale ja się nie zgłaszałem, a Dejmek mnie nie szukał. Myślę jednak, że w naszych relacjach były cienie wzajemnej sympatii.

Mnie się z dyrektorem dobrze rozmawiało, albowiem jego diagnozy wzbudzały szacunek. Mawiał na przykład o pewnym aktorze: „Nawet gdyby się uchlał, to i tak będzie hrabią”. Bywał w tych opiniach czasami okrutny, ale zawsze celny.

KT: Co wyróżniało twórczość, reżyserię Dejmkę?

MW: Myślę, że Dejmek odrobił lekcję z Brechta. Zaczynał co prawda od hołdów dla teatru radzieckiego czy jak kto woli – prawdy scenicznej, ale był jednym z pierwszych, który zrozumiał, że w teatrze można demonstrować. To znaczy, że aktor może wyjść i powiedzieć – patrzcie, teraz gram Józefa albo gram anioła. I pokazać to. Wówczas nie było to takie oczywiste, bo brechtowska teoria grania obok postaci nie zawsze się sprawdza i w Polsce nie zawsze była lubiana. To wsiadanie w rolę i wysiadanie z niej nie było jeszcze zbyt popularne. A później stało się techniką popisu aktorskiego. Dejmek zaś tę nowość w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych podchwycił i realizował. Aktorzy z jednej strony grali rolę, a z drugiej didaskalia. Pokazywali, że są w czymś prawdziwym, ale jednocześnie tę prawdę tworzą. Było to odświeżające myślenie o sztuce teatru.

KT: Dejmek nie był łatwy we współżyciu. Jednocześnie gromadził wokół siebie wybitnych aktorów.

MW: Gromadził wokół siebie wybitnych aktorów, ale miał świadomość tego, że nie wszyscy muszą być gwiazdami. Miał swoją hierarchię dotyczącą obsady aktorskiej i nigdy by jej nie wyrzucił. Pewnie dlatego Nina Andrycz mogła przez tyle lat funkcjonować w Teatrze Polskim. Bardzo na nią narzekał, ale jednocześnie uważał, że jedna taaaka aktorka być musi.

KT: W tym przypadku trafiła kosa na kamień?

MW: Tak, tak. Ale mimo trudności charakterologicznych Niny Andrycz nie wyrzucił jej z zespołu.

KT: W Teatrze Nowym, i do tego zmierzam, była plejada, może nie gwiazd – jak pan to określił – ale wyśmienitych aktorów: Barbara Rachwalska i Ludwik Benoit, Józef Pilarski i Urszula Modrzyńska, Mieczysław Voit i Barbara Horawianka, Hanna Bedryńska i Stanisław Łapiński. Lista jest niemal nieskończona...

MW: Dejmek umiał oceniać i doceniać, ale jednocześnie wyznaczał aktorom właściwe miejsce w szyku i na scenie.

KT: Pan dyrektor po – nazwijmy to – rewolucyjnych początkach przeszedł do historii z repertuarem ludycznym, z repertuarem odkrywczym...

MW: Myślę, że wielkość Dejmka polegała na tym, iż on nie wierzył w teorię. Szukał zarówno tekstów, jak i ludzi, aktorów, których wrażliwość zbliżała się do jego wrażliwości. Brał teksty, które czuł, i aktorów, z którymi się dogadywał. Wiedział, że spektakl to jest dzieło, które powstaje w zderzeniu, w budowaniu wzajemnych relacji. Czytał teksty i wybierał te fragmenty, które zabrzmiały i wybrzmiały, a inne, może i piękne lub wyrafinowane, ale niebrzmiające pełną barwą – wyrzucał. W tej pracy był i konsekwentny, i okrutny.

KT: Co, pana zdaniem, zostało z teatru Dejmka?

MW: Nie zawsze jest tak, że pozostają naśladowcy w prostej linii, ale są twórcy w dialogu z nim. Piotr Cieplak też wystawił „Historyję o chwalebny m zmarłych wstaniu Pańskim”, ale już zupełnie inaczej. Pozostało dużo przemyśleń na temat teatru pokazującego metaforę. Pokazywał na przykład figury teatralne pars pro toto, znaki teatralne, poprzez które mógł nawiązać komunikację z widzem. Jego teatr był ascetyczny, ale jednocześnie czytelny w każdej formie wyrazu, nie tylko w tekście, ale również w geście, w ruchu, w scenografii. Ten teatr powraca, choć w różnych przeróbkach. Wówczas w powietrzu unosiła się teoria „nadmarionety”, symbolu wartości duchowych człowieka, wielofunkcyjnego aktora z jedną lub wieloma maskami, do wymiany w toku działań scenicznych, oddającego swój talent w służbę teatru. Teoria owa rozkwitła u Kantora, ale Dejmek również kazał grać w sposób uformowany.

Moim zdaniem pozostał pewien nurt, w którym uważa się, że spektakl jest rozmową przy pomocy znaków teatralnych, figur teatralnych. Może być skromny, ale musi być czytelny. I ważne, aby nie nudził.

KT: Parafrazując Hipokratesa: Primum non nudere – przede wszystkim nie nudzić.

MW: Po pierwsze nie nudzić. Ma być dialog z widzem, a nie – narzucany monolog ze sceny. Dejmek domagał się, aby podczas przedstawień była przerwa, która jest po to, aby widz mógł skorzystać z bufetu i toalety.

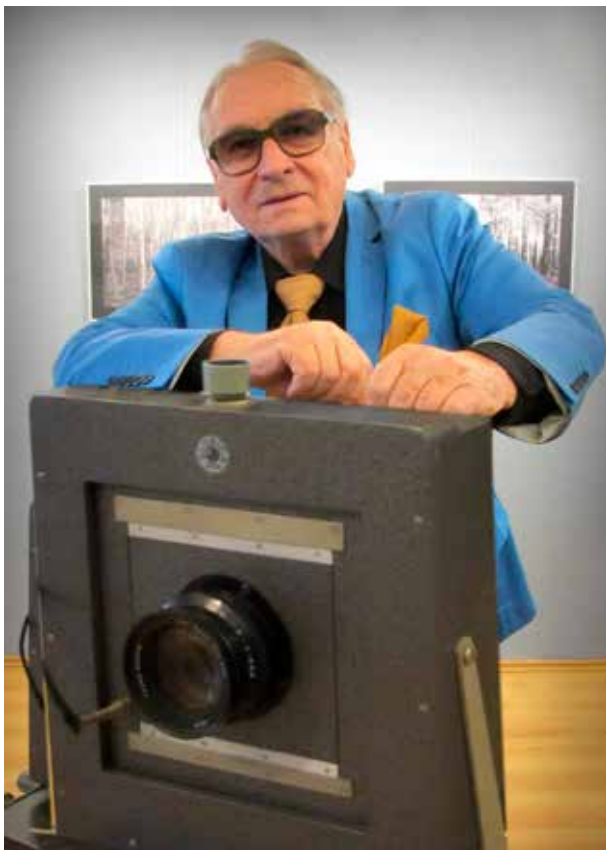
Jego kuchnia teatralna była smaczna, a dania smakowite.

Dejmek wymagał kryształowej dykcji, pięknego śpiewania, dostojnego lub drapieżnego ruchu. Niestety to akurat zostało po części wyparte przez zdobycze techniki, a bełkot pojawia się nawet jako środek wyrazu. Dziś precyzja w deklamowaniu, podawaniu tekstu mogłaby nawet szokować, ale to był Teatr właśnie. Teatr – treść i forma. W przeciwnym razie powstają warsztaty psychoterapeutyczne.

SPOTKANIE IX

JERZY NEUGEBAUER

Wybitny portrecista i fotograf teatralny, ale także dźwiękowiec.



Jerzy Neugebauer, ze zbiorów autora

Współpracował ze wszystkimi teatrami w Łodzi, ale najmilej wspomina współpracę z Kazimierzem Dejmkiem. Nie dziwi więc, że w foyer Teatru Nowego spacerujemy wśród fotografii z przedstawień i portretów aktorów tego teatru.

Jerzy Neugebauer: W 1957 roku zostałem zaangażowany do przedstawienia „Ciemności kryją ziemię” według Jerzego Andrzejewskiego, ale jako akustyk, jako że z wykształcenia jestem akustykiem i pracowałem w Wytwórni Filmów Fabularnych przy udźwiękowianiu filmów. W „Ciemnościach” potrzebny był akustyk, albowiem w spektaklu wykorzystano wiele efektów dźwiękowych. Musiałem być w związku z tym na każdym przedstawieniu i byłem nim prawdziwie zafascynowany. Do tej pory uważam je za jedno z najlepszych pod względem formy. Ekspozycja na tle żelaznej kurtyny, wszystkie stroje czarno-białe, za wyjątkiem biskupa. Publiczność była zaszokowana. To przedstawienie ciągle we mnie tkwi.



„Ciemności kryją ziemię” Jerzego Andrzejewskiego w reżyserii Kazimierza Dejmka, Teatr Nowy w Łodzi, 1957 rok, ze zbiorów autora

Zakochałem się w teatrze Dejmka i ta miłość wywarła duży wpływ na moje życie. Zrezygnowałem z pracy w filmie na rzecz teatru.



Kazimierz Dejmek, fot. Jerzy Neugebauer

To zdjęcie Dejmka wykonałem na korytarzu teatru. To jest takie typowe zdjęcie dyrektora z nieodłącznym papierosem. Natomiast moim ukochanym zdjęciem jest dyrektor uśmiechnięty bez papierosa. (*Zdjęcie zamieszczone wcześniej*).

Zapewne pamięta pan zdjęcie Winstona Churchilla, zawsze z cygarem. Fotograf Yousuf Karsh wyrwał mu cygaro i tak powstało jedyne zdjęcie Churchilla bez cygara. Mnie też się to udało. Na jednym zdjęciu jest dyrektor, a na drugim Kazio, wspaniały, dowcipny, dusza towarzystwa, zupełnie inny człowiek. Ja oczywiście nie wyrывałem papierosa, ale musiałem użyć jakiegoś sprytnego tekstu.

Kazimierz Dejmek prywatnie nigdy nie rozmawiał na temat teatru.

Kazimierz Dejmek

Drogi Panie Jerzy!

Nieśmieszno mi nasze przedostatnie spotkanie z okazji 50-lecia - przede wszystkim dlatego, że wbrew historycznemu wieśmianowi Konwikla Klara - ujmowicie Pana i diarskiej, miodowieniczej, basunator, postaci! Porazdhoście - i oby tak dalej!

Dziś jest najpiękniejszą na lotach wspólną pracę z Nowym; dzięki serdecznemu talentowi ukończył Pan jej śladu słowotwórcy i lepię, owinęli setki artykułów i recenzji.

A na Nowy Rok - najlepsze życzenia i życzenia albo Pana i jego bliskich!
Pozdrawiam - Konwikla Klara

Nie ma aktora, który by usłyszał podziękowanie od dyrektora Dejmka. A do mnie napisał na mój prywatny adres z podziękowaniem za współpracę.



„Garbus” Sławomira Mrożka w reżyserii Kazimierza Dejmka w Teatrze Nowym w Łodzi, 1975 rok, ze zbiorów autora

Scena z „Garbusa”. Jan Kobuszewski na pierwszym planie.



„Hamlet” Williama Szekspira w reżyserii Janusza Warmińskiego w Teatrze Nowym w Łodzi, 1960 rok, ze zbiorów autora

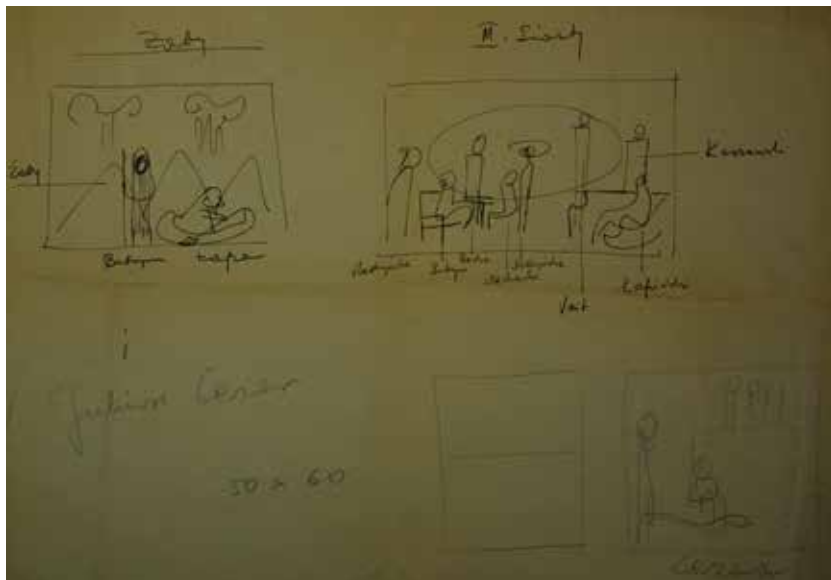
„Hamlet” to jest pierwsze przedstawienie, które fotografowałem. Wojciech Pilarski i Michał Pawlicki, wspaniali. Byłem zaprzyjaźniony z młodszymi aktorami, Pawlickim, Eugeniuszem Kamińskim. To byli normalni kumple.

Natomiast następne przedstawienie, które utkwilo mi w pamięci, to „Trzy siostry”.



„Trzy siostry” Antoniego Czechowa w reżyserii Kazimierza Dejmka w Teatrze Nowym w Łodzi, 1961 rok, ze zbiorów autora

Przed każdym spektaklem, który miałem fotografować odbywałem spotkanie z dyrektorem Dejmkiem, bez względu na to, czy on reżyserował, czy ktoś inny. Krótko wyjaśniał, na czym mu zależy. Żaden dyrektor, żaden reżyser tak nie pilnował, nikomu nie zależało tak na zdjęciach jak Dejmкови. Właściwie mogę powiedzieć, że dyrektor uczył mnie fotografowania teatru.



Zbiorowa scena ujęta na fotografii została uprzednio rozrysowana przez dyrektora Dejmka. Wezwał mnie do siebie i przekazał osiem kartek z jego uwagami, jakie ustawienia, gdzie aparat powinien być...



„Cięć” Wojciecha Młynarskiego w reżyserii Kazimierza Dejmka w Teatrze Nowym w Łodzi, 1977 rok, ze zbiorów autora

Tu też cudowne wspomnienia ze spektaklu „Cień” Wojtka Młynarskiego. O to zdjęcie zahaczył mnie dyrektor. Szachy były ponad półmetrowe. Zrobiłem zdjęcie z pierwszego rzędu i szachy wyszły większe od aktorów. Dejmek na to:

– Dlaczego mi pan pionki fotografuje?

A ja odparłem, że taki jest widok z fotela reżysera.

– No dobrze, niech będzie...

To jedyne zdjęcie, do którego miał uwagę...



Ludwik Benoit – na pierwszym planie, ze zbiorów autora

Benoit, następny po Sławku Voicie, cudowny facet. Benoit był od Spatifu, a Sławek od Malinowej (*nazwy restauracji w Łodzi*). Nie miałem daleko od jednego do drugiego.

Kiedyś Benoit poprosił:

– Jurek, zrób mi takie zdjęcie, żebym się sobie podobał.

Zadanie było trudne do wykonania, ale w końcu zrobiłem.



Ludwik Benoit, fot. Jerzy Neugebauer

Zaprosił mnie do Spatifu i... och... tak mi dziękował, że przez trzy dni miałem kaca. Wtedy człowiek był dla człowieka przyjazny. Przecież to byli wielcy aktorzy, ja zwykły dźwiękowiec, a zaakceptowany przez cały zespół. I czułem się tu naprawdę świetnie.



Hanna Bedryńska – na pierwszym planie, ze zbiorów autora

Wspaniała Hanna Bedryńska. To zdjęcie było wielokrotnie publikowane. Było to świetne przedstawienie w reżyserii Konrada Łaszewskiego.

Moja współpraca z Teatrem Nowym skończyła się z odejściem dyrektora Dejmkę. Zostałem zaproszony na pięćdziesięciolecie, odznaczony... Są to dla mnie bardzo miłe wspomnienia. Mam nadzieję, że coś z tego pozostanie w pamięci i na zdjęciach.

Pracowałem jeszcze w wielu teatrach, ale nie było tej atmosfery. Niemal nie ma tematu, którego bym nie fotografował, balet, moda, zdjęcia reklamowe i niezapomniane zdjęcia Artura Rubinsteina.

Ale teatr to teatr. Miałem wzbogacone życie dzięki teatrowi.



Józef Pilarski, fot. Jerzy Neugebauer



Zbigniew Józefowicz, fot. Jerzy Neugebauer

SPOTKANIE X

ZYGMUNT LATOSZEWSKI

Dyrygent, dyrektor i kierownik artystyczny teatrów: Opera Warszawska, Opera i Filharmonia Bałtycka, jak również Opera Łódzka, reżyser, pedagog, muzykolog.



Zygmunt Latoszewski,
ze zbiorów autora

Profesora Latoszewskiego spotkałem przed kolejną premierą w Teatrze Wielkim w Łodzi, kiedy przygotowywał się do poprowadzenia zza pulpitu dyrygenta „Wesela Figara” Wolfganga Amadeusza Mozarta. **Zygmunt Latoszewski:** Debiutowałem 5 maja 1929 roku, dyrygując koncert symfoniczny w Filharmonii Poznańskiej. I tak praca i dyrygentura niemal codziennie. To są niezliczone ilości koncertów i przedstawień. Miałem sposobność wystawiania, dyrygowania utwo-

rów, które nie były w Polsce znane. Uważam to za moje osiągnięcia, tym bardziej że w sztuce nigdy nic nie powtarza się tak samo. Interesującym jest zatem wystawianie tej samej opery kilkakrotnie, dyrygowanie tej samej symfonii na różne sposoby. Zdarzało mi się to wielokrotnie. Dla przykładu „Straszny dwór” Moniuszki wystawiałem sześciokrotnie. I wówczas ogromną satysfakcję daje dystans do danego utworu i odczytywanie go na nowo.

Nigdy nie myślałem, że będę ciągle pracował w Operze. Moim zamiłowaniem była muzyka symfoniczna, ale bardzo lubiłem dyrygować każdy wartościowy utwór, ot jak chociażby dzisiejszego wieczoru „Wesele Figara” Mozarta, którego bardzo lubię. Jego „Cosi fan tutte” na tutejszej scenie została przyjęta z ogromnym entuzjazmem. Poza tym moją tęsknotą była chęć wystawienia opery „Peleas i Melisanda” Claude’a Debussy’ego, jedynej jego opery, ale nawet wtedy, kiedy sam decydowałem o repertuarze, to nie zdecydowałem się, albowiem to jest wyjątkowo trudne dzieło, dla bardzo wyrafinowanego odbiorcy. Jednak fragmenty tej muzyki są tak przejmująco piękne, że kusi ciągle.

Mój zawód – dyrygentura – wymaga niebywalej aktywności, co może jest też sekretem, że nie odczuwam moich lat i upływającego czasu. Gdy stoję za pulpitem, nie dostrzegam żadnej istotnej różnicy między kiedyś a dzisiaj!

ROZDZIAŁ II

ZACIĄGANIE JĘZYKA

*Polskiemu językowi na czym z rodu zbywa?...
Na literze! To jego strona jest wątpliwa.
Nie na słowie, ni słowa duchowem bogactwie,
Ni jego włóknach srebrnych, raczej na ich tkactwie.
Litera u nas słusznie nie była pojęta,
(Może Achilles winien, lecz to jego pięta)
Litera za rzecz była uważana szkolną,
Kielznającą umyślnie, nie bezwłasnowolną,
I ani jeden głos się nie podniósł z otwartą
Myślą, że ona częścią słowa równie wartą.
Do dziś, zaiste, wyznać trzeba, choć boleśnie:
Późno wychodzi książka, czyn w zamian przedwcześnie.*

Cyprian Kamil Norwid „Rzecz o wolności słowa” (fragment)

W dziewiątej bodaj klasie liceum im. Kopernika w Łodzi, nasza wychowawczyni, profesor Halina Kamińska dała mi na okres z polskiego 2=, głównie za błędy ortograficzne. Moment ten uznaję za przełomowy w mojej sympatii do języków, a do polskiego w szczególności.

Niestety, od wielu lat, szczególnie od kiedy angielski stał się językiem globalnym, zachwaszczanie języka polskiego, błędy w mowie i piśmie stały się czymś powszechnym i powszechnie tolerowanym.

Słynne już „włanczać”, „wziąć”, „dzień dzisiejszy”, „okres czasu” są na porządku dziennym w wypowiedziach polityków, dziennikarzy

stacji radiowych i telewizyjnych, na paskach informacyjnych, w artykułach, w Internecie. Odnoszę wrażenie, że w redakcjach zwolniono już wszystkich korektorów. Tekst napisany w tempie idzie bezpośrednio na stronę. W stacjach radiowych i telewizyjnych zaś nie ma już poradni językowej, w której można było sprawdzić poprawność wymowy nazwiska danego zagranicznego sportowca czy polityka. O braku przecinków wspominać nie warto. Czuję się trochę jak człowiek z ginącego plemienia polonistów. A przecież tak pięknie o nim i w nim pisano i tak pięknie go uczono.

SPOTKANIE I WITOLD ŚMIECH

Polonista i językoznawca, specjalista od współczesnej gramatyki języka polskiego, wieloletni dziekan Wydziału Filologii Uniwersytetu Łódzkiego.



Profesor Witold Śmiech był językoznawcą specjalizującym się w morfologii czasownika, co nie zawężyło jego spojrzenia na polską mowę.

Kiedy byłem na studiach, profesor Śmiech był jeszcze młodszym asystentem – wspomina redaktor Marian Maj (wówczas dziennikarz Radia Łódź, prywatnie ojciec poety Bronisława Maja) – i kiedy po latach spotykam go na Narutowicza z jego małym pinczerkiem, wymieniamy ukłony i wspominamy, ale profesor pozostał dla mnie starszym kolegą ze studiów.

Witold Śmiech: Wspomnieliście o moich spacerach z pinczerkiem. Ja spaceruję już chyba ze dwadzieścia lat. Lubię psy i lubię spacerować. (...)

Urodziłem się w Pabianicach, studiowałam na Uniwersytecie Łódzkim i tu pracuję od dziesiątków lat. Kiedy zaczynałam, wszystko organizowało się od początku. Profesor Ryszard Szyber, który był moim patronem naukowym, przynosił książki z domu, z własnej biblioteki. Nie było też tablicy, więc wypisywał tezy na kartkach i każdy ze studentów po kolei z tej kartki spisywał.

Marian Maj: Zapamiętałem go jako strażnika białych kruków, kilku zdobytych podręczników do nauki języka polskiego, w tym jedyne go w Łodzi podręcznika z tekstami z języka staro-cerkiewno-słowiańskiego. Żeby z niego skorzystać, to przed egzaminem była kolejka, a Witold Śmiech poradził mi, abym go sobie przepisał. Tak uczyniłem i w ten sposób przygotowałem się do późniejszego egzaminu. Czy wygląd profesora, na pierwszy rzut oka, jest zaprzeczeniem jego nazwiska? Nie, nic podobnego, to człowiek o dużym poczuciu humoru, tolerancyjny wobec ludzkich słabostek, bardzo życzliwie nachylony ku ludziom.

WŚ: Starałem się zawsze, aby studenci, którzy często niełatwą drogą dostali się na studia, ukończyli je. Młodzi ludzie czasami skłonni są rezygnować z błahych powodów, a rzeczą starszego człowieka

jest nakłonić ich do zmiany zbyt pochopnie podjętych postanowień. To wynika ze zwykłej życzliwości, jaką młodzieży powinien okazywać wychowawca. Mnie także w pewnych momentach ludzie okazywali życzliwość.

MM: On mnie natchnął wiarą, że gramatyka nie jest taka straszna, że można znaleźć w uczeniu się pewną przyjemność, że jest to potrzebne. Był człowiekiem niesłyszanie życzliwym ludziom, choć na egzaminach był wymagający. Studenci powiadali, że profesor Śmiech to się urodził, żeby być językoznawcą. Taki skupiony, skrupulatny, gotowy do benedyktyńskiej pracy, jakiej wymagają badania językoznawcze.

WŚ: Mam inklinację raczej do ścisłych przedmiotów niż do tych wymagających większej wyobraźni czy uczuć. Jednakże trudno byłoby mi określić, czym jest współczesny język. Są w nim zarówno elementy przyjęte z poprzednich epok, jak i te, które dopiero się rodzą. Traktujemy je z początku jako błędy, ale z czasem stają się językową normą. W każdej epoce ludzie, którzy zawodowo zajmowali się językiem, narzekali na jego upadek. Być może obecnie (w latach siedemdziesiątych XX wieku), w związku z gwałtownym rozwojem życia, wyrażenia, które nie wzbudzają naszego zachwytu, jest więcej. Polega to na błędach w składni. Przejawia się to między innymi w tym, że ludzie przemawiający publicznie używają jakiegoś sztucznego języka, sztamkowego. Język piękny, dobry musi być językiem prostym i naturalnym. Wszelka sztuczność razi. Najprostszym sposobem na wzbogacenie języka jest czytanie dobrej literatury, pisanej dobrym stylem.

*Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa:
A czasem był jak piorun jasny, prędkie,
A czasem smutny jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga nimfy miętki,
A czasem piękny jak aniołów mowa...*

*Aby przeleciał wszystka ducha skrzydłem.
Strofa być winna taktem, nie wędzidłem.*

Juliusz Słowacki „Beniowski” (fragment)

MM: Profesor Śmiech był też zagorzałym kibicem piłkarskim, kibicem ŁKS-u. Nawet chyba przegrałem z nim zakład o paczkę „Sportów”, bo wtedy jeszcze paliłem.

MM: Moja miłość do sportu, do piłki nożnej, do lekkoatletyki pochodzi stąd, że lubię być na świeżym powietrzu, w grupie ludzi, w nastroju zbiorowego dopingu.

Marian Maj: W językoznawstwie trud szperania, dociekliwość może sprawić, że człowiek może oderwać się od rzeczywistości, a profesor Śmiech jest zupełnym zaprzeczeniem jakiegoś kostycznego, suchego językoznawcy. Humanista pełną, często roześmianą... twarzą!

*Trzeba było być duchem, pokorą, i pracą,
I siłą, i nicością – trudem, nie lada co,
Żeby ów polski język nie opłonął naraz,
Lecz, jak twierdza zupełna, jak obronny taras
Ruś, Litwę, Prusy objął. Zarówno w Siewierzu,
Jak w Królewcu wybrzmiewał, albo Sandomierzu,
Gminny, sielski, uczony, kmiecy i królewski,
Ten kasztelański Jana język czarnoleski,
Język, który na sądzie popiołów zawoła:
„Uwity jestem z nerwów skrwawionych anioła
I sądzę was od stopy do włosów, bo jestem
Wszystkich was razem duchem i moralnym chrzestem!”*

Cyprian Kamil Norwid „Rzecz o wolności słowa”

SPOTKANIE II

KAROL DEJNA

Dialektolog, językoznawca, profesor Uniwersytetu Łódzkiego, ale rowód naukowy profesora Karola Dejny wywodzi się ze Lwowa.

W czasie wojny Karol Dejna, wraz z I Armią Wojska Polskiego, dociera do zachodnich granic Polski. Za namową profesora Ryszarda Szybera przyjeżdża do Łodzi i tu pozostaje na Uniwersytecie Łódzkim, zajmując się badaniem gwar, ukraińskiej, śląskiej... W 1954 roku otrzymuje tytuł profesora.

Karol Dejna: Immatrykulacja na Uniwersytecie Jana Kazimierza w roku 1930 to było wielkie święto, bo przystępowali do niej wszyscy studenci. W ogromnej auli ozdobionej malowidłami Matejki rektor osobiście każdemu wręczał indeks. Rektorem był wówczas profesor Stanisław Józef Witkowski, polski filolog klasyczny, papirolog, mediewista. Moimi nauczycielami zaś byli: Witold Taszycki – historyk języka polskiego, Henryk Karol Gaertner, a przede wszystkim Juliusz Kleiner i profesor Kazimierz Twardowski, filozof, psycholog i logik, twórca lwowsko-warszawskiej szkoły filozofii. Na wykłady profesora Twardowskiego przychodzili nie tylko studenci, ale również inteligencja lwowska, albowiem to były wykłady na bardzo wysokim poziomie. Jednakowoż najbardziej nas zachwycił Juliusz Kleiner, który był niebywałym mówcą.

Młodzież akademicka nadawała ton szczególnie życiu kulturalnemu tego miasta – wspominał Bolesław Bachman. – Życie studenckie skupiało się w domu studenckim przy ulicy Łozińskiego 7, zwanym popularnie Łozińcem. Cyganeria studencka prowadziła życie... mało uregulowane. Wielu naszych kolegów pracowało bądź to w redakcjach, bądź

podobnych instytucjach, czasami zarabkując. Student miał prawo nie mieć pieniędzy. To było wręcz punktem honoru, ale musiało się mieć moralny obowiązek posiadania dobrego humoru i znajomości odpowiedniego znalezienia się w rozmaitych sytuacjach życiowych.

KD: Życie naukowe i towarzyskie odbywało się w kole polonistów. To właściwie był klub. W wyłożonej tam księdze pamiątkowej wpisywało się i dowcipy, i swoje złote myśli.

Już podczas studiów zainteresowały mnie badania gwarowe. Odbywaliśmy badania na huculszczynie. To była gwara bardzo archaiczna. Miała wiele takich cech, których nawet w języku ukraińskim trudno by szukać. Potem już samodzielnie prowadziłem badania na terenie dawnego województwa tarnopolskiego, w wyniku czego zebrałem materiał, który wydałem już po wojnie pod tytułem „Gwary ukraińskie tarnopolszczyzny”.

Ponieważ dialekty obszaru łódzkiego były już opracowane przez profesora Sztybera, to badałem dialekty w województwie kieleckim, w pięćdziesięciu sześciu wsiach, i wydałem atlas gwarowy tego województwa – sześć tomów, osiemset map.

KT: Katarzyna Zaborowska, znana również jako Kaśka spod Łysicy, była polską poetką ludową, tworzącą w gwarze świętokrzyskiej.

Jej twórczość jest związana z tradycją ludowej pieśni, a szczególnie pieśni religijnej. Kaśka spod Łysicy pozostawiła po sobie wiele wierszy, Oto jeden z nich:

KUKAJ KUKUŁECKO

Kukaj kukułECKO, słuchomy cie wsyscy,

Słyso cie z daleka, ale lepi bliscy.

Kukojze nom jesce, bo tego za mało,

I powiedz nom prowde, jak się z tobom stało.

*Bo legenda mówi, żeś ty z panny młody,
Bo piórka na sobie masz także do mody.
Było ci wesoło z gośćmi przy stole,
Teroz musisz fruwać do lasa bez pole.*

*Po pedlach, po bukach skrzydełkami dmuchać,
Do Świętego Jana bez przystanku kukać.
Biedna kukulecko, jechdeś na pokucie,
Prośże Pana Boga uo downiejsze życie.*

*Powiedz kukulecko, kto ci co w tym winien,
Co cie z panny młody we ptoska zamienił.
I tego nie wiemy, chato cie tak uustrojeł,
By ci było ładnie piórka przyuozdobił.*

*Jechdeś kukuleckom pewnie z woli boży,
To ciebie Pon Jezus głodem nie umorzy.*

Katarzyna Zaborowska, Kaśka spod Łysicy

KD: Gwarę kielecczyzny od Opoczna po Miechów charakteryzuje się między innymi: mazurzeniem, czyli wymową głosek sz, ż (nie rz), cz, dż jako s, z, c, dz: syja, zyto, scotka, copka, cysty, drozdze, i labializacją, czyli poprzedzeniem samogłosek o i u spółgłoską ł: łodyńć łobuzie łod łokna, łoświadczyzny łodrzucone.

KT: W roku 1973 w wydawnictwie Ossolineum wydana została praca profesora Dejny „Dialekty polskie”, uhonorowana wpisem do „Księgi Osiągnięć Nauki Polskiej”.

KD: Praca nad tym trwała bardzo długo. Zaczęło się od tego, że na początku na Uniwersytecie Łódzkim było bardzo mało podręczników. Zrobiłem zatem szesnaście map, na których były najważniejsze cechy dialektalne, które wyróżniają pewne obszary językowe Polski. Wydałyśmy je na powielaczu bez autora, bez tytułu. Ot, takie mapki, które

były potrzebne do nauczania się. Z czasem materiał rozrastał się, a studenci potrzebowali więcej materiałów do nauki. I tak powstała praca „Dialekty polskie”. Tu pomieściliśmy tylko siedemdziesiąt map.

Bolesław Lewicki: *Dejna jest typowym introwertykiem, opanowany, spokojny, ma cechy, które często charakteryzują badaczy nauk ścisłych, biologów, lekarzy, fizyków. Jedna dziedzina, jeden temat pasjonuje ich przez całe życie. Taki też jest Karol Dejna, badacz dialektów. To są badania żmudne, wykreślanie map, praca zbliżona do badań nauk ścisłych. Jest to typ dłubacza, jednocześnie tworzącego znakomite syntezy. On jest jednym z nielicznych, wybitnych słowianoznawców. Przy pozorach introwertycznych jest znakomicie uspołeczniony, długoletni organizator ruchu naukowego w Łódzkim Towarzystwie Naukowym. On nie dyskutuje, on po prostu idzie i robi.*

KD: To wszystko jest kwestią predyspozycji. Nie wiem, czy to gorzej czy lepiej, że jeden Deyna świetnie kopie piłkę, a drugi robi co innego. Ale osiągnięcia Kazimierza Deyny też mnie interesują, wszak jestem humanistą!

Język polski przetrwał w twórczości mistrzów słowa. To była Osiecka, Młynarski, Tuwim, Przybora czy Jonasz Kofta. A za komentarz niech posłuży piękne stwierdzenie „Uśmiechnij się, jutro będzie za późno” i ten wiersz – przestroga Jonasza Kofty „Gdzie nam się śpieszy?”.

*Gdy tak szybko uwierzyłaś moim oczom,
Twe powieki trzepotały, jak motyle
Ja za dwie godziny miałem pociąg
wykupiony raz na zawsze bilet*

*Przyjeżdżamy...
odjeżdżamy...
zostawiamy siebie samych
i nikt nie ma czasu dłużej czekać
Wszyscy mamy jeden czas
europejski jeden czas,
jednakowo wszystkim nam ucieka*

*Gdzie nam się tak bardzo śpieszy
do niezałatwionych spraw.
Do miłości naszych pierwszych
czy do milionowych bram
Po co my się tak śpieszymy
czy się ma zawalić świat?
Przecież wszystko zapomnimy
by pamiętać czasu brak...*

*Nie szukamy tej przyczyny
od dojrzałych naszych lat
Odejdziemy niekochani
bo się wciąż śpieszymy tak...*

SPOTKANIE III

STEFANIA SKWARCZYŃSKA

Niebywalej kultury i erudycji specjalista z teorii literatury, uczennica prof. Romana Ingardena i współpracownica prof. Juliusza Kleintera jako docent na filologii polskiej Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Jeszcze przed wojną rozpoczęła wykłady w Łodzi na Wszechnicy Polskiej. Po wojnie została wykładowcą nowo utworzonego Uniwersytetu Łódzkiego.



Stefania Skwarczyńska,
ze zbiorów autora

Na jej wykłady ściągały tłumy. Potrafiła być surowa i matczyzna jednocześnie. Była z tej starej klasy profesorów, którzy nie potrzebowali robić kariery partyjnej, aby móc kontynuować swe dzieło. Odważna i niezależna, katoliczka i tolerancyjna. Po prostu wielka postać polskiej nauki. Za zaszczyt poczytuję sobie, że zechciała być recenzentem mojej pracy magisterskiej i że oceniła ją na bardzo dobrze.

Rzadko miałem okazję nagrywać wywiad w pokoju przypominającym pracownię, gdzie każde miejsce wykorzystane jest na książki, szpargały, rękopisy, a wszystko to dotyczy teorii literatury i teatru. Tak było właśnie, kiedy miałem możliwość i zaszczyt nagrywania rozmowy dla łódzkiego radia z panią profesor Skwarczyńską. Było to w połowie lat siedemdziesiątych XX wieku.

Stefania Skwarczyńska: Bardzo pięknie scharakteryzował pan mój pokój, w którym jest miejsce na książki i szpargały, ale gdzie trudno czasami odnaleźć to, co aktualnie bym potrzebowała. To przypomina sytuację, wielokrotnie poruszaną we współczesnych dramatach, kiedy to przedmioty zajmują miejsce człowieka, wypychają go, wyobcowują go z jego własnego JA. W moim przypadku daję sobie jeszcze radę z przedmiotami, aczkolwiek z trudnością w kontaktach z – jak pan ślicznie to określił – książkami i szpargałami. Pewnie też dzięki doświadczeniu. Albowiem, jeśli wziąć pod uwagę moją prymicję jako młodziutkiego recenzenta teatralnego jeszcze w Stanisławowie, to już jest pięćdziesięciolecie pracy naukowej dotyczącej teatru i zainteresowań literackich. Z zakresu literatury moją pierwszą publikacją było opracowanie dwóch nieznanych listów Stefana Garczyńskiego, które jako studentka drugiego roku przygotowałam do druku i które ukazały się drukiem w roczniku „Pamiętnika Literackiego” 1924/1925. Garczyński powrócił do łask także za sprawą Adama Hanuszkiewicza, który w 1973 roku wystawił jego „Wacława dzieje” na scenie Teatru Narodowego. Staraniem Hanuszkiewicza nastąpiła też reedycja, po przeszło stu dziesięciu latach owego dzieła nakładem Państwowego

Instytutu Wydawniczego, a spektakl zyskał żywe zainteresowanie krytyków. Siłą rzeczy i ja powróciłam do grzechów młodości i zdobyłam się na studium o Garczyńskim.

KT: Aktorzy mawiają, że jak kogoś raz opęta bakcył teatru, to już go nigdy nie opuści. A kiedy Panią ów bakcył opętał?

SS: Jako bardzo młodziutka studentka, wyszedłszy za męża, musiałam z mężem, który był wojskowym, przenieść się do Stanisławowa, dojeżdżając tylko na wykłady i seminaria do Lwowa. W Stanisławowie wydawana była miejscowa gazeta „Kurier Stanisławowski”, w której na gwałt potrzebny był recenzent. Zaryzykowano zatrudnić moją skromną osobę, która się na tym jeszcze nie znała, ale miała najlepszą wolę niewątpliwie. Pierwsze kontakty z teatrem to były recenzje ze spektakli tamtejszego teatru, a także rozmaitych imprez amatorskich. Pamiętam na przykład przedstawienie w środowisku kolejarskim. I tak mnie ów bakcył teatru i dramatu opętał, że chyba nie było w dwudziestoleciu międzywojennym ważniejszego widowiska teatralnego, niezależnie, w którym mieście, czy to w Warszawie, Lwowie, czy Krakowie, że o innych prowincjonalnych miastach nie wspomnę, którego bym nie widziała na własne oczy. Jeździło się na drugi koniec Polski, żeby oglądać czy to Schillera inscenizację „Dziadów” we Lwowie, czy „Księcia Niezłomnego”, dramat Pedra Calderóna de la Barki z udziałem Juliusza Osterwy, czy też najlepsze osiągnięcia teatralne w Krakowie.

Natomiast zainteresowanie teorią dramatu wyłoniło mi się z moich przemyśleń teoretyka literatury skutkiem tego, że zaczęłam mieć pewne wątpliwości, czy można na równi traktować dramat teatralny z eposem, czy poematem lirycznym. Albowiem ostateczna postać dramatu jest postacią teatralną, widowiskową! Ale te rozważania snułam już po II wojnie światowej.

Przed nią zdobywałam różnorakie doświadczenia. Doktorat uzyskałam, mając niespełna dwadzieścia dwa lata. Było takie prawo w II

Rzeczypospolitej, że wolno było w wyjątkowych wypadkach, za zgodą ministerstwa robić doktorat przed uzyskaniem absolutorium. Z takim zezwoleniem pod koniec ósmego semestru ten doktorat złożyłam. Magisteriów wówczas jeszcze nie było. Było natomiast coś, co nasi studenci uznaliby za ciężką torturę. Mianowicie obowiązywał egzamin nauczycielski, który wolno było zdawać po kilku latach praktyki w szkole, a który składał się z całego szeregu przedmiotów, przede wszystkim trzy zadania klauzurowe, w moim przypadku z literatury polskiej, języka polskiego i z literatury francuskiej. Następnie trzeba było przedstawić pracę dyplomową i zdać dodatkowe egzaminy z filozofii, metodyki i dydaktyki.

Na szczęście praca nauczycielska była moją życiową pasją i do dziś wspominam najczulej lata całe spędzone w szkole średniej. Uczyłam jeszcze za czasów studenckich. Uczyłam w gimnazjach w Stanisławowie, Brześciu nad Bugiem i w Łodzi od 1932 roku. To była naprawdę pasjonująca praca i do dziś z wieloma uczennicami utrzymuję serdeczne kontakty. Uważam, że szkoła średnia jest najwspanialszą placówką, w której można śledzić, jak rozwijają się młode umysły, upodobania czy kultura życia codziennego, życia rodzinnego.

A w Łodzi pozostałam, z wyjątkiem lat wojny, i muszę powiedzieć, że po latach mieszkania w różnych zakątkach dawnej Polski trafiłam na to miejsce i to miasto, to środowisko, o którym mogę powiedzieć, że tylko tu chcę żyć, pracować, tworzyć i umrzeć. Łódź jest moją małą ojczyzną.

Przed wojną nie doceniano niesłychanej chłonności Łodzi, tych wyciągniętych rąk po każde dobre słowo, po odrobinę pracy kulturalnej, po jakikolwiek gest serca. Łódź nazywano „złym miastem”, a ona była bezcenna dla tego, kto chciał dawać, i bardzo się ucieszyłam, kiedy zostałam wezwana jeszcze przez rząd lubelski do powrotu do Łodzi i objęcia Katedry Literatury na tworzącym się Uniwersytecie Łódzkim. Jednocześnie Aleksander Zelwerowicz, do którego żywie kult

nie tylko jako do aktora, ale i człowieka, zaproponował mi wykłady w Wyższej Szkole Teatralnej.

W efekcie miałam bardzo dużo moich absolwentów, moich dzieci. Jak ojciec Wirgiliusz z piosenki, który liczył dzieci swoje, a miał ich wszystkich sto dwadzieścia troje. Ja miałam dużo więcej. Mam satysfakcję, że moi uczniowie, moi synkowie i moje córeczki są dzisiaj pracownikami nauki, wykładowcami na rozmaitych uniwersytetach.

I mój dorobek zawiera tyle pozycji, że sporą pracą jest spisywanie pozycji publikowanych nie tylko w Polsce, ale i za granicą. Najbardziej cenię moje badania nad twórczością Mickiewicza, który jest moją miłością, aczkolwiek Mickiewicz również był umiłowaniem mojego drugiego mistrza, Wilhelma Bruchnalskiego. Czuję się w świecie wielkości romantycznej, jak u siebie. Czuję się z nią niesłychanie związana. Mój mistrz, profesor Juliusz Kleiner, powiedział, że całe życie był sługą wielkości, a myślał wtedy o romantykach. Romantycy są ową wielkością... jeśli do Mickiewicza, Słowackiego dodamy Krasińskiego i Norwida, którego nie śmiem tknąć, tak poraża swoją wielkością jako artysta, jako myśliciel, jako ostrowidz, polityk i patriota.

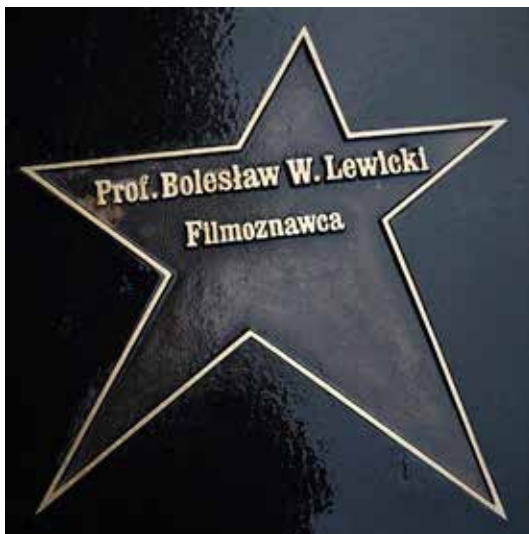
KT: Jak pani, już na emeryturze, znajduje ciągle czas i siły na bogatą twórczość naukową?

SS: Nie wiem!!!

SPOTKANIE IV

BOLESŁAW LEWICKI

Teoretyk filmu, krytyk i pedagog, rektor Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi w latach 1968–1971. W 1959 roku stworzył i prowadził Zakład Wiedzy o Filmie w Katedrze Teorii Literatury na Uniwersytecie Łódzkim.



KT: Panie profesorze, skąd u pana taka lekkość prowadzenia wykładów?

Bolesław Lewicki: Jeżeli mówię dużo, to mówię, stękając, robię często dygresje i nie zawsze wiem, jak wrócić. Mam sobie wiele do zarzucenia, więc nie wiem, czy mówię ze swadą. Myślę, że gdybym był bardziej mrukliwy, to wyszłoby bardziej zdrowo dla moich słuchaczy.

A bierze to się stąd, że jestem, jak wielu pikników – gadatliwy, a poza tym... Jestem z urodzenia lwowiakiem. Lwów to było miasto,

jak je nazywano, polskich Gaskończyków. Tam była pewna lekkość życia, lekki dialog i może to trochę tłumaczy moją lekkość wypowiedzi.

KT: Profesor Bolesław Lewicki był twórcą kierunku studiów na Uniwersytecie Łódzkim zwanego wiedzą o filmie, a także autorem fundamentalnego podręcznika w tej dziedzinie.

BL: Moje życie osobiste i zawodowe było raczej rozrzucone. Przez szereg lat pracowałem w radio jako dziennikarz, uczyłem też w gimnazjum. Ale ciągnęło mnie do nauki, po prostu to lubiłem od czasów studenckich. Jestem rasowym filologiem, a że moje zainteresowania przeszły z książki na ekran, to nie ma znaczenia. Moje gadanie wzięło się z radia. Byłem przekonany, że przez całe życie będę pisał dramaty, nowele i wiersze. Coś tam opublikowałem drukiem, ale fakt, że dzisiaj rozmawiamy na uniwersytecie, jest chyba najlepszym dowodem, że nie byłem najlepszym pisarzem. Wybyłem z działalności literackiej i artystycznej, bo próbowałem też tworzyć w filmie, których mam kilka w dorobku, ale w końcu wylądowałem w pracy naukowej. To chyba normalna droga młodego człowieka. Film podobał mi się jako sztuka, ale zaczął mi się też podobać z naukowego punktu widzenia, a takowego wcześniej nie było.

To się zaczęło jeszcze w latach trzydziestych, kiedy skończyłem studia u profesora Juliusza Kleintera. Nasza grupka: Leopold Blaustein, Zofia Lisa i ja zainteresowaliśmy się filmem na konserwatorium estetycznym. Nasz „motor”, profesor Roman Ingarden, który potem o filmie pisał sporo, nie bardzo był szczęśliwy z tego powodu. Podobnie profesor Kleiner uważał, że się trochę marnuję przy tym filmie, ale był tolerancyjny i pozwalał.

Pamiętajmy, że lata trzydzieste obfitowały już w bardzo poważne studia nad filmem na świecie. To czasy Pudowkina, Eisensteina i Béla Balazsa, który był moim mistrzem naukowym, znakomity teoretyk kina, krytyk i filolog.

A dzisiaj, w latach siedemdziesiątych określenie „filmoznawca” brzmi zbyt obszernie, albowiem doszła telewizja i inne sztuki wizualne.

W filmie pasjonuje mnie struktura, film jako pewna forma komunikacji ogólnoludzkiej, aspekt językoznawczy, aspekt porozumienia słownego i pozasłownego. Pojawienie się filmu, kinematografii było wielkim przełomem w naszej kulturze. Cała długa historia filmu od czasów braci Lumière, przez dzieła najbardziej wybitnych twórców, owocuje w postaci różnych, często bardzo dojrzałych form.

Jednak nie tylko film był w orbicie moich zainteresowań, ale także radio. Rozpoczywałem w lwowskim radio audycją słowno-muzyczną z życia żaków krakowskich „Nad pergaminem i przy dzbanie”, z życia wagantów. Najpierw nadano to na antenie lokalnej, a później ogólnopolskiej, co miało znaczenie dla naszej kieszeni i sławy. Przez pięć, sześć lat byłem następnie bodaj jedynym w Polsce radiowym recenzentem filmowym. Nagrywaliśmy nasze produkcje na specjalnych płytach metalowych, nie na taśmach. Magnetofony jeszcze nie istniały.

Na wiosnę 1939 roku dostałem propozycję etatowej pracy w radio, kierownictwo literackie rozgłośni w Toruniu, która miała dwie podstacje – w Bydgoszczy i w Gdyni. Praca ładna, jeżdżona, ale trochę niebezpieczna, bo trzeba było dawać odpór propagandzie niemieckiej.

Potem wybuch wojny i koniec mojej kariery radiowej, ale dość sensacyjny. Bowiem od 10 września, kiedy to przedarliśmy się do Warszawy, byłem aż do końca w załodze radia na Zielnej. Pamiętam, jak zachrypnięty, nieogolony prezydent Starzyński podtrzymywał na żywo mieszkańców Warszawy na duchu. To niezapomniane przeżycia. A ja? Pracowałem w tak zwanej skrzynce poszukiwania rodzin na placu Dąbrowskiego.

Nadawaliśmy komunikaty w rodzaju: Emilia szuka Jana, Emilia szuka Jana... Oczywiście ślepy by się domyślił, że to były zaszyfrowane komunikaty, a przy tym istotnie szukaliśmy rodzin.

Kiedy po wojnie wróciłem z wojska do kraju, zgłosiłem się do radia, ale skierowano mnie do filmu i tak zostało. Film na Uniwersytecie Łódzkim i prawie ćwierć wieku w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej w Łodzi. Byłem przy jej założeniu. Szkoła bardzo dziwna i bardzo trudna dla wykładowców. Bardzo często siedłem na zajęcia z wielką tremą. Można było być potraktowanym z dezaprobatą, musiano się dbać o studentów. Kiedy byłem rektorem, starałem się, bez powodzenia, zrobić z tej uczelni szkołę rzemiosła filmowego. Bowiem twórczość od radia po film jest pewnym rodzajem rzemiosła, którego trzeba się nauczyć. W tej szkole ta idea nigdy nie była popularna. To zawsze była szkoła wielkich twórców. Dlatego trzy czwarte studentów odpadało, a jedna czwarta wchodziła na Olimp. Jaki ten polski Olimp, jest to inna sprawa, ale niektórzy przedarli się na Olimp europejski, a nawet światowy. Pamiętam tę szkołę zawsze jako kocioł. Tam się zawsze coś działo!

Nie wyobrażałem sobie życia bez pracy, bez pracy naukowej.

Kiedy siedziałem w obozie koncentracyjnym, kiedy już mnie nie dobijali, to nocami, na papierze pakunkowym spisałem zarys teorii filmu. Zacząłem to przy łopacie. Znakomicie się odpoczywa przy łopacie, gdy człowiek przypomni sobie daty, formuły. Świetna forma relaksu. Trzymało mnie to.

Spodziewam się, że moje hobby, moja praca naukowa nadal trzymać mnie będzie.

KT: Profesor Bolesław Lewicki uczył nas subtelności spojrzenia na kino, na film, dlatego nie bawią mnie jedynie zabawy obrazem czy efekty specjalne, dość łatwe do uzyskania w erze komputerowej animacji. Dlatego w mej pamięci pozostają jedynie filmy wartościowe i niestety rzadko nagradzane i nieprzyciągające tłumów, ale za to...!

I dlatego, podczas kolejnej wizyty w 2021 roku w kinie Muranów odnotowałem ku pamięci i potomności wybitny film francuski, oparty na faktach: „Komedianci, debiutanci” („Un Triomphe”). To historia

o gigantycznej pracy, jaką wykonuje aktor ze skazanymi w więzieniu pod Paryżem Fleury-Merogis. W ramach zajęć edukacyjnych przygotowuje z nimi „Czekając na Godota” Samuela Becketta. Przedstawienie staje się sukcesem. Aktorzy – więźniowie ruszają w tournée, ale natura jest silniejsza, przed kolejnym ważnym występem zwiewają. Nie chcą dłużej czekać na Godota. Zrezygnowany aktor wychodzi sam na scenę i opowiada o swoich przeżyciach i doznaniach podczas pracy z więźniami nad sztuką i tak powstał monodram, a następnie film. W roli głównej jak zwykle niezrównany Kad Merad, gwiazda francuskiego kina ostatnich lat, zapamiętany przede wszystkim jako naczelnik poczty w filmie „Jeszcze dalej niż północ” („Bienvenue chez les Ch’tis”).

Takich filmów się nie zapomina, podobnie jak hiszpańskiego obrazu „Mistrzowie” o tym, jak można zaangażować niepełnosprawnych poprzez sportową rywalizację. Tego nie potrafię opisać, to trzeba zobaczyć. Z początku obawiałem się, że będzie to film edukacyjny, jak pomagać innym, a okazał się być opowieścią o przyjaźni i pasji, które połączone dają cudowne rezultaty.

Wielu innych dzieł, które oglądałem w kinach czy teatrach nie zapamiętałem, więc widać nie były znaczące.

ROZDZIAŁ III

SPOTKANIA Z NAUKĄ WSZELKĄ

SPOTKANIE I

ANTONINA KŁOSKOWSKA i IJA LAZARI PAWŁOWSKA

ANTONINA KŁOSKOWSKA – socjolog, profesor Uniwersytetu Łódzkiego oraz Warszawskiego, członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk. Zajmowała się głównie problematyką kultury oraz grup społecznych – szczególnie rodziny. Najważniejsze publikacje to: „Kultura masowa. Krytyka i obrona”, „Socjologia kultury”, „Edukacja kulturalna a egzystencja człowieka”.



Antonina Kłoskowska,
ze zbiorów autora

IJA LAZARI-PAWŁOWSKA – etyk, filozof, autorka prac z metaetyki i etyki współczesnej. Profesor Uniwersytetu Łódzkiego. Twórczyni Katedry Etyki, kontynuatorka prac Tadeusza Kotarbińskiego i Marii Ossowskiej. Była autorką tłumaczonych na wiele języków książek i artykułów o etyce Gandhiego czy filozofii Alberta Schweitzera.



Ija Lazari-Pawłowska, ze zbiorów autora

Antonina Kłoskowska: Usiłowałam prowadzić badania o udziale kobiet w pracy naukowej. Szersze badania na ten temat były prowadzone w Warszawie, ale moje doświadczenia mają charakter indywidualny.

Na poziomie doktoratów na przykład nie widać specjalnych utrudnień i opóźnień w pracy naukowej kobiet w porównaniu z pracą naukową mężczyzn. Owe utrudnienia manifestują się później, pomiędzy doktoratem a habilitacją, i osiągnięcia kobiet charakteryzują się

zwiększonym wysiłkiem, który ma miejsce wtedy, gdy kobieta obciążona jest domem i dziećmi. Obciążenie owo jest bardzo ważną misją społeczną i dostarcza wiele satysfakcji, ale stawia pewne ograniczenia. Ja tego typu obciążeń nie miałam, więc moja sytuacja była zbliżona do pozycji mężczyzny i nie napotkałam trudności w związku z moją płcią, a nawet korzystałam z pewnych przywilejów, które przyznaje się kobietom. Zatem od pierwszego roku moich studiów trafiłam na atmosferę bardzo sprzyjającą rozwojowi młodych pracowników naukowych i nie miałam nigdy kompleksów w odniesieniu do moich szans i możliwości. W rezultacie kolejne stopnie naukowe nie były opóźnione w stosunku do moich kolegów, a może nawet osiągnęte były szybciej. Trzeba też podkreślić, że humanistyka, którą reprezentuję, stwarza jednakowe warunki dla obu płci. Nieco inaczej jest w przypadku nauk ścisłych, ale nie ma żadnych danych czy stwierdzeń, że kobiety mniej nadają się do pracy w tych właśnie dziedzinach. Stwierdza się jednak na ogół, że kobiety posiadają więcej zdolności do nauk humanistycznych, mają więcej sprawności werbalnej, większe bogactwo słów i zdolność operowania słowem.

Ija Lazari-Pawłowska: W Polsce moją dziedziną nauki, czyli etyką, zajmują się kobiety, w przeciwieństwie do krajów Zachodu, gdzie dominują mężczyźni. Nie ja pierwsza i nie ja jedyna. Przypomnijmy panią profesor Marię Ossowską, wielką uczoną światowej sławy. Wbrew temu, co ludzie zazwyczaj kojarzą z etyką, jakieś pouczanie innych o tym, co dobre, a co złe, Ossowska zajmowała się jedynie rzeczową analizą tego, co ludzie faktycznie uważają za dobre i złe, a nie przekazywaniem innym własnego systemu wartości.

Ja natomiast wybrałam się na filozofię w nadziei, że lepiej zrozumieć, jak człowiek powinien żyć, czyli kierowały mną zainteresowania etyczne i trafiłam na Marię Ossowską.

Praca naukowa z reguły wymaga pewnych wyrzeczeń. Trzeba bardzo cenić swój czas i racjonalnie nim gospodarować. W tym zawodzie

niewiele ma się czasu dla przyjaciół i na pozazawodowe udzielanie się ludziom. Nieraz nad tym ubolewam, choć z drugiej strony uważam za swój przywilej życiowy, że w pracy zawodowej mogę zajmować się tym, co mnie interesuje, co mnie pasjonuje. A pasjonuje mnie etyka indyjska i mam wrażenie, że zajmując się tak odległą od nas kulturą, zaczynam coraz wyraźniej dostrzegać pewne rysy charakterystyczne dla naszej kultury. Tak jakbym po dłuższej obserwacji palm dostrzegła nasze brzozy. Zajmowanie się Indiami nie jest więc dla mnie oderwaniem się od nurtujących nas problemów moralnych, ale możliwością dostrzeżenia ich w szerszej perspektywie.

Ostatecznie jest tylko jeden problem zasadniczy – problem godziwego życia. Na ten problem ludzie z różnych kultur znajdują odpowiedzi niekoniecznie przeciwstawne. Ludziom różnych kultur i różnych czasów przyświecały pewne wspólne idee.

Choćby ów tekst buddyjski dotyczący uniwersalnych ludzkich pragnień.

Oby z mej przyczyny nic złego nie spotkało nikogo, a wszyscy, którzy by mnie skrzywdzili, niech oświecenia dostąpią. Obym mógł być pomocą bezbronnych. Obym się stał pochodnią dla tych, którzy szukają światła, przewodnikiem zbłąkanych wędrowców, a służebnikiem wszystkich. Obym był zdolny tak używać swych sił, aby w wieloraki sposób stać się użytecznym.

Odczuwam ten tekst jako naczelne hasła etyki i są mi bardzo bliskie.

Jednakże poza kulturą indyjską zajmuję się pracami Alberta Schweitzera. Latem odwiedziłam jego dom w Alzacji, będący muzeum i archiwum. Jeden pokój to tylko półki z listami. Dwie panie tam pracujące zajmują się porządkowaniem tych listów i dbają, aby idee moralne Schweitzera nie poszły w zapomnienie.

Schweitzer, człowiek bezgranicznie ofiarny z nastawieniem ponadnarodowym i ponadkonfesjonalnym, pragnął działać na rzecz zmniejszenia międzyludzkich antagonizmów. Sądził, że ludzie bardziej skłonni są reprezentować dobroć i ofiarność w młodości niż w późniejszych latach, ale chyba nie miał racji.

Pisał: *Instynktownie broniłem się przed tym, by stać się kimś, kogo zwykło nazwać się dojrzałym człowiekiem. Słowo dojrzały, w odniesieniu do ludzi, miało dla mnie zawsze i ma nadal coś przykrego. Słyszę w nim współbrzmiące w dysonansie słowa: zubożenie, zmarnienie, otępienie. Formą dojrzałości, jaką najczęściej spotykamy u ludzi, jest rozsądek pełen rezygnacji. Jeden zdobywa go, kierując się wzorem drugiego, rezygnując krok po kroku z myśli i przekonań, które były mu drogie w młodości. Wierzył w zwycięstwo prawdy, teraz już nie wierzy, wierzył w ludzi, teraz przestał, wierzył w dobro, przestał, bronił sprawiedliwości, przestał, ufał w moc dobroci i ustępliwości, przestał. Umiał się zachwycać, teraz już nie potrafi. Zmniejszył ciężar swojej łodzi, by łatwiej żeglować przez trudności i burze życia. Wyrzucił dobra, które uznał za zbędne. Była to jednak żywność i była woda na drogę. Teraz łódź lżejsza, ale człowiek bez sił.*

Schweitzer wierzył jednak, że ludzie mogą być inni, i każdy etyk w to wierzy. Nie można być etykiem bez wiary w dobre możliwości człowieka.

Za pendant niech posłuży Młynarski zabawny, Młynarski bezlitosny, Młynarski tęskniący za inteligentnym towarzystwem albo przynajmniej przyzwoitym.

*Rozglądam się po mej Ojczyźnie
i myślę, szczerze zasmucony,
że przydałby się dziś polszczyźnie
Słownik wyrazów zagubionych.*

*Słownik słów niegdyś znanych blisko,
które umknęły nam z języka,
bo nazywają te zjawiska,
których się raczej nie spotyka.*

*Więc gdyby ktoś zapytał mnie,
słów takich wskazałbym obfitość,
a głównie na literę „pe”
niewielkie słowo: „przyzwoitość”.*

*Znaczyło słowo to niemało,
kanaliom krzyżowało szyki,
aż wzięło i wyparowało
z kultury, nauki, polityki.*

*Dlatego warto, by pamięcią
w dość nieodległą przeszłość pobiec,
gdzie na historii znikł zakręcie
tak zwany przyzwoity człowiek.*

*Przypomnieć chcę na parę chwil ja,
jak to ten człowiek w desperacji
swą wiarę w imponderabilia
skrył na wewnętrznej emigracji.*

*Chcę wspomnieć, co ten człowiek kochał,
budząc w cwaniaczkach śmiech i litość,
a wtedy się przypomni trochę
niewielkie słowo – „przyzwoitość”...*

Wojciech Młynarski „Niewielkie słowo »przyzwoitość«”

SPOTKANIE II

JÓZEF SIEROSZEWSKI

Profesor, ginekolog, położnik, absolwent Uniwersytetu Wileńskiego, a po wojnie wieloletni dyrektor Instytutu Ginekologii i Położnictwa Akademii Medycznej w Łodzi.

Prywatnie: przyjął mnie na świat po bardzo ciężkim porodzie. Uratował i mnie, i moją mamę.



Józef Sieroszewski,
ze zbiorów autora

Józef Sieroszewski: Przez ziemie w okolicach Nowogródka, gdzie mieszkalem, przetaczały się działania I wojny światowej i rewolucji. Widziałem dużo dzieci bez matek, bez ojców, które Rosjanie nazywali

„bezprizornyje”. Wydawało się, że tak musi być, ale ja marzyłem, że nadejdzie czas, kiedy państwa i rządy dojdą do wniosku, że tak nie może być.

KT: Nie da się zliczyć, ile dzieci i ile matek zawdzięcza panu życie, ale wiadomo, od kiedy pańska pasja się datuje?

JS: Zacząłem pracować w szpitalu na trzecim roku medycyny, od 1930 roku. Pracowałem bezpłatnie, jako położna. Chciałem się nauczyć wszystkiego od podstaw. Pomagałem odbierać porody w dzień i w nocy. Podobało mi się patrzeć, jak dziecko się rodzi, jak oddycha, jak się rozwija. Jednakże nie zostałem pediatrą, albowiem mnie interesował przebieg ciąży i porodu, powstawanie życia, rozwój życia. Dzięki postępom medycyny, biologii, endokrynologii i genetyki stajemy przed coraz to nowszymi problemami. Oto przykłady z mego życia lekarskiego.

Kiedy zaczynałem moją praktykę lekarską, było wiadomo, że kobieta z gruźlicą płuc nie powinna rodzić, bo dziecko może umrzeć, kobieta z cukrzycą była skazana na niepłodność. Poważne problemy miały kobiety z wrodzonymi wadami serca. Dzisiaj tych problemów już nie ma. Gruźlica w zasadzie nie istnieje, cukrzyca jest leczona od dziecka. Dzięki temu wiele kobiet po prostu może rodzić. Ciągle jednak istnieje pytanie, czy te kobiety będą w stanie psychicznym i fizycznym utrzymać, wychować te dzieci?

Rozum podpowiada często, że w danych warunkach może byłoby lepiej nie rodzić, ale poza rozumem jest jeszcze uczucie. Matka chce mieć dziecko, matka wierzy, że medycyna, że lekarze dadzą jej możliwość urodzić dziecko. I tu jest niemal szekspirowski dylemat, być albo nie być, pozwolić urodzić czy nie pozwolić urodzić? I trudno jest czasami odpowiedzieć dlaczego. Albowiem wbrew naszym niedobrym oczekiwaniom rodzą się dzieci, które z czasem wyrównują początkowe niedobory. I może właśnie narodził się ktoś bardzo zdolny, bardzo dobry. To jest ta radość tworzenia.

Ale wielokrotnie mamy sytuację, kiedy musimy ocenić, czy płód z jakimiś wadami jest do uratowania. Jeśli jest do uratowania, to staramy się, aby także matka przeżyła. Chyba nigdy nie poświęcamy matki dla dziecka. Można i trzeba jednocześnie ratować matkę i dziecko.

KT: A dzieci niechciane? Czy zawsze widzi pan radość na twarzy matki, kiedy urodziła już dziecko?

JS: Powinniśmy dążyć do tego, żeby każda ciąża była chciana, a nie przypadkowa. Wszak to nie prawo biologiczne czy tak zwane boskie decyduje. Jeśli się nie chce mieć dzieci, to należy się zabezpieczyć. Oczywiście nie unikniemy tragedii. Młoda dziewczyna zachodzi w ciążę trochę przypadkowo, na przykład w wyniku gwałtu. Wtedy rozwiązaniem jest aborcja. Jestem jej przeciwny z powodów... biologicznych, bo nigdy nie wiadomo, czy kobieta będzie mogła zająć w ciążę po raz wtóry.

Muszę wyznać, że wiele mam przypadków w mojej długiej praktyce, kiedy udało mi się uratować dzieci niechciane. Żyją, rozwijają się prawidłowo. Ogromna większość kobiet uśmiecha się po porodzie. Zapomina o bólach i mękach i patrzy na to, co urodziła. Również ojcowie, którzy nie chcieli, kiedy zobaczą swoje dziecko, często zmieniają podejście.

Kilka lat temu byłem w domu wczasowym w Karpaczu i podeszła do mnie młoda pani z pięcioletnim dzieckiem...

- Pan mnie nie pamięta, panie profesorze? – spytała.
- Pani wybaczy, ale tyle kobiet widuję codziennie – odparłem.
- Rodziłam u pana w szpitalu, a mój syn, kiedy się urodził, ważył niecałe 900 gramów, a teraz proszę zobaczyć, jak się rozwija.

To nie tylko moja zasługa. Na początku lat sześćdziesiątych udało nam się stworzyć specjalny oddział dla wcześniaków.

KT: Ale radość jest...

JS: Och, ogromna! Radość, że uratowaliśmy kolejne ludzkie życie. Wszak, kto ratuje jedno życie... ratuje cały świat.

SPOTKANIE III

JAKUB MOWSZOWICZ

Botanik, profesor Uniwersytetu Łódzkiego. We wrześniu 1946 roku zainicjował powstanie nowego łódzkiego Ogrodu Botanicznego, którego obecnie jest patronem. Był autorem ponad ośmiuset publikacji dotyczących systematyki roślin, florystyki, historii botaniki, a także kluczy do oznaczania roślin.



Jakub Mowszowicz,
ze zbiorów autora

*A zakwitnie tysiąc róż
I zakwitnie tysiąc malw,
I nie będę miała już
Do ciebie żadnych spraw.
Kwiaty rosną zawsze, wszędzie
Tam, gdzie im najlepiej będzie,
I na bucie, i na głowie,
Jeśli ktoś się kocha w tobie.*

Wanda Warska „Nim zakwitnie tysiąc róż”

KT: Niezwykła pracowitość charakteryzowała tego znakomitego przewodnika po świecie roślin. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, iż pokój służący mu za pracownię tonął w kwiatach. Tonął w książkach.

Jakub Mowszowicz: Dobrze się tu czuję. Książki mi nic złego nie zrobią. Tak mniej więcej są one ułożone. Tu są rośliny lecznicze, tu inne, a kwiatki i rośliny są na balkonie od strony południowej. Tam jest maciejka, petunia i aksamitka. Lubię najbardziej rośliny dziko rosnące. Im poświęciłem prawie całe moje życie i nadal się nimi delectuję. Ich kształtami, kolorystyką, wyjątkową różnobarwnością. Każda odmiana różni się swoim kształtem, swoimi kolorami, kształtami i zapachami. A z kwiatów ogrodowych za jedno z najpiękniejszych uważam róże. Natomiast spośród dziko rosnących lubię bławatki. Mają wyjątkowo piękną rolę, dlatego że zastosowanie znajdują w chorobach oczu, a jednocześnie służą do barwienia win i likierów. Kiedyś pięknie wyglądały nasze pola umajone bławatkami, ale niestety zanikają.

KT: Róże, bławatki, kąkole i rumianki okazały się znakomitą tworzywem naukowym. Spod pióra profesora Mowszowicza wyszło wiele albumów i książek opisujących dziko rosnące rośliny użytkowe; dziko rosnące jesienne pospolite rośliny zielne, wiosenne i letnie; krajowe rośliny trujące, przewodnik do oznaczania drzew i krzewów krajowych

i aklimatyzowanych; przewodnik do oznaczania krajowych roślin trujących i szkodliwych, i krajowych roślin zielarskich, a także opisujące florę regionu łódzkiego i florę Wileńszczyzny, kraju rodzinnego. Do tej ostatniej pracy, rzec by można, że materiał zbierał od dziecka.

JM: Pierwsze zetknięcie z przyrodą było dzięki mojej babci. Babcia bardzo interesowała się ziołami i je zbierała. I razem z nią poznawałem te rośliny. Jedną z pierwszych był glistnik, czyli jaskółcze ziele, żółty kwiat o pomarańczowym soku, ziele lecznicze, ale roślina bardzo trująca, więc, broń Boże, tego soku nie można zażywać. Jedynie przy cierpieniach wątroby czy żołądkowych można je odpowiednio stosować. Doskonały również na kurzajki i brodawki... wystarczy posmarować.

Pierwszy zielnik zrobiłem w gimnazjum i w konsekwencji na studia wybrałem botanikę. Najpierw w Wilnie u profesora Jana Muszyńskiego, a po przyjeździe do Łodzi zajmowałem się już roślinami leczniczymi. Oprócz systematyki interesują mnie również anomalie występujące w świecie roślin i historia polskiej botaniki, i wreszcie rośliny trujące.

Trzeba sobie powiedzieć: albo praca i wyniki, albo... Potrafiłem, kiedy byłem młodszy pracować po szesnaście godzin na dobę, teraz już tylko sześć, ale ciągle czytam, ciągle ubogacam moją wiedzę. Czytam po angielsku, rosyjsku, niemiecku, francusku, znam łacinę, grekę i oczywiście litewski. Praca, w moim przekonaniu, jest największą wartością i największym szczęściem człowieka. Może to brzmi patetycznie, ale nie potrafię tego wyrazić skromniej.

Romuald Olaczek: Profesor Mowszowicz przygotowywał się do wykładu jak biskup do celebry szczególnie uroczystej mszy. Każdy wykład był dla niego autentycznym przeżyciem i my również w tym przeżyciu uczestniczyliśmy. Dlatego my też traktujemy dydaktykę jako nasze powołanie. Nie był nigdy naukowcem zamkniętym w jego gabinecie i w jego własnym świecie. Był w stosunku do nas, asystentów,

wymagający, ale jednocześnie pełen zrozumienia dla sytuacji życiowej każdego z nas. Nikt z nas nie musiał prosić profesora czy przypominać o wystąpieniu z wnioskiem o awans czy stypendium. Potrafił, o ile było to potrzebne, w sposób bardzo dyskretny, zorganizować pomoc dla kogoś z nas, nawet z własnej kieszeni.

KT: Jednym z dzieł, które przyniosło profesorowi popularność, była praca o łódzkich parkach, ich historii i składzie botanicznym.

JM: Musiałem z każdym parkiem zawrzeć osobistą znajomość, być w parku nie raz, a kilkakrotnie. Najciekawszy jest park na Zdrowiu, gdzie występowały jodły, co zdarza się bardzo rzadko. Mamy też rezerwat modrzewia polskiego, rezerwat lipy szerokolistnej, ale... najbardziej lubię park im. Sienkiewicza, który często odwiedzam, oraz park Poniatowskiego, mający bardzo bogate składniki zieleni.

Och, kiedy byłem młodszy, to do parku chodziłem też z asystentkami, ale punktem zainteresowań była przede wszystkim zieleń. Bywało jednak, że do domu wracałem z kwiatami, przynosząc czy to róże, czy piękne polne bukiety. Przecież one są nadzwyczajne, bajecznie kolorowe, pełne kąkoli, chabrow czy leśnych konwalii. Czy może być coś bardziej romantycznego???

Wszak rośliny, w przeciwieństwie do ludzi, krzywdy nie wyrządzają. Nawet trujące, umiejętnie spożytkowane nie szkodzą, a pomagają, leczą.

SPOTKANIE IV

ZBIGNIEW KUCHOWICZ

Profesor Uniwersytetu Łódzkiego. W latach 1981–1984 pełnił funkcję prorektora tej uczelni. Specjalizował się w badaniu kultury staropolskiej. Zwracał uwagę na niedoceniane wówczas w badaniach aspekty życia: zdrowie, wyżywienie, ubranie, erotyzm.

KT: Nie dosyć było na usilności profesora, chcącego dla swojej sławy i zasługi wlać umiejętność tego, co uczył, w uczniów – opisywał Jędrzej Kitowicz w swojej pracy „Opis obyczajów”. – Nie dosyć było przez kary, wyżej opisane, przymusić gnuśnych, ażeby się koniecznie uczyli. Starali się jeszcze po wszystkich szkołach nauczyciele sztucznymi a jak najskuteczniejszymi sposobami zapalić w studentach taką chęć do nauki, która by ich nie dla bojaźni kary, ale dla punktu honoru do onejże pobudzała. Wymyślono tedy emulusów, po polsku zazdrośników, dzieląc całą szkołę na pary, jednego przeciw jednemu, wyrzuciwszy ostatniego, jeżeli nie miał pary, który uniknął emulacji, ale miał za to pilniejsze nad innych na siebie oko profesora. Ci tedy emulusowie przesadzali się we wszystkim jedni nad drugich, a który nad swoim przeciwnikiem bądź w lekcji, bądź w jakim zapytaniu znienacka zadany, bądź w pisaniu okupacji otrzymał górę, za sądem magistra profesora miał wolność karać zwyciężonego przeciwnika; co bardziej gniewało i wstydziło, niż bolało, zatem do oddania za swoje przez przesadzenie w nauce pobudzało.

Po latach dwustu zyskał ten historyk, pamiętnikarz, korespondent polityczny, ksiądz i konfederat barski znakomitego następcę, profesora Zbigniewa Kuchowicza, autora takich dzieł, jak: „Obyczaje staropolskie XVII–XVIII wieku”, ale również „Anegdoty, facecje i sensacje obyczajowe XVII i I-szej poł. XVIII wieku” czy „Miłość staropolska. Wzory, uczuciowość, obyczaje erotyczne XVI–XVIII wieku”.



Zbigniew Kuchowicz: Wydaje mi się, że w naszej historiografii poświęcamy zbyt dużo uwagi historii i stosunkom politycznym, gospodarczym i społecznym, a drugoplanowo traktuje się szeroko pojęte życie codzienne, kulturę materialną, obyczaje i mentalność ludzi, psychologię zbiorową itp. Mnie zaś pociąga ta właśnie dziedzina, bo dotyczy milionów w całym tego słowa znaczeniu. Korzystałem nie tylko z materiałów archiwalnych, ale również z literatury, która właśnie bardzo plastycznie opisywała życie w dawnych wiekach. Od Kochanowskiego poczynając, poprzez Wacława Potockiego, Wespazjana Kochowskiego, wspomnianego Jędrzeja Kitowicza, ale także Ignacego Krasickiego, Stanisława Trembeckiego, Chryzostoma Paska. W ich pracach znajdujemy mnóstwo szczegółów i obrazów charakteryzujących życie codzienne.

Ot choćby nieco erotyczna fraszka Jana z Czarnolasu:

*Nie uciekaj przede mną, dziewko urodziwa,
Z twoją rumianą twarzą moja broda siwa
Zgodzi się znamienicie; patrz, gdy wieniec wiją,
Że pospolicie sadzą przy różej leliją.*

*Nie uciekaj przede mną, dziewko urodziwa,
Serceć jeszcze niestare, chocia broda siwa;
Choć u mnie broda siwa, jeszcze niezganiony,
Czosnek ma głowę białą, a ogon zielony.*

*Nie uciekaj, ma rada; wszak wiesz: im kot starszy,
Tym, pospolicie mówią, ogon jego twarszy;
I dąb, choć mieścy przeschnie, choć list na nim płowy
Przed się stoi potężnie, bo ma korzeń zdrowy.*

Inne, niezwykle cenne źródła, to zielniki czy poradniki medyczne, bardzo popularne w wiekach XVI–XVII. Następnie bardzo również popularna literatura dewocyjna, żywoty świętych, opisy cudów. I wreszcie kalendarze.

W książce „Miłość staropolska. Wzory, uczuciowość, obyczaje erotyczne XVI–XVIII wieku”, starałem się, możliwie jak najwierniej, przedstawić świat dawnych uczuć i wiążących się z nimi działań. W toku narracji próbuję udowodnić dwie tezy:

Po pierwsze, miłość erotyczna odgrywała w życiu ludzi XVI–XVIII wieku większą rolę, niż się na ogół przyjmuje w naszej historiografii.

Po drugie, w konsekwencji różnych uwarunkowań ukształtowała się, różniąca się od zachodniej czy orientalnej, staropolska kultura miłosna, która nie była tak prymitywna czy pruderyjna, jak to się na ogół sądzi.

Dalej kuchnia staropolska. Różniła się wielce. Na przykład nie znano kartofli. Ziemniaki zaczęto rozpowszechniać dopiero w końcu

XVIII wieku. Podobnie popularne dziś używki, kawa czy herbata także pojawiły się w tym wieku w środowisku warstw zamożnych. Nie znano cukru buraczanego, a cukier trzcinowy był bardzo drogi. Natomiast dużo spożywano jarzyn, grochu, kapusty czy kasz jedzonych od średniowiecza. Ponadto spożywano dużo piwa, które pito jak wodę. W sferach zamożniejszych wypijano od pięciuset do siedmiuset litrów rocznie. Dwa litry piwa to była dzienna norma.

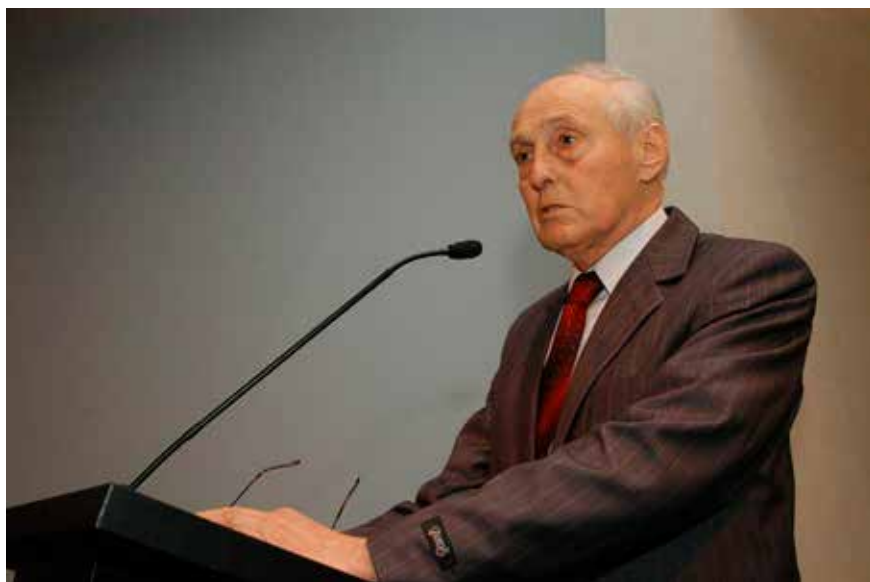
Ten sposób odżywiania miał oczywiście wpływ na stan zdrowia. Sfery biedne często nie dojadły i zdarzały się klęski głodu, podczas których dochodziło do masowych zgonów. Poza tym ubogość potraw prowadziła do chorób dziś niemal zapomnianych, takich jak: krzywica, choroby oczu, wole, szkorbut. Natomiast warstwy zamożne, w wyniku objadania się, zapadały na: miażdżycę, podagrę, dnę moczaniową (artretyzm), zapalną chorobą stawów itp. Jednocześnie bardzo popularne były leki roślinne, ważne i skuteczne. Dzisiejsza medycyna też tego nie kwestionuje i zdecydowanie warto czerpać z ówczesnego bogatego ziołolecznictwa.

I jeszcze jedna uwaga, mimo surowości w wychowaniu dzieci, czy to w szkole, czy w domu, obyczajowość rodzinna nie była pozbawiona rodzinnej serdeczności, która, mam nadzieję, przetrwała i trwać będzie.

SPOTKANIE V

JANUSZ SZOSLAND

Profesor włókiennictwa, długoletni prezes Stowarzyszenia Włókienników Polskich oraz członek Rady Oddziału Polskiej Akademii Nauk w Łodzi. Otrzymał tytuł „Doctor honoris causa” Moskiewskiej Akademii Tekstylnej (1979) oraz Politechniki Łódzkiej (1996). W 1980 roku zorganizował imprezę sportową pod nazwą „Textilcross”, która trwa do dziś i co roku gromadzi na starcie wielu biegaczy. Sam przebiegł ponad dwadzieścia jeden tysięcy kilometrów. Ale... przede wszystkim był wspaniałym człowiekiem i cudownym rozmówcą.



Janusz Szosland, ze zbiorów autora

Janusz Szosland: Tabela, którą się posługuję, jest dla mnie źródłem radości. Kenneth H. Cooper to amerykański lekarz i naukowiec, który opracował test Coopera w latach sześćdziesiątych XX wieku. Jego celem było stworzenie prostego i skutecznego narzędzia do oceny wydolności fizycznej, które mogłoby być stosowane przez osoby indywidualne i ratować nas przed chorobami cywilizacji. Tabele są proste i wskazują, ile się zdobywa punktów po przebiegnięciu pewnego dystansu z określoną prędkością. Jest wyznaczone minimum trzydzieści punktów na tydzień, co oznacza około piętnaście kilometrów. Grupa, w której ja biorę udział, przebiega regularnie tygodniowo od stu dwudziestu do stu pięćdziesięciu kilometrów. Jest to jednocześnie duża oszczędność czasu, bo zabiera w ciągu tygodnia od trzech i pół do czterech godzin.

Indeks Politechniki Łódzkiej otrzymałem z numerem 19. Rozpoczywałem na Wydziale Mechanicznym, ale kiedy dwa lata później powstał Wydział Włókienniczy – przeniósłem się.

Jako łódzianin miałem przekonanie, że włókiennictwo było dziedziną, przed którą otwierały się nowe perspektywy. Włókiennictwo bowiem łączy w sobie elementy techniki z humanizmem.

Kiedy zaczynaliśmy tworzyć kierunek włókienniczy, nie bardzo wiedzieliśmy, jak do tego podejść, a w latach siedemdziesiątych powstały siedemdziesiąt trzy nowe zakłady.

Mnie od dawna interesowała technika pozwalająca na zwiększenie wydajności krosien tkackich. Krosno, które dla wielu jest tylko maszyną, tak naprawdę, z punktu widzenia dynamiki, jest ogromnie złożonym układem. Procesy przebiegają w bardzo krótkim czasie z dużym natężeniem sił. Niewinne czółenko o masie pół kilograma atakuje krosno z częstotliwością czterech herców, siłą rzędu stu kilogramów. Pozostawia się właściwie sprawę regulacji człowiekowi, który do tego nie jest przygotowany i nie jest w stanie wykonać tych funkcji. Badaliśmy

z pozytywnym skutkiem optymalizację pracy krosien, co znalazło zastosowanie w przemyśle.

Jednakże oprócz nowych technologii, wielu książek specjalistycznych pasjonowała mnie praca z młodzieżą. Ja się bardzo zmieniałem. Zaraz po studiach, jak każdy młody człowiek, starałem się być, powiedzmy, groźny. Tym pokrywałem brak jeszcze autorytetu. Z biegiem lat zaczyna się patrzeć na młodzież przez pryzmat własnych dzieci. Stąd rodzi się stosunek w pewnym sensie ojcowski, rodzi się potrzeba ściślejszego związku ze studentami. Mam satysfakcję, że udaje mi się nawiązać bezpośredni kontakt, tak jak każdy ojciec ma radość z kontaktu z dziećmi.

Wydaje mi się, że miałem w życiu doskonałe wzorce. Kiedy rozpoczynałem studia, to moimi profesorami byli: Witold Pogorzelski, Andrzej Sołtan, profesor Osman Achmatowicz i inni. Oni mieli ogromny wpływ na kształtowanie naszych postaw. Jeżeli udało mi się przejąć od nich choć część ich doświadczeń, ich umiejętności i wiedzy, to dziś potrafię dobrze organizować czas pracy, pasji i odpoczynku. A szczególnie uwagę przykładam do poprawności języka polskiego w technice. Chciałbym być rzecznikiem dobrego języka, co łatwym nie jest, ale... jak wspomniałem – włókiennictwo kojarzy technikę z humanizmem. Zaraził mnie tym profesor Marian Chwalibóg. On, mechanik i włókiennik, uczył nas na wartości języka polskiego.

Marian Chwalibóg: Profesor Szosland zaszczyca mnie twierdzeniem, że jest moim uczniem. Uczniem tak, ale w takiej relacji jak Zagłoba i Wołodyjowski. Uczeń przeszedł mistrza. To ja obecnie mogę się uważać za ucznia profesora Szoslanda. On jest niezwykle lojalny i koleżeński. Posiada obydwie te cechy. Niestety, w nauce światowej obserwuje się często chęć pozbawiania współpracowników, ich autorstwa, tej sławy, która powinna im przypadać. Natomiast profesor Szosland postępuje zupełnie odwrotnie. Chętniej przypisuje własne osiągnięcia swoim współpracownikom, niż sobie. Nie podszywa się

pod ich osiągnięcia. To jego kolegów w wysokim stopniu mobilizuje. Każdy wie, że jego osobisty wkład nie zostanie zapomniany, nie zostanie stracony.

JS: Język polski we włókiennictwie kształtowany był przez techników wykształconych w Niemczech, we Francji, w Rosji. Dużo było zatem naleciałości z obcych języków. Próbowaliśmy to uporządkować. Sprawa jest wdzięczna, bo naleciałości zastępujemy polskimi, jędrnymi określeniami. Czerpiemy z bogactwa słownictwa staropolskiego, które w pewnym momencie zostało zagubione. Wracamy doń.

SPOTKANIE VI

OSMAN AHMATOWICZ

Profesor, chemik organik pochodzenia tatarskiego, z książęcego rodu h. Kotwica. W 1920 roku, jako ułan Pułku Tatarskich Ułanów, brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Po wojnie był organizatorem i profesorem Wydziału Chemicznego Politechniki Łódzkiej (1946–1953 – także jej rektorem), następnie profesorem Uniwersytetu Warszawskiego (1953–1969). Od 1945 roku członek Polskiej Akademii Umiejętności, wiceminister szkolnictwa wyższego (1953–1959), dyrektor Instytutu Kultury Polskiej w Londynie (1964–1969).

Jego prace dotyczyły chemii organicznej (alkaloidy, steroidy, sulfony) oraz syntezy chemicznej i fitochemii.



Osman Achmatowicz,
ze zbiorów autora

Osman Achmatowicz: Muszę panu powiedzieć, że naukowo można pracować tylko z młodymi ludźmi. Zawsze stawiałem na młodzież i nigdy się nie oparzyłem. A to już tyle lat. Jeszcze przed wojną byłem dziekanem Wydziału Farmaceutycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Natomiast wojna mnie zastała na mojej rodzinnej Wileńszczyźnie. Mieliśmy tam małą posiadłość ziemską i byliśmy na wakacjach. Zostałem w Wilnie, ale pod koniec wojny, jeszcze przed powstaniem, wyjechałem do Warszawy i włączyłem się w tajne nauczanie, a następnie dołączyłem do rodziny w Częstochowie, także wykładając na tajnych kompletach.

Kiedy wyzwolono Częstochowę, zwrócono się do profesora Bohdana Stefanowskiego, żeby organizował Politechnikę w Łodzi, a profesor do mnie, czy nie pojechałbym z nim do Łodzi. Odparłem, że jestem związany z Uniwersytetem Warszawskim, ale chwilowo Warszawy nie ma, to mogę jechać.

Zostałem zaproszony do objęcia Katedry Chemii Organicznej, a po paru miesiącach zostałem prorektorem. Tak to zostałem wciągnięty w wir organizacyjnej pracy. Nie było lokalizacji, nie było budynków, nie było pieniędzy, nie było na kogo liczyć. Rektor musiał sam wszystko zdobywać, przy mojej skromnej pomocy. Tłum głodnych naukowców pragnących budować, organizować, tworzyć, okrążyć się młodzieżą.

Wielka to zasługa profesora Stefanowskiego. Stworzyliśmy między innymi pierwszy w Polsce Wydział Włókienniczy. Na to sygnął groszem pan Wende, dyrektor Centralnego Zarządu Przemysłu Włókienniczego.

Osobiście odpowiadałem za budownictwo, jeśli to budownictwem można nazwać, całej Politechniki, wszystkich jej wydziałów.

Nie liczyły się godziny pracy, trzeba było wiele od siebie wymagać i trzeba było chcieć. Codziennie byłem na budowie, znałem wszystkich majstrów. Objęliśmy dawną fabrykę bawełnianą Szai Rosenblatta.

A budowała prywatna jeszcze firma Kobylińskiego i Osiakowskiego. Natomiast materiały budowlane musiałem zdobywać, kłaniając się w Ministerstwie Budownictwa.

W końcu udało mi się też uruchomić Katedrę Chemii Organicznej. Moimi asystentami byli studenci, którzy chcieli pracować.

Uchodziłem za takiego, który potrafi krótko trzymać, ale ja krótko trzymałem siebie i od siebie wymagałem dużo. Oczywiście od innych też! To było moje życie.

W badaniach wiązałem się z praktyką i poszukiwałem rozwiązań także w lecnictwie ludowym, a dział, którym się zajmłem, nazywał się fitochemią, czyli chemią związków występujących w świecie roślinnym. Co ten świat może dać – nie wiem. Wiem, jakie rośliny mają działanie, i badałem, jak to w przyszłości wykorzystać.

Różnica między nauką dziś i dawniej polega na tym, że przed wojną wszystko robiliśmy rękoma. Mieliśmy do dyspozycji palnik i termometr, a obecnie, w latach siedemdziesiątych aparatury jest w bród, ale interpretacja pozostaje indywidualna. To, co kiedyś zajmowało rok, dziś bada się w dwa dni.

Moi uczniowie dostali ode mnie pewną szkołę myślenia, pewne oddanie. Moi synowie też są chemikami. Osman junior też jest profesorem, jego żona również. Ich też o ósmej rano nie ma już w domu i wieczorem wracają o ósmej, tak jak ja. Za młodych lat na Uniwersytecie Warszawskim o ósmej już wykładałem. Gdziekolwiek pracowałem, czy to naukowo, czy jako dyplomata w Londynie, dbałem o otoczenie. Dlatego w tamtym czasie doktorat honoris causa Oxfordu dostał profesor Tadeusz Kotarbiński.

Nie uznawałem żadnej łatwizny, żadnych przechwałek, to u mnie nie przechodziło. Każde osiągnięcie, nawet malutkie, musi wnosić coś nowego, oryginalnego. Maksimum wymagań przy należytej skromności.

Uważam, że imienia wielkiego w nauce nie mam, wychowawcą wielkim też się nie mienię, w życiu publicznym również nie byłem figurą, ale zawsze byłem w zgodzie z moim sumieniem, poczuciem własnej godności i... szanowałem ludzi.

SPOTKANIE VII

JERZY WERNER

Konstruktor podwozi samochodowych, współautor samochodu ciężarowego Star 20, profesor Politechniki Łódzkiej, poseł na Sejm PRL IV i V kadencji. Na Politechnice Łódzkiej był kierownikiem Katedry Budowy Samochodów i Ciągników, dyrektorem Instytutu Pojazdów, dziekanem Wydziału Mechanicznego, prorektorem, a w latach 1962–1968 rektorem uczelni. Pełnił funkcję przewodniczącego Rady Naukowej Przemysłowego Instytutu Motoryzacji.



Jerzy Werner, ze zbiorów autora

Profesor Jerzy Lanzendoerfer: Cechą profesora Wernera było właściwe naukowe podejście do rozpatrywania zjawisk związanych z dynamiką samochodu, a jednocześnie ogromna wiedza dotycząca przemysłu samochodowego, przede wszystkim polskiego, zarówno powojennego, jak i przedwojennego.

On nas fascynował. Podchodził do studentów, jak do ludzi o podobnej mu wiedzy. Rozmawiało się z nim po partnersku, co bardzo przybliżało i zdobywało serce studentów. Imponowało mi jego doświadczenie konstrukcyjne.

Jerzy Werner: Kiedy studiowałem na Wydziale Mechanicznym Politechniki Warszawskiej na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych, to przemysłu motoryzacyjnego właściwie w Polsce nie było. Prorowkowano mi, że po studiach powiększę grono bezrobotnych. Jednakże pod koniec studiów przemysł ten zaczął funkcjonować i zostałem skierowany do pracy w Państwowych Zakładach Inżynierii w Warszawie jako konstruktor przy zupełnie nowej polskiej konstrukcji samochodu terenowego Typ 303, z napędem na cztery koła.

Właściwie wszystkie tematy, nad którymi pracujemy w Instytucie Pojazdów, wiążą się z ochroną środowiska. Dość głęboko zajmujemy się problemem hałasu. Badamy przede wszystkim hałaśliwość silnika. Począwszy od wykorzystania paliwa i jego jakości, także hałaśliwość pracy rozrządu, układu korbowego, że o układzie wydechowym nie wspomnę. W porozumieniu z zakładami produkującymi motorowery marki Komar, przeprowadziliśmy badania głośności tych silników na tłumikach dotychczas używanych i na tłumikach skonstruowanych przez nas. Udało nam się je wyciszyć. Bowiem nie zawsze te największe silniki wywołują największy hałas. Także te małe bywają bardzo dokuczliwe, na przykład w motorowerze „komar” – jak to komar!

KT: Czy codzienny hałas za oknem pana mobilizuje, czy przeszkadza w pracy?

JW: Taka inspiracja nie jest mi potrzebna. Rozumiemy powagę sytuacji i ogromne potrzeby w niwelowaniu hałasu tworzonego przez motoryzację. Z pewnymi zjawiskami musimy walczyć, a o pewne musimy walczyć.

JL: Profesor Werner był współtwórcą polskiego samochodu ciężarowego Star 20. On kierował i biurem konstrukcyjnym i uruchomieniem jego produkcji. To był początek motoryzacji w powojennej Polsce.

JW: Nie, tak nie można tego określić. To grono pracowników Politechniki Łódzkiej stanowiło później załogę biura konstrukcyjnego dla Stara 20. To się działo w latach 1946–1948. Samochody te ruszyły po raz pierwszy na zjazd zjednoczeniowy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Było sporo emocji.

Wydaje mi się, że zasadniczym jest, iż przeszliśmy od rozwiązywania drobnych problemów do tematów dużych, które możemy traktować jako tematy perspektywiczne. Przeszliśmy też transformację w poglądach na to, co właściwie daje samochód czy motoryzacja?

Kiedy jeszcze przed wojną zaczynałem pracę w Państwowych Zakładach Inżynierii, byłem absolutnym entuzjastą motoryzacji i nie przyjąłbym żadnych uwag, że samochód może wywoływać jakieś ujemne skutki. Dziś musimy patrzeć na to inaczej ze względu na ogromny przyrost ilościowy samochodów.

Jednakże na obronę motoryzacji muszę powiedzieć, że nawet toksyczność spalin i zatrucie środowiska naturalnego, w moim przekonaniu, nie przedstawia się tak, jak powszechnie się głosi. Otóż jeden wypalony papieros przynosi dla organizmu ludzkiego o wiele bardziej szkodliwe efekty aniżeli przebywanie przez ten sam czas w zakorkowanym ruchu ulicznym. Czy wobec tego motoryzacja jest szkodliwa? Nie! Szkodliwe są liczne zdobycze cywilizacji. Myślę, że znacznie trudniej będzie zlikwidować konsumpcję papierosów niż szkodliwy wpływ spalin na środowisko.

Skutki rozwoju motoryzacji miały też wpływ w moim życiu rodzinnym. Choć jestem jej zwolennikiem, to odradzałem memu synowi studia w tejże dziedzinie, rozwodząc przed nim wszelkie blaski nauk humanistycznych. Wydawało mi się, że go przekonałem, ale dwa

tygodnie przed egzaminem na Politechnikę syn oświadczył, że jednak pójdzie na Wydział Mechaniczny.

Jerzy Werner junior: Od najwcześniejszych lat bywałem w katedrze na Politechnice. Dodatkowo... te wszystkie książki w domu! To zdecydowało o moim wyborze studiów i specjalności w budowie samochodów.

Ojciec starał się przede wszystkim wpoić we mnie zasady uczciwej pracy. Pewnie dlatego był powszechnie znany, lubiany i ceniony.

SPOTKANIE VIII

MARIAN STEFANOWSKI

Lekarz, chirurg, profesor medycyny i rektor Akademii Medycznej w Łodzi. Uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, kampanii wrześniowej i powstania warszawskiego. Reformator medycznego nauczania wyższego w Polsce.



Marian Stefanowski,
ze zbiorów autora

Marian Stefanowski: Najcenniejsze są zawsze i pozostaną piękne humanistyczne aspekty zawodu lekarskiego, wyrażające się dążeniem do uratowania życia chorego, do przywrócenia mu zdrowia czy złagodzenia jego cierpień. Siłą napędową do działania lekarskiego jest zawsze miłość do człowieka, bogactwo przeżyć, które lekarz czerpie ze swojej działalności, szczególnie lekarz wrażliwy, bliski w kontakcie z chorym i rozumiejący całą złożoność tej psychofizycznej istoty powalonej nieszczęściem. Siłą, którą czerpie i ze swoich zwycięstw, i ze swoich porażek, jest tak obfita, że można by o niej mówić nieskończenie.

Muszę podzielić moje życie lekarskie na dwa okresy – warszawski i łódzki. Pierwszą znajomość z medycyną zawarłem w 1915 roku, wstępując na Wydział Lekarski Uniwersytetu w Dorpacie.



Ale do Warszawy przyjechałem na początku 1920 roku. Kształciłem się tam bardzo pilnie i intensywnie i dojrzewałem jako chirurg w klinice znakomitego profesora Zygmunta Radlińskiego. Po jego śmierci w 1941 roku ja prowadziłem tę klinikę. Oczywiście tak zwanych chorych nielegalnych – przywiezionych z lasu – było w naszej klinice niemało.

Natomiast w 1945 roku przyjechałem do Łodzi. Tutaj krąg moich czynności, w porównaniu z okresem warszawskim, znacznie się rozszerzył. Byłem już nie tylko kierownikiem kliniki wykładającym studentom, ale i konsultantem w zakresie chirurgii w województwie łódzkim, kieleckim i częstochowskim. Byłem członkiem Rady Naukowej przy Ministrze Zdrowia, pracowałem w centralnym zarządzie Towarzystwa Chirurgów, gdzie przez dwadzieścia dwa lata byłem prezesem.

A przede wszystkim przypadło mi przez trzynaście lat być rektorem Akademii Medycznej w Łodzi.

Jednakże nigdy nie wyrzekłbym się owych pionierskich lat w moim życiorysie. Na pewno!!!

W mojej pracy bardzo bliski był mi zawsze kontakt z młodzieżą. Został zadziergnięty w Warszawie, kiedy byłem asystentem, trwał przez całą okupację, podczas tajnego nauczania, no i tu w Łodzi. Entuzjazm, z jakim młodzi ludzie zaczynali studia po wojnie, był zdumiewający. Garnęli się do nauki z całym poczuciem, że będą mieli do spełnienia bardzo trudne zadanie.

Nie sądzę, abym miał jakieś wielkie osiągnięcia. Robiłem, co mogłem. I tu zacytuję, co przeczytałem w jednym z felietonów Jarosława Iwaszkiewicza. Otóż opowiada on o tym, jak spotkał swego czasu na ulicy słynnego aktora Ludwika Solskiego, który dobiegał stu lat życia. Stał na chodniku i oglądał się długo za jakąś bardzo piękną panią, a potem szepnął: „Ach gdybym miał osiemdziesiąt lat!”.

Chciałbym powrócić do lat studenckich i być może wówczas zdyscyplinowałbym moje życie, wyzyskałbym to, czym obdzieliła mnie natura, żeby jeszcze więcej zdziałać.

Moim ideałem jest... mądrość serca. Żeby tak mieć tę mądrość serca!!!

ROZDZIAŁ IV

GODZINY SZCZEROŚCI

Byłem autorem i prowadzącym pierwszego w Telewizji Polskiej programu typu talk-show, zatytułowanego „Godzina szczerości”. To były rozmowy z wybitnymi postaciami polskiej kultury, nauki, polityki i dziennikarstwa. Rozmowy moje i moich koleżanek dziennikarek i kolegów dziennikarzy oraz czasami innych znakomitych osób. Godzin było dziewięćdziesiąt osiem plus dwie jubileuszowe. Trwały w latach 1991–1997. Wybór tych spotkań pragnę niniejszym przekazać czytelnikom, by nie leżały tylko w archiwum TVP.



Z okazji pięćdziesiątego wydania „Godziny szczerości” Wojtek Młynarski napisał taki oto wierszyk pt. „Minuta szczerości”:

*Miłe panie i panowie bardzo mili
Mądry facet wydzwoniony wczoraj z rana
Mądry facet, mój przyjaciel,
Oblatany w tym temacie
Rzekł mi: zbytnia szczerość – rzecz niepożądana.
Bowiem szczerość „ość” na końcu ma i kłuje
I publicznie, ot, chociażby na tej Sali
Rzecz nie w tym, gdy w krąg kamery
By ktoś był naprawdę szczery,
Lecz by ludzie za szczerego go uznali.*

*Zaś tak różne są oczekiwania ludzi,
Gdy o swoim rozmyślają bohaterze,
Że najpoważniejszy człowiek
Z miłym trzepotaniem powiek
Musi nieźle skłamać, żeby wypaść szczerze...*

*Bo prawdziwa szczerość kłuje, lecz jest słaba
Wystawiona na banalne złośliwości
Przeto by twój sąd się liczył
Bądź cokolwiek tajemniczy,
Czyli szczery bez zbytecznej otwartości...*

GODZINA I

ANDRZEJ SEWERYN (grudzień 1991)

Wybitny aktor scen polskich i francuskich, dyrektor Teatru Polskiego. Na owe czasy, pod koniec roku 1991, aktor teatru Comédie Française.



Andrzej Seweryn z Krzysztofem Turowskim, ze zbiorów autora

KT: Według numerologa pani Donki Madej jego charakter przedstawia się następująco:

Kobiety odgrywały i będą odgrywać w jego życiu bardzo ważną rolę. Interesują go kobiety niekonwencjonalne o silnej osobowości, kochające i przyjacielskie. Miłość jest dla niego szkołą wewnętrznego rozwoju, swoistą transformacją i twórczym procesem. Zwią-

zek z partnerką powinien się realizować na wszystkich płaszczyznach. Jest człowiekiem obdarzonym niezwykle wyobraźnią. Jego orężem jest słowo. Lubi dominować. Jest niecierpliwy. Nie szczędząc sił, walczy o realizację swoich marzeń. Aby przedstawić jakąś postać musi ją zrozumieć, poznać motyw jej działania. Stara się myśleć tak, jak ona. Ma w sobie coś z wizjonera. Stara się tworzyć rzeczy znaczące. Kocha wolność i niezależność. Nie w każdym zespole czuje się dobrze, nie potrafi się podporządkować i nie znosi porażek. Przyjaciół wybiera spośród ludzi wybitnych, dużych indywidualności. Ogólnie można powiedzieć, że jest człowiekiem sukcesu, bo z takim, jak jego, niebem nad głową można żyć i tworzyć spokojnie, pod warunkiem, że będzie dbał o swoje serce.

Anna Nehrebecka: Powiedz, jak Ci tam jest, we Francji?

Andrzej Seweryn: Nauczyłem się dwóch języków, w których jestem w stanie pracować. Dzisiaj nie mówię już, że wiem, jak grać Czechowa, Witkacego, Moliера czy Pintera i... mam coraz więcej energii...

AN: Zaczynaliśmy przygodę aktorską wiele lat temu, jeszcze przed maturą u pana Jerzego Kamińskiego w Pałacu Młodzieży i wówczas mieliśmy nasze marzenia. Jak wyglądają one w zetknięciu z obecną rzeczywistością?

AS: Należę do tych ludzi, którzy nie narzekają. Jestem bardzo szczęśliwym człowiekiem. Moje marzenia się absolutnie spełniły.

AN: Pamiętam cię ze szkoły teatralnej, kiedy chodziłeś z małą, czarną teczką pełną książek, w której miałeś też kanapki. Ty byłeś najbardziej pracowitym kolegą. Myśmy szaleli, urywaliśmy się z zajęć, a ty zawsze pracowałeś i ty zrobiłeś prawdziwą, międzynarodową karierę. Czy praca to twoja recepta na sukces?

AS: Dzięki ludziom, którzy mnie otaczali, z którymi miałem przyjemność i zaszczyt współpracować mogłem po prostu nauczyć się języka, pracować w innym kraju. Wiem, że Warszawska Szkoła Teatralna

przygotowała mnie do zawodu w bardzo szerokim tego słowa znaczeniu. We Francji zacząłem żyć i pracować z Francuzami. Miejsce, w którym przyszło mi żyć, nie było dla mnie hotelem, a potem zawód mnie poprowadził.

W Paryżu zastał mnie stan wojenny, 13 grudnia 1981 roku i postanowiłem nie wracać od razu, bo uważałem, że we Francji mogę coś zdziałać i zawodowo, i społecznie, pomagając przyjaciołom w Polsce. Wykorzystałem zaistniałą sytuację, czy jak kto woli, szansę.

Świat, w którym żyjemy, jest bardzo trudny i musimy się borykać z tymi trudnościami. I tu posłużę się słowami Ojca Świętego Jana Pawła II wygłoszonymi w UNESCO w Paryżu, w roku 1980, kiedy to powiedział, że pochodzi z narodu, który przetrwał dzięki kulturze. Te słowa warto przypominać osobom podejmującym ważne polityczne i kulturalne decyzje w naszym kraju.

AN: A nie tęsknisz za graniem w polskim teatrze?

AS: Tęskniłem tylko raz, kiedy umarła Gajka Kuroń. Wtedy bardzo chciałem dotknąć śniegu, a w Paryżu go nie było. Bywa rzadko. Potrzebowałem dotknąć tego zimna, polskiego śniegu i tego mi brakowało...

KT: Andrzeju, a kto był pierwszą kobietą w twoim życiu?

AS: Nie odważę się powiedzieć...

KT: Dlaczego? Przecież pierwszą była twoja mama!

Zofia Seweryn: Z nim się było trudno dogadać. Zawsze był mądrzejszy od matki. A początki aktorstwa to pewnie były już w szkole podstawowej. Gdy były jakieś uroczystości, czy to Święto Kobiet, czy 1 Maja, czy Rewolucja Październikowa, to nauczycielka prosiła Andrzejkę, żeby powiedział wierszyk. Zawsze powiedział ładnie i bez tremy.

KT: Na studiach, a i wcześniej miał też ciągoty ku polityce protestu przeciw ówczesnej władzy...

ZS: A to Kuroń wszystkiemu winien...

Jacek Kuroń: To prawda, że ja ich wszystkich wpakowałem do więzienia, Andrzeja, Adama Michnika, Janka Lityńskiego, ale oni mnie też. Był taki pomysł na harcerstwo czy też na wychowanie. Można tworzyć dzieciom cudowny świat, niemal idealny, co na przykład robił Janusz Korczak, ale w pewnym momencie dochodzi brutalne życie i wszystko się rozpieprza... Drugi pomysł polega na tym, żeby zło oswoić, przystosować się, a ja wymyśliłem, że w tworzonych przez nas drużynach harcerskich będzie się im pokazywać zło i uczyć ze złem walczyć. Ani się obejrzałem, jak moi podopieczni wleźli w opozycję polityczną, a mnie było wstyd zostać z tyłu. W 1968 roku mnie zamknęli już w marcu, ale kiedy usłyszałem w październiku, że zamknęli też Andrzeja, to zeszytniałem. To był klasyczny przykład więzienia politycznego. Oni, moi harcerze, byli jedynym głosem protestu w Polsce przeciw inwazji sowieckiej w Czechosłowacji.

AS: Ja osobiście nie rzucałem ulotek. Natomiast w autobusach były na dachu podnoszone klapy, wywietrzniki. Kładłem ulotki na dachu przez wywietrznik i wysiadałem. Kiedy autobus ruszał, to wiatr je zdmuchiwał na ulicę.

ZS: A ta paczka z ulotkami przyszła do Andrzeja pocztą. Już miałam to wyrzucić, ale zostawiłam. Ale gdybym wiedziała, że to ulotki, to bym wyrzuciła.

Małgorzata Dipont: Według „Księgi Horoskopów” Jana Starży-Dzierżbickiego, kto się urodził 25 kwietnia, dzięki swym wybitnym zdolnościom robi karierę. Ożywia go też skłonność do poczynañ ryzykownych. Jak pan by to odniósł do siebie?

AS: Podjęcie pracy we Francji było ogromnym ryzykiem, szczególnie na początku.

MD: A czy sam zawód aktorski nie jest obarczony ryzykiem?

AS: Tak, jeśli go się wypełnia serio. Po jedenastu latach w Teatrze Ateneum miałem wielkie szczęście, że mogłem zmienić moje życie

artystyczne, bo już w Polsce zaczynałem umieć grać tak, żeby się wszystkim podobało. To mi się już dziś nie podoba.

MD: Czy pamięta pan swój debiut filmowy?

AS: Nie pamiętam.

MD: Rola Tomka w „Albumie polskim” Jana Rybkowskiego.

AS: Kojarzy mi się z ogromną moją naiwnością. Przypomnę jedną ze scen, w której Ojciec grany przez Jana Machulskiego rozmawia z synem, czyli ze mną, i syn mówi, że w Polsce nie jest tak dobrze, jak się mówi, że psują się motocykle u nas produkowane... Ten film był wyświetlany w 1970 roku, kiedy Edward Gierek przejmował władzę.

MD: A jak kojarzy się panu adres: ulica Wiolinowa 8 m. 123?

AS: Kojarzy mi się z ogromną miłością, niespełnioną nadzieją. Kojarzy mi się z moją córką Marysią, którą ogrzewaliśmy dwoma, trzema kocami, bo to była zima stulecia, kojarzy mi się z panią Honoratą Wątrobą, która zajmowała się Marysią. To był czas małżeństwa z Krystyną Jandą.

MD: I ten adres zamienił pan na inny w okolicach Pól Elizejskich.

Anna Retmانيak: Jan Kreczmar powiedział, że o powodzeniu w teatrze decydują trzy sprawy: talent, praca i szczęście. Czy pan się z tym zgadza?

AS: Talent jest rzeczą niewymierzalną, natomiast zgadzam się, że praca i szczęście są niezbędne.

AR: Pan miał szczęście?

AS: Nie wiem. Dla mnie praca jest najważniejsza.

AR: Zawsze bardzo dużo pan pracował. Jeszcze w Warszawie – rano nagrywał pan w radio, od jedenastej próba w teatrze, po południu telewizja, a wieczorem teatr. Czy nie sądził pan, że to się mogło źle odbić na dalszej karierze aktorskiej?

AS: Wówczas ja tego nie rozumiałem. To był prawdopodobnie grzech młodości.

AR: Wspominano już o kobietach w pana życiu, a jaką rolę odegrały one w pańskim życiu artystycznym?

AS: Ktoś mnie kiedyś zapytał... Czy ty nie jesteś w teatrze tak zwanym słabym mężczyzną?

Tadeusz Konwicki opowiadał kiedyś, że widział na placu Konstytucji, jak potężny mężczyzna był bity przez niską, szczupłą kobietę. Jeżeli to oznacza słabego mężczyznę, to ja chcę być słabym mężczyzną.

AR: Jak wspomina pan spotkanie i współpracę z Peterem Brookiem?

AS: Kiedy Francuzi zdobyli ostatnio Puchar Davisa, nie było tam wielkich gwiazd z pierwszych dwóch dziesiątek w rankingu. Otóż teatr Brooka można porównać do tej drużyny. Peter stwarza wokół siebie taki zespół ludzi z różnych kontynentów i ras, co było dla mnie wielką nauką pokory i różnic kulturalnych, z których mogłem korzystać. Dlatego potrafiliśmy podbić świat. Graliśmy w Japonii, w Indiach, w całej Europie, w Afryce. Przygotowując spektakle, wykonywaliśmy miesiącami takie same ćwiczenia ciała, dzień w dzień.

AR: A profesor Aleksander Bardini powiedział mi kiedyś, że aktorstwo to nie jest zawód dla poważnego mężczyzny. Co pan na to?

AS: Nic!

Przepraszam wielkie pytania za małe odpowiedzi.

Prawdo, nie zwracaj na mnie zbyt bacznej uwagi.

Powogo, okaż mi wspaniałość.

Ścierp, tajemnico bytu, że nie mogę być wszędzie.

Przepraszam wszystkich, że nie mogę być każdym i każdą.

Wiem, że póki żyję, nic mnie nie usprawiedliwia,

ponieważ sama sobie stoję na przeszkodzie.

*Nie miej mi za złe, mowo, że pożyczam patetycznych słów,
a potem trudu dokładam, żeby wydały się lekkie.*

Wisława Szymborska „Pod jedną gwiazdką”

GODZINA II

JÓZEF TISCHNER (wiosna 1992)

Najznakomitszy gazda na calusieńkim Podhalu, kapelan Związku Podhalan.



Józef Tischner,
ze zbiorów autora

W opasłym dziele „Zawierzyć człowiekowi. Księdzu Józefowi Tischnerowi na sześćdziesiąte urodziny” napisano:

Niemal każdy w Polsce wie, kim jest profesor Józef Tischner. Jako twórczy filozof i profesor kilku krakowskich uczelni, czynny uczestnik życia społecznego ostatniego dziesięciolecia, filozof nadziei, dramatu, twórca etyki „Solidarności”, autor przenikliwych filozoficznych esejów, mądrych diagnoz naszych czasów, jest, jak mało kto, obecny w życiu Polski. W tej twórczej obecności jest sobą i właśnie to nadaje jego postaci i działaniu szczególną wartość, aurę, która promieniuje szeroko i daleko. Jego mądrą myśl, życzliwy uśmiech i góralskie anegdoty zna szerokie grono ludzi na całym świecie. To dyrektor Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu i autor wielu odczytów na różnych uniwersytetach świata.

KT: Czy coś do tego można dodać?

Józef Tischner: No, to najwyższy czas się skompromitować. (Śmiech).

KT: Napisał książkę, iż:

Polska to ty i ty, to ja, to my. Ona, ta Polska jest taka, jacy my jesteśmy. Jest mocna naszą mocą, jest mądra naszą mądrością, jest pobożna naszą pobożnością, ale i odwrotnie. Polska jest słaba, gdy ty jesteś słaby, Polska jest niemądra, gdy ty jesteś niemądry, Polska jest bezbożna, gdy ty jesteś bezbożny, ale Polska nie zginęła, bo my żyjemy, my jesteśmy.

To jaka jest ta Polska właśnie?

JT: To kraj ludzi z duszą. Duszę ma góralska muzyka i nawet filozofowie mają dusze. Także moi przyjaciele z Podhala, Stasiu Szewczyk na pewno ma duszę, Józek Zatloka, podejrzewają, że nawet kilka...

KT: Powiada książkę, że to nie on wybrał filozofię, a filozofia wybrała księdza?

JT: „Nie ja was wybrałem, tylko wyście mnie wybrali”... Tak mi się po wojnie w gorącym Nowym Targu wydawało, gdzie wszystko pło-
nęło... Sądziłem, że przyszedł czas myślenia... Trochę jak ten Franek
Gąsienica, którego zapytano:

- Co ty robisz, gdy masz czas?
- Siedzę i myślę.
- A jak nie masz czasu?
- To ino siedzę.

Ja tak właśnie postanowiłem, żeby od czasu do czasu sięść, wycofać
się i pomyśleć.

KT: To dlatego ksiądz powiada, że żadna teza filozoficzna nie jest
prawdziwa, jeśli nie da się przetłumaczyć na góralski?

JT: Jeżeli się jej nie da przełożyć na góralski, to jest fałszywa. Dla-
czego? Boże mój! To trochę takie pytanie, jak kiedyś zapytano, jaka
jest różnica między Gagarinem a góralem? Gagarin to jest pierwszy
astronauta, a góral to jest taki człowiek jak każdy inny. Mowa i język
góralski to jest skarbnica prawdy i dokopać się do tego języka, to ozna-
cza dokopać się do zmagazynowanego tam doświadczenia. Poza tym
mowa góralska ma w sobie niesłychane wyczucie rzeczywistości, czło-
wieka. Jak powiedziano w Piśmie Świętym: Niech mowa wasza będzie
tak, tak, a nie – nie!

KT: Po śmierci prymasa kardynała Stefana Wyszyńskiego wiedeńska
„Die Presse” ogłosiła, że ma być ksiądz jego następcą, a jednak ksiądz
nie został, dlaczego?

JT: Bo Duch Święty jest mądrzejszy niż wiedeńska „Die Presse”.
(Śmiech).

KT: Ksiądz jest pełen humoru i autoironii. Czy to jest niezbędne przy
uprawianiu filozofii?

JT: Przede wszystkim filozof nie powinien poważnie traktować sa-
mego siebie, ale jednak na tyle poważnie, żeby twierdzić, że ma rację.

To z Sokratesa. I nieskromnie twierdzę, że ja taki maluczki z Łopusznej spod Nowego Targu, a jednak mam rację. (*Śmiech*).

KT: O co ksiądz się modlił, kiedy przyjmował święcenia kapłańskie w 1955 roku.

JT: Przyjmując święcenia na Wawelu, zacytowałem Paula Claudela „Boże spraw, abym był siewcą niepokoju”! I Bóg mnie wysłuchał. A druga modlitwa – to prosiłem o dobrego biskupa w Sandomierzu. (*Śmiech*).

KT: Powiedział ksiądz w jednym z kazań, że obecne pokolenie jest pokoleniem siewu, ale owoce oglądać będą przyszłe pokolenia, co my siejemy?

JT: Siejemy wiatr i pewnie będziemy zbierać, od czasu do czasu burzę. Sądzę jednak, że są w Polsce ludzie, którzy nie wiatr sieją, ale prawdę, a z prawdy jest nadzieja. Prawda bywa gorzka, ale z nadzieją! Oczywiście, jak wiadomo, są trzy prawdy: święta prawda, też prawda i gówno prawda!!!

W filozofii przemawia się do tych, którzy mają w sobie bakcyła myślenia, nie reagują emocjonalnie na widok człowieka, na jego błędy gramatyczne, a myślą i słuchają.

Moją obsesją jest filozofia pracy, żeby nie konsumować więcej, niż się wypracuje. Nie żyj z pożyczanego. Ale... czuję, że tę filozofię muszę ciągle zaczynać wyklądać od początku.

Przeszliśmy w historii przez doświadczenia dwóch totalitaryzmów i o tym nie wolno nam zapominać. Co więcej, odkryliśmy, że są totalitaryzmy, które mogą się inspirować religią, powoływać na Boga. I dlatego, mądrzy tym doświadczeniem, powinniśmy budować takie państwo, w którym jest miejsce zarówno dla wierzącego, niewierzącego i wątplącego.

Zasada etyki chrześcijańskiej jest zasadą szerokich horyzontów i szerokiego serca, bo nie ma nic gorszego niż ciasny horyzont i wąskie serce!

KT: Ale gdzie mamy iść?

JT: W całym chrześcijaństwie im wyższa wartość, tym większa wolność i dzięki niej dochodzi się do wyższych wartości. Naprzeciw Boga wszystko możemy i niczego nie musimy! Trzeba mieć sumienie, żeby być wolnym.

*A żeś tyle lat bawił w tej podniebnej strefie,
Przestroga ci się należy waleczny Józefie
Bo ta strefa wyniosła, przynajże mi rację
To są filozoficzne twe egzercytacje.
A co jest filozofia, zaliż służba Pańska?
Nie, to jest mój Józiu zabawa pogańska.
Miał nam zdrowe nałożyć skromności wędzidło,
Pychę nas ona karmi, superbią obrzydłą.
Pycha, mówię, superbia oto jej owoce.
Mamyż to jej poświęcać nieprzespane noce.
Substancja, alienacja, byt w sobie, dla siebie,
O tym to presumujesz, mówią świeci w niebie?
A prior, byt esencja, ja transcendentalny,
dialektyka, negacja, percepcje totalne,
Fenomen, dialegicznie, dysjunkcja, cogito...
Tym to u bram niebieskich będziem płacić myto? (...)
Kto Cię, Józiu, naucza tych niezbożnych nowin?
Heidegger teutończyk i Buber żydowin?
Merleau-Ponty – Francuzik, Russel – Angliczanin
Nie dośmy spłacili owym mędrcom danin
I Tu, który w dzieciństwie swoim i młodości
uczył się u górali prawdziwej mądrości,
miałbyś już wstąpiwszy prawie w wiek dojrzały,
tej mądrości się wyrzec, szukać próżnej chwały
w Akademii uczonej nadętej bezdusznej,
miast, jak trzeba zapięczę pożywać w Łopusznej?*

*O czym wcale nie gadam, aby było przykro.
Sześćdziesiąt powiadają, jest dwadzieścia trzykroć...
I czterokroć Ci przyjdzie i pięciokroć może,
byś w owej sapiencji rosnął, daj Ci Boże.
ku pysznych zawstydzeniu, luda zbudowaniu,
oraz wszystkich pocziwych w cnocie podtrzymaniu!*

Leszek Kołakowski „Oda do Józefa (na sześćdziesiąte urodziny)”

IGOR ŚMIAŁOWSKI (nagranie 1995)

Aktor teatralny, telewizyjny i filmowy, absolwent tajnej szkoły aktorskiej (Studio Dramatyczne) w Wilnie (1940). W tym samym roku debiutował w kabarecie „Ksantypa” Janusza Minkiewicza. Aktor teatrów Białegostoku, Krakowa, Katowic, Łodzi i Warszawy. Występował również w Teatrze Polskiego Radia, Teatrze Telewizji oraz w kabarecie „Wagabunda”. Autor zbiorów anegdot teatralnych „Igor Śmiałowski opowiada” i „Igoraszk z Melpomeną” oraz wspomnienia „Cała wstecz”.



Igor Śmiałowski,
ze zbiorów autora

Igor Śmiałowski: To było tak dawno. Wyjechaliśmy z Wilna w styczniu 1945 roku do Białegostoku i wówczas pożegnałem to miasto dzieciństwa i młodości, zabaw, trosk i radości, których było nawet więcej niż trosk. Dopiero w 1990 roku pojechaliśmy do Wilna z moją Danusią, po raz pierwszy po wojnie, na zaproszenie Towarzystwa Polaków w Wilnie. Chłonałem to miasto. Byłem w budynku mojego gimnazjum, wszedłem do sali w szkole plastycznej, w której zdawałem egzamin.

A kiedy ukląknę przed obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej, to łzy mi się cisnęły do oczu.

O Wilnie jest też w moich książkach, wspomnieniach. Pan Wincenty tamże swoją zabawną wileńską mową opowiada dykteryjki...

KT: A Pan z wileńska zaciągasz?

IŚ: Bardzo proszę, a czegoż Ty? A jak pan chcesz, to ja żarcik opowiem. Otóż, kołdunki, jak wiadomo, to rzecz wileńska. Pan Wincenty opowiadał, jak to kiedyś, jak miał jeszcze majątek, został zaproszony do sąsiada i tenże sąsiad niedużeńki, ale łomotał tych kołdunków niesamowite ilości.

Był też i inny sąsiad i zjedli tych kołdunków dużo, ale w pewnym momencie ów sąsiad powiada:

– Tak kochanieńki, ja już nie mogę.

– Tak zjedz kocieńka, dziewięćdziesiąt dziewięć sztuk zbąblił, tak zjedz i setnego!

– Nie mogę, dlatego że na pierwszym siedzę!!!

KT: Wspomniał Pan o książkach. Pierwszą była „Igor Śmiałowski opowiada”...

IŚ: Książka powstała dzięki Jerzemu Leszczyńskiemu, który opowiadał mnóstwo anegdot teatralnych, a miał życie niezwykle barwne. I miałem to szczęście, że grałem pierwszego po wojnie Mazepę Słowackiego, w Teatrze Rozmaitości w reżyserii Dobiesława Damięckiego, a Jerzy Leszczyński grał króla Jana Kazimierza. Byłem pod wielkim urokiem Jerzego Leszczyńskiego. Uwielbiałem jego opowiadania. Przychodził do garderoby na dwie godziny przed spektaklem i bąjał. Opowiadał mi całą masę cudowności. Proszę pamiętać, że pochodził z wielkiego teatralnego rodu. Bolesław Leszczyński, jego ojciec, wzrostu sto dziewięćdziesiąt centymetrów, o głosie tak potężnym, że jak pan Bolesław grał w Teatrze Słowackiego w Krakowie, to szyby w okolicznych domach drżały, a Honorata Leszczyńska, z domu Rapacka,

była młodsza od pana Bolesława o blisko trzydzieści lat. Związek był piękny, ale nie trwał długo, choć pozostał Jerzy, owoc tej miłości.

Pamiętam, jak do Polski przyjechał na gościnne występy Gerard Philipe, a grali „Ruy Blas” Wiktora Hugo, i pan Jerzy zapytał mnie, jak mi się podoba, a kiedy wyraziłem mój zachwyt, odparł:

– Nie widziałeś w tym Józka, chodziło o Józefa Węgrzyna.

Pewnego razu zapytał mnie...

– Czy ty piszesz?

– Nie mam o tym pojęcia...

– To ja ci tu opowiadam, a ty co?

W tej sytuacji musiałem spisać owe anegdoty.

KT: Wspomniał pan o roli Mazepy. A którą z ról ceni pan sobie najwyżej?

IŚ: Każdą oceniam inaczej. Nie mam prawa mówić, która była dobra, a która zła, ale na przykład uwielbiałem rolę Cara w Kordianie. Reżyser Erwin Axer wywiózł nas wtedy do Paryża na Festiwal Sztuk Dramatycznych i mieliśmy tam oceny nawet lepsze niż w Polsce. Byłem szalenie dumny, że gram u boku wielkiego Jana Kurnakowicza, ale przede wszystkim zachwycił nas Paryż, wtedy na początku lat sześćdziesiątych. Tremę mieliśmy ogromną.

Erwin Axer: Śmiałowski to bardzo miły człowiek. On nie może nigdy grać całkiem źle, dlatego właśnie, że jest miły. Cara grał bardzo ładnie, a jeszcze bardziej mi zaimponował w roli Mortimera w „Edwardzie II” Marlowe’a i szczególnie tym, że dawał sobie radę z Eichlerówną (Irena Eichler – wybitna aktorka), a to nie było łatwe. W teatrze uchodziła za potwora, do wszystkiego się wtrącała, była apodyktyczna, nie z każdym chciała grać. Często grała z zamkniętymi oczami, żartowano, że nie może patrzeć na słabszych kolegów. Igor z nią po prostu bezwstydnie flirtował. Ona była bardzo zadowolona i świetnie ze sobą współpracowali.

IŚ: Granie u boku Leny było wspaniałym przeżyciem.

Powiem panu coś a propos i pół żartem, wierszem Władysława Broniewskiego.

*Kochałbym cię (psiakrew, cholera),
gdyby nie ta niepewność,
gdyby nie to, że serce zżera
złość, tęsknota i rzewność.*

*Byłbym wierny jak ten pies Burek,
chętnie sypiałbym na słomiance,
ale ty masz taką naturę,
że nie życzę żadnej kochance.*

*Kochałbym cię (sto tysięcy diabłów!),
kochałbym (niech nagła krew zaleje!)
ale na mnie coś takiego spadło,
że już nie wiem, co się ze mną dzieje:*

*z fotografią, jak kto głupi, się witam,
z fotografią (psiakrew) się liczę,
pójdę spać i nie zasnę przed świtem,
póki z grzechów się jej nie wyliczę,*

*a te grzechy (psiakrew) malutkie,
więc (cholera) złości się grzesznik:
że na przykład wczoraj piłem wódkę,
lub że pani Iks – niekoniecznie.*

*Cóż mi z tego (psiakrew), żem wierny,
taki, co to „ślady po stopach”?...
Moja miła, minął październik,
moja miła (psiakrew), mija listopad.*

*Moja miła, całe życie mija...
Miła! miła! – powtarzam ze szlochem...
To mi życie daje, to zabija,
że ja ciągle (psiakrew) cię kocham.*

Władysław Broniewski „Ze złości”

KT: Andrzej Szczepkowski powiedział o panu: Na wieki wieków amant!

IŚ: To było bardzo dowcipne. Przyszedłem do bufetu w Narodowym i z uśmiechem powiedziałem: Niech będzie pochwalony, a na to Andrzej wypalił: Na wieki wieków amant!

GODZINA IV

JERZY JANICKI (nagranie 1994)

Pisarz, dramaturg, dziennikarz, scenarzysta radiowy i filmowy, związany ze Lwowem.



Jerzy Janicki,
ze zbiorów autora

*Niech inni se jadą gdzie mogą gdzie chcą
do Wiednia Paryża Londynu
A ja się ze Lwowa nie ruszę za próg
za skarby ta skarż mnie Bóg
Bo gdzie jeszcze ludziom
Tak dobrze jak tu?
Tylko we Lwowie!*

KT: Opuścił pan Lwów w 1943 roku, przed drugim wejściem bolszewików, mając lat piętnaście, ale to miasto pozostało dla Pana jedyne i niepowtarzalne, dlaczego?

Jerzy Janicki: Takich pytań się lwowiakom nie zadaje. To, że Lwów jest miastem nadzwyczajnym, trzeba przyjąć jako aksjomat, ale... mówiąc najkrócej... Przez sześćset pięćdziesiąt lat wniosło ogromny wkład do historii Polski. Jako miasto wielu kultur wydało setki, jeśli nie tysiące wspaniałych ludzi. Zapolska, Fredro, ale i bardziej

współcześnie... profesor Kazimierz Bartel – matematyk, Rudolf Weigel – wynalazca sztucznej szczepionki, Stefan Banach – największy matematyk współczesnej doby, profesor Adam Gruca – światowej sławy ortopeda. Nie byłoby polskiego jazzu, gdyby nie Duduś Matuszkiewicz czy Andrzej Kurylewicz, nie byłoby sukcesów polskiej piłki nożnej, gdyby nie Kazimierz Górski... Są też ludzie, którzy nie mając lwowskich korzeni, pojechali raz do Lwowa i zakochali się w tym mieście bez pamięci. Są też jeszcze inni. I tu opowieść...

Spotkałem w Bieszczadach leśniczego, też ze Lwowa, który mi opowiedział, jak to po wojnie znalazł się we Wrocławiu i spotkał kolegę lwowiaka. Rozmowa jak rozmowa...

– Co słyhać? Masz żonę, dzieci?

– Tak mam, szwaba sobie wyhodowałem?

– Jak to szwaba?

– Na dworcu siedział taki ryży dzieciak z tabliczką na piersi: „Nicht Vater, nicht Mutter”. To myśmy go z żoną adoptowali.

Zawołał tego Jaśka.

– Jaśku, ukłoń się wujkowi.

Jasiek się uklonił i leśniczy z kolei go pyta:

– Jaśku, a ty by do Lwowa pojechał?

– Ta, na kolanach – odparł niemiecki Jaśko.

We Lwowie było wszystko lwowskie, i powietrze, i woda dobrostańska, i gleba... Na tej glebie kuźden jeden się chował i wyrastał fajny pod każdym względem.

I to wszystko się skończyło, kiedy weszli Sowietci.

Wśród paradujących krasnoarmiejców był też Uzbek, który ciągnął wielbłąda, a jakaś babinka stała, patrzyła i skomentowała...

– Boże, co oni nawet z konia zrobili!?

Nam dzieciom utkwił w pamięci fakt, który stanowi kwintesencję sowieckiego myślenia. Pod koniec września rozpoczął się rok nauki

już w sowieckiej szkole. Dyrektor zgromadził nas w auli i zakomunikował:

– Władza radziecka kocha dzieci, a najlepszym tego dowodem jest, że od jutra będziecie przychodzić do szkoły na dziewiątą, a nie jak za pańskiej Polski na ósmą.

I on mówił prawdę, tyle że już obowiązywał czas moskiewski, co w praktyce oznaczało, że obecna godzina dziewiąta to dawniej siódma rano.

Może to potwierdzić moja szkolna koleżanka z tej samej klasy, ale oczywiście młodsza – Irena Dziedzic.

Irena Dziedzic: Zdecydowanie młodsza! Oczywiście, pamiętam to i wiele innych wydarzeń. Kiedy było trzydzieści stopni mrozu, chodziliśmy normalnie do szkoły. Nikt nas nie zatrzymywał w domach. Ale... oprócz tej szkoły mieliśmy też naukę na kompletach, gdzie wykładano historię Polski, łacinę, obce języki...

Zaprosiłam kiedyś Jurka do domu, bo moja mama, jak się dowiedziała, że klasa jest koedukacyjna i na trzydzieści dziewcząt jest dwóch chłopców, to dostała palpacji. Przyprowadziłam Jurka. Dostał czekoladę z pianką i buchtę z różą, czyli bułeczki drożdżowe z różą polewane szodonom (chaudeau), ciepłym sosem z utartych z cukrem żółtek. Jurek nie powiedział ani słowa, zjadł wszystko, buchnął mamę w mankiet i mama powiedziała, że to bardzo dobre dziecko i mogę się z nim przyjaźnić. I tak trwa...

KT: Te i inne opowieści można znaleźć w pańskich książkach „Alfabet lwowski”, „Cały Lwów na mój głów” i „Towarzystwo Weteranów... znam tych panów”.

JJ: Bo Lwów pozostał nie tylko jako miasto, ale w sercach tysięcy Polaków, którzy wyemigrowali i którzy tam zostali i potrzebują pomocy nie tylko materialnej, ale i duchowej.

*Mam gitarę kupioną we Lwowie,
mam ją chyba z dwadzieścia parę lat,
urodziła się na Łyczakowie
u stolarza, który przy niej
lubił śpiewać swej dziewczynie.
Z tą gitarą wędruję po świecie,
Po dancingach co nocy na niej gram,
ale gdy jesteśmy sami,
wtedy najcudowniej brzmi,
gdy o Lwowie rzewnym głosem śpiewa mi:
Przyjacielu, co chcesz to mów,
nie ma jak rozśpiewany Lwów!
Tam, gdy batiar sztajerka gra,
to nawet stare domy tańczą, oj diradi, ra...
Szkoda gadać i szkoda słów,
nie ma, nie ma, jak miasto Lwów,
nie ma jak to: „ta joj”, „ta idź”,
ta chcesz szczęśliwym być,
to jedź do Lwowa.*

Emanuel Schlechter „Mam gitarę kupioną we Lwowie”

KT: Pan wraz z Andrzejem Mularczykiem jesteście autorami najdłuższego serialu radiowego „Matysiakowie”, który jest nadawany nieprzerwanie od października 1956 roku. Kiedyś, gdy nadawano „Matysiaków”, ulice zamierały, dziś już nie...

JJ: Wtedy telewizja dopiero raczkowała, więc radio było jedynym medium, ale coś jeszcze przetrwało, na przykład Dom Opieki im. Matysiaków.

KT: Wedle historyków hejnał krakowski nie został nadany tylko trzy razy?

JJ: Pierwszy raz, kiedy tatarska strzała przebiła krtan hejnalisty, drugi podczas II wojny światowej i trzeci, kiedy udaliśmy się na wywiad

ze znanym hejnalistą Adolfem Śmietaną, który trąbił nie tylko hejnał, ale też w przenośni. Kiedy wdrapaliśmy się do niego ze znakomitym reportażystą, rotmistrzem Jackiem Stworą, to tego dnia hejnału też nie było, ale reportaż powstał.

Już nieco wcześniej zaczęło mnie fascynować radio i to, co z dźwiękiem można zrobić. Polskie radio słynęło słuchowiskami, Teatrem Polskiego Radia czy Polską Szkołą Reportażu. Jacek Stwora, Witek Zadrowski, czy Janka Jankowska są laureatami Prix Italia za reportaże radiowe. Mieliśmy wspaniałych realizatorów z Marianem Adamskim na czele, realizator radiowy wszech czasów. Był genialnym twórcą dźwięku, a praca z nim to była sama przyjemność, a wspomnienie o nim pozostaje wśród nas starych radiowców na zawsze. Wspaniały kolega, skromny, ale wymagający i od siebie, i od nas. Żadnej fuchy nie przepuścił. Z nim w 1958 roku realizowaliśmy audycję „Parnasik”, czyli rozmowy z ludźmi o największych nazwiskach, z Hemingwayem, Sofią Loren, Disneyem... Radio to bogactwo wyobraźni.

KT: Ale zdominował pańską twórczość świat seriali. Wzruszające „Polskie Drogi” i „Dom”. Czy jest jakaś recepta na dobry serial?

JJ: Nie mieć pomysłu, a chęć zrobienia dobrego.

Jeden kocha Warszawę,

Drugi pieniądz lub sławę,

Ja tylko mam jedną słabość,

Bo ja kocham mój drogi Lwów

Ten drogi Lwów, to miasto snów,

Gdy gdzieś usłyszę „cajeronczki”

Gorączkę już mam.

Ta joj, ta gdzie, ta czemu nie,

Te „szanowanie”, „padam do nóg”, „bondź zdrów”

Ma tylko jeden Lwów.

Emanuel Schlechter „Ten drogi Lwów”

BOHDAN TOMASZEWSKI (nagranie 1994)

Dziennikarz, dżentelmen mikrofonu, wieloletni sprawozdawca sportowy Polskiego Radia, propagator tenisa.



Bohdan Tomaszewski, pierwszy z lewej, ze zbiorów autora

Bohdan Tomaszewski: Miałem osiem, może dziewięć lat, kiedy zacząłem uprawiać sport. Byłem bramkarzem w Międzyszkolnym Klubie Sportowym „Wyścig” na Polach Mokotowskich. Jednak puściłem strasznego gola pod pachą i przerzucili mnie na pozycję lewego łącznika. A potem były inne sporty: hokej, koszykówka, bieg na sześćdziesiąt metrów, w którym byłem słaby, i wreszcie zacząłem grać w tenisa. I był tenis, tenis i jeszcze raz tenis.

Mnie w zasadzie wychowywały trzy placówki: przedwojenny dom, przedwojenna szkoła i sekcja tenisowa Legii, gdzie grałem i gdzie zetknąłem się ze wspaniałymi sportowcami: Jadzią Jędrzejowską, Ignacym Tłoczyńskim, Józefem Hebdą, Adamem Baworowskim, ale to był ekskluzywny klub w najlepszym tego słowa znaczeniu. Musieliśmy się bezbłędnie zachowywać, nie tylko na korcie.

Dla przykładu: na korcie obok grał generał Kazimierz Sosnkowski i jak piłka z jego kortu leciała na mój, to mu ją grzecznie odrzucałem, a bywało i odwrotnie.

Tak Legia mnie wychowywała...

KT: Wśród instytucji, które pana wychowywały, nie wymienił pan Polskiego Radia, w którym był pan od grudnia 1955 roku.

BT: Kochałem to i kochałem tych sportowców. To były czasy wspaniałych kolarzy, lekkoatletów, szermierzy, bokserów, sztangistów. Niezapomniany był skok Wojtka Fortuny na olimpiadzie w Sapporo, który miałem zaszczyt i przyjemność komentować. Cóż dodać? Wspaniałe chwile.

KT: Sport kreuje bohaterów i idoli, a dziś przeżywamy upadek autorytetów. Jakby pan to wytłumaczył?

BT: Chyba nie tylko w Polsce jest sceptycyzm moralny. Świat się materializuje i jesteśmy zajęci sobą. Żeby mieć tych ukochanych ludzi, w których się wierzy, to potrzeba ciepła. Świat staje się teraz zimny, okrutny. Ja miałem zawsze autorytety i mam je do dzisiaj, autorytety albo moich bohaterów. Zostałem wychowany w domu, w którym był zawsze kult marszałka Piłsudskiego. Kiedy byłem chłopcem, szalałem za polskimi jeźdźcami. Chodziłem na drewniane trybuny parkuru w Łazienkach. Nie ma ich już i pozostała wielka polana. To tam sukcesy odnosili wojskowi, polscy jeźdźcy. Oni byli pierwsi po pierwszej wojnie światowej, którzy zdobywali medale dla Polski. To nie tylko medal Adama Królikiewicza na Igrzyskach Olimpijskich w Paryżu w 1924 roku, ale również sukcesy majora Henryka Dobrzańskiego w Nicei, w Londynie, Puchar Narodów w Nowym Jorku. To były postacie, które zasłynęły później w historii. Kierownikiem ekipy bywał pułkownik wówczas Władysław Anders, olimpijczykiem był generał Tadeusz Bór-Komorowski, a inni zostali dowódcami pułków pancernych w czasie wojny, porucznik Kazimierz Szosland, podpułkownik Karol Rómmel, rotmistrz Zdzisław Dziadulski, no i oczywiście Hubal,

wspomniany już rotmistrz Henryk Dobrzański. Oni wypełniali moje chłopięce marzenia. Później był Kusy – Janusz Kusociński, którego znałem prywatnie. On był jakby zaprzeczeniem tych przystojnych oficerów kawalerii, niski, niepozorny, z krzywym nosem. Pamiętam, jak na Polach Mokotowskich biegał ze stoperem w brudnym, przepocnym dresie. To już było po igrzyskach w Los Angeles. Potem, kiedy nie startował z powodu kontuzji, to przychodził na Legię na brydża i uczestniczył w tamtejszym życiu towarzyskim. On był bardzo ciekawą postacią z Robotniczego Klubu Sportowego „Sarmata”, mieszkał pod Warszawą w Ożarowie i nagle dzięki złotemu medalowi olimpijskiemu przeżył awans społeczny. Nadal jednak pracował w Łazienkach jako ogrodnik i szedł do igrzysk w roku 1940. Bardzo też interesował się kobietami, kochał się w młodziutkiej tenisistce. Był swego rodzaju snobem, którego budował w sobie, bo chciał się pokazać we fraku. Bywałem u niego w czasie wojny, na Noakowskiego, gdzie mieszkał, niedługo przed aresztowaniem i straceniem w Palmirach... Mam jeszcze wielu, wielu idoli...

Myśmy byli wychowani w szacunku dla tego, co było przedtem, a dzisiaj powstał jakby rów pomiędzy generacjami. Młodzież przestała interesować się przeszłością i to jest bardzo niedobre. Podobnie jest w dziennikarstwie. Tu także miałem moich mistrzów. Na przykład przedwojenny jeszcze sprawozdawca sportowy Wojciech Trojanowski, syn malarza, malarz przy mikrofonie. Jako chłopak stałem obok niego i słuchałem, jak on mówi. Transmitował niedługo przed wojną mecz piłkarski Polska – Niemcy i czynił to tak sugestywnie, że kiedy wrzasnął do mikrofonu: „Jezus Maria, Niemcy atakują!”, to chłopci na wsi zaczęli ładować dobytek na furmanki.

KT: I jak to wszystko ma się do dzisiejszej zaciętej walki podszytej dużymi pieniędzmi?

BT: To jest naturalny bieg zdarzeń. Wszystko się zmienia, a przemiany w sporcie związane z dużymi pieniędzmi nie były trudne do

przewidzenia. Jednym z winnych jest telewizja. Ma ona ogromne zasługi dla sportu, bo szalenie spopularyzowała wydarzenia sportowe. Jednakże, zorientowawszy się, że sport kreuje wielkie wydarzenia, skonstatowano, że na tym można zbijać fortuny, na reklamach i sponsorach. To nie znaczy, że teraz w sporcie wszystko jest złe. Sławni sportowcy, kiedy walczą, to nie myślą o pieniądzach. Nadal istnieją piękne koleżeńskie gesty i gra fair.

Włodzimierz Szaranowicz: Kiedy pan Bohdan wracał z międzynarodowych zawodów i opowiadał, to w redakcji panował powiew świeżości, wielkiego świata. Pamiętam, że kiedyś pan Bohdan został zaproszony do „Sygnałów dnia” w Polskim Radiu, na godzinę szóstą dwadzieścia, a normalnie przychodził do pracy na jedenastą, i skonstatował do prowadzącego audycję Tadeusza Sznuka...

– Wie pan, nie wiedziałem, że tak wcześnie rano jest tak pięknie...

BT: Zareagowałem spontanicznie, tak jak spontaniczna jest relacja z zawodów sportowych. Ona musi być rzeczowa, ale rządzi się swoimi zwyczajami. Nie można rozmijać się z faktami, ale mamy prawo do oddawania naszych nastrojów i uczuć.

Tomasz Wolek: Ówczesny prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego Marian Renke powiedział kiedyś, że Jan Ciszewski to jest sprawozdawca dla robotników, a Bohdan Tomaszewski dla inteligencji...

BT: Nie zgadzam się, bo kiedy zaczynałem pracę i już się rozkręciłem przed mikrofonem, to starałem się mówić nie tylko do moich znajomych, ale wręcz dla wiejskiej kobieciny, która akurat słucha radia. Wiedziałem, że jeśli do niej dotrę i ona nie przestanie słuchać, to to będzie moim sukcesem. Opowiadano mi kiedyś, że chłopak, który pracował przy żniwach, jednocześnie słuchając mojej relacji, był tak zaśluchany, że zamiast snopek, to złapał dziewczynę i wrzucił na furę ze snopkami.

Niewątpliwie przylgnęło do mnie, że jestem romantykiem sportowym. W dzisiejszych czasach brzmi to w pewnym sensie śmiesznie,

a ja starałem się rozumieć sport w trzech aspektach. Sport jest walką, którą trzeba wygrać, zachowując reguły, czyli niesie pewną wartość. Trzeba umieć wygrać, ale i trzeba umieć przegrać, co jest trudniejsze, ale daje szansę na rewanż. My wszyscy czasami przegrywamy, ale staramy się wyciągnąć wnioski i walczyć dalej, a może nam się następnym razem uda, ot i cały mój romantyzm. Nasi sportowcy, nawet w czasach komunizmu, walczyli dla Polski tej nieprzemijającej.

Kiedy w 1945 roku przyszła ta fala burych szyneli, to Bozia mnie uratowała, że zająłem się sportem i nie wdawałem się w politykę poprzez sport. Dopiero rok 1980 stał się w mojej ocenie ruchem niepodległościowym. I nagle to zostało złamane. Pomyślałem, że wtedy czas było się wycofać.

Edward Dziwoński: Każdy aktor, patrząc na drugiego aktora czy aktorkę grającą, po dwudziestu sekundach wie, czy ona, czy on wie, co mówi i o czym mówi. Ostatnio szalenie dużo jest tych, którzy nie wiedzą ani tego, ani tego. Natomiast Bohdan za swoich radiowych czasów mówił w ten sposób, że ja wszystko wiedziałem i widziałem.

GODZINA VI

JACEK KACZMARSKI (nagranie wiosna 1993)



Jacek Kaczmarek i Krzysztof Turowski, ze zbiorów autora

Jacek Kaczmarek: Pierwsze osobiste przeżycie, które pamiętam i które zrobiło na mnie ogromne wrażenie, to zamieszki studenckie pod gmachem Riwiery w 1968 roku. Miałem wówczas jedenaście lat i mieszkalem u dziadków, niemalże naprzeciwko. I widziałem ciężarówki z gołędziniakami (oddziały ze szkoły ZOMO na Gołędzinowie w Warszawie). Dwadzieścia lat później napisałem o tym balladę. Sie-działo to we mnie.

Drugie ważne przeżycie było, kiedy zdałem sobie sprawę, że jestem na emigracji. I nie chodzi tu o sam moment wprowadzenia stanu wojennego, który zastał mnie w Paryżu, bo wówczas to był szok. Dopiero później dotarło do mnie, że obecnie muszę sam i tylko sam decydować o moim losie. Miałem wówczas dwadzieścia cztery lata.

KT: I wtedy powstała Nasza Wiosna?

JK: To była mała piwniczka, w prywatnym budynku, niedaleko placu Bastylli, na tzw. Sabinkach, czyli rue Saint Sabin. Spotykali się tam zaangażowani emigranci solidarnościowi, ale także emigranci z innych krajów Europy Wschodniej, na, jak ja to nazywałem, „utwierdzenie się we własnych słabościach”, a kiedy wiedzieliśmy, że jesteśmy w tym momencie przegrani – na topienie swoich smutków w alkoholu.

Francuzi byli wówczas nami zafascynowani, a myśmy chcieli korzystać z tego, co mamy.

*Jaja w kraju niewyjęte –
Solidarność dała ciała,
Spawacz gra w bambuko z Glempem,
Partia trzyma się na pałach.
W dzień handelek, czym podleci,
Za to w nocy ostra bania –
Pieniądz tańszy już od śmieci,
Milion poszedł bez gadania.*

*ZOMO tanio się sprzedaje,
Buce tępe i uczynne,
Za dwa Króle, czyli Cwaję
Sami wiozą na melinę.
Starczy z okna się wychylić,
Krzyknąć: pokot ma pragnienie!
A już dwaj pod drzwiami byli
Z odpowiednim obciążeniem!*

*Koleżanki wychowane
Nie certolą się na marne,
Dają chętnie i na zmianę –
Wszystkie bardzo solidarne!*

Oczywiście Francuzi byli też szalenie solidarni. Organizowali koncerty, na których grałem i z których dochód szedł na pomoc dla opozycji w Polsce, na wiece protestacyjne. To były tysiące ludzi, którzy chcieli przede wszystkim dowiedzieć się czegoś o Polsce i „Solidarności”, a jednocześnie wyrazić ich solidarność. Nie sposób wyliczyć ilość konwojów humanitarnych i nie tylko humanitarnych.

KT: Masz też wielbicieli wśród młodszego pokolenia, które nie pamięta stanu wojennego...

JK: I to im dedykuję balladę „Wojna postu z karnawałem”, żeby zastanawiać się nad sprawami najważniejszymi:

*Niecodzienne zbiegowisko na śródmiejskim rynku
W oknach, bramach i przy studni, w kościele i w szynku.
Straganiarzy, zakonników, błaznów i karzełków
Roi się pstrokate mrowie, roi się wśród zgiełku.*

*Praca stała się zabawą, a zabawa – pracą:
Toczą się po ziemi kości, z kart się sypią wióry,
Nic nie znaczy ten, kto nie gra, ci co grają – tracą
Ale nie odróżnić w ciżbie, który z nich jest który.*

*W drzwiach świątyni na serwecie krzyże po trzy grosze,
Rozgrzeszeni wysypują się bocznymi drzwiami.
Kłęczą jałmużnicy w prochu pomiędzy mnichami,
Nie odróżnić, który święty, a który świętoszek.*

*Oszalało miasto całe,
Nie wie starzec ni wyrostek
Czy to post jest karnawalem,
Czy karnawał – postem!*

KT: Przyłgnęło do ciebie określenie bard „Solidarności”...

JK: Nie znam konotacji słowa bard. Śpiewam to, co jest wynikiem mego obserwowania świata i moich przemyśleń na temat człowieka... A odbiorców mam wszędzie, od Australii, przez Afrykę Południową, po Polskę. Czasami jest to kilkanaście osób, a czasami kilkaset lub więcej.

Na moją twórczość wpływ wywarło moje najbliższe otoczenie – rodzice, którzy byli malarzami, i dziadkowie. Patrzenie na świat poprzez obraz próbuję wcielić w większości moich utworów za pomocą słowa. Karmienie się sztuką jest dla mnie podstawą tego, co tworzę. Natomiast komunistyczne zapatrywania dziadka, który oprócz tego był pedagogiem, obudziły we mnie wrażliwość społeczną, że żyje się dla dobra społecznego człowieka i trzeba bronić skrzywdzonych. Moje późniejsze zaangażowanie w działalność opozycyjną było dokładnym wcielaniem ideałów dziadka z odwrotnym wektorem.

Anna Semkowicz: A jednocześnie pisał pan wiersze do swoich rodziców, których widywał pan jedynie dwa, trzy razy w tygodniu...

JK: Uczyłem się w ten sposób osobistego wyrażania ekspresji, co jest niebywale ważne w sztuce. Dzięki temu miałem i mam bardzo dobre relacje z najbliższymi.

*On natchniony i młody był, ich nie policzyłby nikt
On im dodawał pieśnią sił, śpiewał, że blisko już świt
Świec tysiące palili mu, znad głów podnosił się dym
Śpiewał, że czas by runął mur...
Oni śpiewali wraz z nim...*

KT: Czy ostatecznie mury runęły, czy ciągle rosną?

JK: Refren w tej piosence nie znaczy nic, natomiast pointa znaczy wszystko...

*Aż zobaczyli ilu ich, poczuli siłę i czas
I z pieśnią, że już blisko świt szli ulicami miast;
Zwalali pomniki i rwali bruk – Ten z nami! Ten przeciw nam!
Kto sam ten nasz najgorszy wróg!
A śpiewak także był sam*

*Patrzył na równy tłumów marsz
Milczał wsłuchany w kroków huk
A mury rosły, rosły, rosły
Łańcuch kołysał się u nóg...*

*Patrzy na równy tłumów marsz
Milczy wsłuchany w kroków huk
A mury rosną, rosną, rosną
Łańcuch kołysze się u nóg...*

JK: Każdy z nas burzy mury, a potem często znajduje się wewnątrz innych.

KT: Śpiewałeś w jednym z utworów: od nienawiści zbaw nas Panie...

JK: To jest wiersz Natana Tenenbauma, a Przemek Gintrowski napisał muzykę i ta piosenka stała się nieformalnym hymnem „Solidarność”, jako deklaracja wiary, woli walki tymi właśnie metodami, chrześcijańskimi, a nie innymi.

Jacek Bierezin napisał w tomiku poezji dla paryskiej „Kultury”, że nienawiść może też być siłą pozytywną. Mickiewicz też pisał, że dzieło niszczenia w dobrej sprawie, jest równie święte, jak dzieło tworzenia, ale ja w mojej twórczości się takimi wskazaniem nie powodowałem.

*Każdy Twój wyrok przyjmę twardy
Przed mocą Twoją się ukorzę
Ale chroń mnie Panie od pogardy
Od nienawiści strzeż mnie Boże*

KT: A czy masz nadzieję?

JK: Tak, to rodzaj energii do życia.

KT: A z jakiego czerpiesz ją źródła?

JK: Z tego, że jest!!! Bo źródło, bo źródło wciąż bije...

GODZINA VII

KRZYSZTOF SKUBISZEWSKI **(nagranie 1992)**

Profesor nauk prawnych, ówczesny minister spraw zagranicznych.



Krzysztof Skubiszewski i Krzysztof Turowski, ze zbiorów autora

Krzysztof Skubiszewski: Nieprawdą jest, że byłem agentem Służby Bezpieczeństwa lub tajnym jej współpracownikiem! Dotknęły mnie pomówienia i zniesławienia, ale nie wdaję się w dyskusje w tej kwestii.
KT: Jeśli poznaniacy postrzegani są w Polsce jako przykład solidności i dokładności, to pan postrzegany jest jako przykład dla poznaniaków, przynajmniej w opinii pańskich współpracowników. To cecha osobista czy regionalna?

KS: Solidność to cecha regionalna, choć za czasów PRL potrafiła ona zanikać i w tym regionie. Niemniej coś tam zostało, a obecnie się odradza. To miało i na mnie wpływ, ale oczywiście zasadniczy wpływ miał dom rodzinny. Moja matka była poznanianką, a ojciec pochodził z Lubelszczyzny.

KT: Mimo że byliście państwo właścicielami dużego mieszkania w Poznaniu, to zamieszkał pan w kawalerce w bloku, na osiedlu...

KS: Proszę pamiętać, że działo się to w roku 1968, a ja otwarcie zaprotestowałem przeciwko antyżydowskiej nagonce, a także przeciw inwazji na Czechosłowację, podczas zebrania na Uniwersytecie Poznańskim głosząc, że jest nielegalna i sprzeczna z prawem międzynarodowym. Potępień społecznych było w Polsce wiele, ale było mało wystąpień publicznych. Sprawa trafiła do prokuratora, ale na szczęście był rozsądny, uważając, że nagłośnienie sprawy przyniosłoby odwrotne skutki. Skończyło się na sugestii opuszczenia Uniwersytetu Poznańskiego.

KT: Nie często pan to wspomina, bo jest pan bardzo skromny i to na co dzień. Kiedy jako minister zamieszkał pan w hotelu służbowym, to ponoć chodził pan z grzałką w poszukiwaniu miejsca, gdzie można by zagrzać wodę na herbatę?

KS: Funkcja ministra spadła na mnie nagle i nie miałem mieszkania w Warszawie. Postanowiono, że zamieszkam w należącym do MSZ pałacyku Przeździeckich na Foksal, ale tam warunków mieszkaniowych w zasadzie nie było. Nie było kuchni, nie było lodówki, a nawet szafy, więc moja prezorność była na miejscu.

KT: Pańska kuzynka ze strony mamy opisała pana w sposób niezwykle pozytywny:

Na tle politycznego rozgadania, na tle panującej arogancji, poznańskie poczucie ładu i porządku, stało się dla mnie czymś bardzo ważnym. Poza tym Krzysztof ma zdumiewający dar

wysłuchiwania ludzi, cierpliwość i umiejętność pochylania się nad człowiekiem, a także ciekawość drugiego człowieka i chęć zrozumienia jego myślenia i jego motywacji. Zawsze jak były jakieś kłopoty, trudności, to Krzysztof robił to, co było możliwe. Nie gadał, tylko robił. Umie też w sposób bardzo prosty mówić o sprawach skomplikowanych.

Czy te cechy, panie ministrze, wpoila panu matka, osoba, która wywarła ogromny wpływ na pańskie życie?

KS: Z matką mieszkalem aż do jej śmierci. W całym postępowaniu mojej matki czynnikiem dominującym było służenie innym, czyli prawdziwe chrześcijaństwo. Działała w wielu organizacjach katolickich. Była ostatnią przewodniczącą Sodalicii Mariańskiej w Poznaniu, aż do jej likwidacji, której zresztą nie uznała. I nadal tę grupę pań prowadziła, aż do czasu ciężkiej choroby.

Wspomniano o solidności, którą rozumiem jako świadomość obowiązku i wykonywanie go. Życie nie jest dla przyjemności, ono jest dla realizacji obowiązków. Tego mnie mama nauczyła. Ona była stale z nami, jak to w tradycyjnej rodzinie, a ojciec był od pewnych okazji.

Później nie była jedyną kobietą w moim życiu. Bliskie relacje, przez pewien czas, łączyły mnie z panią Celiną Oczkowską.

Celina Oczkowska: Poznaliśmy się w 1952 roku na maleńkiej wyspie na Jeziorze Rożnowskim. Byłam tam na wakacjach z moją siostrą, do której przyjechał jej chłopak Jerzy Łukaszewski (późniejszy ambasador RP w Paryżu i rektor Kolegium Europejskiego w Brugii) ze swoim przyjacielem Krzysztofem. I tak to się zaczęło. Nasze spotkania były bardzo częste, w różnych miejscach, a kiedy wyjechałam do Włoch, spotykaliśmy się w Italii lub Szwajcarii. Mam dwie walizki listów od Krzysztofa.

KS: Spoglądam na te wspomnienia z perspektywy i z dystansem...

KT: Jak to się stało, że pan, człowiek opozycji, zgodził się zostać członkiem Rady Konsultacyjnej przy generale Wojciechu Jaruzelskim. Trochę mnie to dziwi?

KS: Mnie to też dziwiło, ale proszę pamiętać, który to był rok. Rok 1968. W Polsce był ogromny zastój. Owszem, podziemie działało i odgrywało bardzo istotną rolę, ale w kraju był paraliż polityczny i gospodarczy. Jednocześnie już zaczęła się zmiana, którą wówczas dostrzegło mało osób. Rozpoczęły się reformy Gorbaczowa oznaczające początek transformacji w Europie i to był moment, żeby rozpocząć zmiany także w Polsce. Skorzystałem z otrzymanego zaproszenia, bo chciałem powiedzieć generałowi Jaruzelskiemu, że tak jak obecnie dalej w Polsce być nie może i nie będzie. Im prędzej zmiany się zaczną, tym lepiej. Nie przeceniam mojej roli, ale... Rada zresztą była wyłącznie forum dyskusyjnym. Nie podejmowaliśmy żadnych decyzji. Jedyna podjęta uchwała dotyczyła wizyty papieskiej. W tym gremium należałem do niewielkiej grupy ludzi z przeciwnej strony barykady, reszta była z otoczenia generała.

KT: Wszyscy, z którymi rozmawiałem, wypowiadają się o panu w samych superlatywach. Czy ma pan jakieś wady?

KS: Pewnie wadą jest to, że nie mam żony. Może nie wada, ale mankament. Może mógłbym też być lepiej zorganizowanym. Podczas mojego urzędowania w MSZ przepracowałem wszystkie niedziele i miałem tylko jeden szesnastodniowy urlop, co jest dowodem złej organizacji. Pracuję wolno, tak jak wszyscy starsi panowie, bo jesteśmy bardziej dociekliwi niż młodzi ludzie.

Janina Paradowska: Jak określiłby pan polską rację stanu?

KS: To jest obrona niepodległości państwa, szczególnie cennej, bo niedawno odzyskanej, to budowanie bezpieczeństwa państwa, poprzez różne układy i sojusze, to zapewnienie, we współpracy z innymi państwami, naszego zdrowia gospodarczego i politycznego, i ustrojowego,

z czym mamy spore kłopoty. Naszym priorytetem jest polityka europejska, a w niej stowarzyszenie z europejskimi wspólnotami.

Jednocześnie prowadziliśmy twarde i trudne rozmowy z Rosją o wycofanie jej wojsk z terytorium Polski. Byłem świadkiem, jak prezydent Lech Wałęsa prowadził w tej sprawie negocjacje z prezydentem Borysem Jelcynem w Moskwie. To była sytuacja bez precedensu, albowiem prezydent, który jedzie z wizytą państwową, nie prowadzi już żadnych negocjacji. Tymczasem prezydent Wałęsa negocjował skutecznie i z Moskwy przywieźliśmy dobry protokół finansowy łącznie z całym pakietem umów dotyczących wycofania rosyjskich wojsk. Byłem *spiritus movens* tych rokowań od 1990 roku zakończonych pomyślnie.

KT: Minister Hans-Dietrich Genscher w wywiadzie dla dziennika „Le Figaro” powiedział, że doszło wreszcie do podpisania porozumienia na linii Warszawa–Berlin–Paryż. To cud. Czy pan się z tym zgadza?

KS: Może i cud, bowiem takiego porozumienia w historii naszej dyplomacji nie było. Daliśmy dobry początek rzeczy nowej, nie jedynej w naszej polityce zagranicznej, za co należą się podziękowania narodowi polskiemu. On tę politykę zagraniczną od 1989 roku popierał i był dla mnie wielkim wsparciem.

GODZINA VIII

WIESŁAW GOŁAS (nagranie 1993)

Aktor teatralny, kabaretowy i filmowy.



Wiesław Gołas,
ze zbiorów autora

Wojciech Młynarski: Oto piosenka z 1966 roku z programu przygotowanego wspólnie z Jerzym Dobrowolskim „Gołas show”, który nigdy nie ujrzał światła dziennego.

*Gołas, Gołas ukochany,
Gołas malowany,
Kto nam rozwesela twarz?
Wiesław Gołas, Wiesław Gołas nasz.
Lgnie i łąsi się do niego i grotołaz, i wodołaz
Powtórz z nami więc kolego
Wiesław Gołas, Wiesław Gołas
Gołas czerstwy czy mizerny.
cywil czy pancerny*

*Toast jego niech dokoła brzmi
Niech nam żyje Wiesław Gołas
uśmiech naszych dni!
Niech nam żyje Wiesław Gołas
uśmiech naszych dni!*

Wojciech Młynarski „Pieśń o Gołasie”

KT: Czy pamięta pan swoje miasto rodzinne – Kielce?

Wiesław Gołas: To moje miasto ukochane, dzielnica Baranówek, liceum im. Śniadeckiego, Szkoła Podstawowa nr 9. Chciałem być lotnikiem, marynarzem, leśnikiem, a jestem synem przedwojennego oficera sanacyjnego i gdyby wojna nie wybuchła, pewnie bym wyładował u kadetów. W liceum jeden z profesorów stwierdził, że nie powinienem się nazywać Gołas, tylko Diablas, bo byłem zbyt energiczny.

Tam też były pierwsze miłości, ale ponieważ miałem trójkę z matematyki, to wszystkich ich nie zliczę.

W 1949 roku po raz pierwszy zdawałem do krakowskiej Szkoły Teatralnej, ale się nie dostałem, więc wróciłem do Kielc i pracowałem w Wojewódzkim Komitecie Kultury Fizycznej i Sportu jako planista. Oczywiście bardziej udawałem, niż pracowałem.

W czasach licealnych chodziłem też do szkoły muzycznej i wystąpiłem w roli Harnasia w „Krakowiakach i Góralach” Bogusławskiego. Na ten spektakl przyjechał Leon Schiller. Wezwał mnie po spektaklu i poradził, żebym zdawał do warszawskiej Szkoły Teatralnej.

– Tam szkołą kieruje pan Aleksander Zelwerowicz, on mnie bardzo nie lubi, ale może pan powiedzieć, że ja pana przysyłam.

I poszedłem. Przede mną niebywale szacowne grono wielkich sław aktorskich, a Zelwerowicz proponował, żebym odegrał rolę Jaśka z „Wesela” Wyspiańskiego, a Jacek Woszczerowicz kazał mi odegrać fragment z „Pani Twardowskiej” Mickiewicza i... zostałem przyjęty.

Anna Semkowicz: Jest pan ponoć najtańszym aktorem. Nigdy nie pyta pan, za ile będzie pan grał, tylko z kim. To rzadkość.

WG: Dla mnie bardzo ważne jest, z kim mam grać, a o pieniądze też czasami zapytam.

Janina Paradowska: Ile razy zagrał pan, bodaj najsłynniejszą rolę, rolę Papkina w „Zemście”?

WG: Ponad trzysta. W tej roli objawia się cały zawód aktorski. Papkin jest poetycki i zadziorny, żartuje, płacze, udaje, że umiera.

Igor Śmiałowski: Jest taka anegdotka, że Wiesio zapytał kiedyś Andrzeja Łapickiego, w jaki sposób uczy się tekstu na pamięć?

– Po prostu – odparł Łapicki – kładę się na kanapie, biorę tekst, czytam i powtarzam do zapamiętania.

– To ja podobnie – odrzekł Gołas – kładę się na kanapie, biorę tekst, czytam i od razu zasypiam.

Aleksander Bardini: Gołas jest allround aktor. Praktycznie nie ma dla niego ról niemożliwych do zagrania. Uważam, że on potrafi zagrać książkę telefoniczną. Ma niebywałe zdolności i gdyby przypadkowo urodził się w kraju anglojęzycznym, byłby lepszy od Dany’ego Kaye’a, bardzo popularnego amerykańskiego aktora, piosenkarza i komika. I co ciekawe, u obu tych panów wiek nie gra roli. Zawsze siebie odnajdywali, a my byliśmy wdzięczni, że odnajdywali też nas.

Odpocznijmy troszkę od Gołasa,

wierzcie mi to ma swój cel.

Jeszcze będzie wrażeń cała masa

teraz mały relaks sobie strzel.

Oprzyj się wygodnie na poduszkach,

rozpaloną główkę schyl.

Niechaj dróżka, wąska dróżka wyobraźni twej

bez Wiesia się obędzie parę chwil.

*Drogi nasz artysta, mam nadzieję
też nas nie rozumie źle...
Najsmaczniejszy kąsek też się przeje,
gdy się zbyt łapczywie je.
Niech od Manhattanu do Zalesia
każdy w lot zrozumie to,
że odpocząć i od Wiesia czasem dobrze jest,
by potem jeszcze bardziej lubić Go.*

Wojciech Młynarski: Ta piosenka, podobnie jak poprzednia, miała się ukazać w programie „Gołas show”, ale program nie został dopuszczony z powodu tej właśnie piosenki. Odbył się taki oto dialog:

Cenzor: „Odpocznijmy od Gołasa” jest w tej piosence?

Młynarski: Tak.

Cenzor: A jak ma na imię Gołas?

Młynarski: Wiesław.

Cenzor: A jak ma na imię nasz I sekretarz partii?

Młynarski: No też Wiesław. I o to panom chodzi?

Cenzor: Nieźle to panowie wykombinowali, odpocznijmy od towarzysza Wiesława, tak? Nie możemy tego puścić na antenę!

GODZINA IX

EDWARD WENDE (nagranie 1995)

Adwokat, obrońca w procesach politycznych, senator.



Edward Wende,
ze zbiorów autora

Edward Wende: Zafascynowałem się zawodem, który uprawiał znakomicie mój ojciec Edward Karol Wende i był pełnym poświęcenia obrońcą nieszczęsnych ludzi. Pamiętam, jako uczeń liceum, pierwsze procesy polityczne w latach pięćdziesiątych i widziałem w domu siną ze zmartwienia twarz ojca.

Nie mówię o procesach żołnierzy Armii Krajowej, bo to były zwykłe morderstwa, ale o procesach chłopów, tak zwanych kułaków, którzy skazywani byli na lata więzienia za niewywiązanie się z tak zwanych obowiązkowych dostaw, czyli rodzaju współczesnej pańszczyzny na rzecz komunistycznej władzy. Oni oddawali niemal wszystko, co mieli, ale narzucony im plan był tak wysoki, że nie byli się w stanie z niego wywiązać i lądowali w więzieniu.

Ojciec został wówczas wezwany z grupą kolegów do prezesa Sądu Wojewódzkiego, który powiedział:

– Panowie, do tych spraw proszę się nie mieszać!

A ojciec się mieszał. Miał postępowania dyscyplinarne, a zatem miałem wzorzec, z którego czerpałem.

KT: Idąc za tym wzorcem, kiedy występował pan w procesie zabójców księdza Jerzego Popiełuszki, mówił pan, że:

Mord pozostaje mordem, bez względu, na jakie racje powołuje się morderca. Oskarżeni uznali, że stawiając się ponad, mają prawo być (z sobie znanych powodów) i oskarżeniem, i sądem, i katem. Przed ich sądem nie było jednak obrońcy. Nie dali Księdzu tej szansy, z której teraz korzystają sami. Korzystają – i słusznie – z pomocy obrońców, której ich ofiara nie miała. Bronią się przed sądem, którego ich ofiara również nie miała. Odmówili swej Ofierze nawet humanitarnej śmierci, dobijając ją pałką w czterech stacjach jej drogi krzyżowej. Postawili się ponad prawem, a teraz powołują się na racje polityczne. Żałosne to i smutne, że ci ludzie – oficerowie odznaczani przez resort odznakami za umacnianie ładu i porządku – nie wiedzą, że sami zadali temu krajowi jeden z najpoważniejszych ciosów politycznych.

Stali się nie tylko oskarżycielami i katami Księdza, ale i oskarżycielami swych przełożonych, których akcept, gdyby dać im wiarę, mieli mieć. Usprawiedliwiają zbrodnię zadaniami stawianymi im w ramach służbowej działalności... I w tym sensie oskarżeni stali się oskarżycielami również resortu, w którym byli zatrudnieni.

EW: Było to nieprawdopodobne przeżycie. Nie tylko proces, ale przede wszystkim tragiczna śmierć Jurka.

Anna Semkowicz: Występował pan w procesach po stronie tych, którym towarzyszyła sympatia społeczna. A gdyby oskarżony o działania ZOMO w kopalni Wujek, w grudniu 1981 roku, generał Czesław Kiszczak zwrócił się do pana, to przyjąłby pan rolę obrońcy?

EW: Nie ma takiej możliwości. Jednak między klientem a adwokatem musi być nić zaufania, chociaż... miałem podobne przypadki, gdy zgłaszali się do mnie funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa, którzy znaleźli się w tarapatkach w ich resorcie. Zadawałem im pytania, dlaczego zwracają się do mnie, mając wielu adwokatów im bliższych. Odpowiadali, że mają do mnie zaufanie, bo wiedzą, że nie będę się bał! I podjąłem się pomocy tym klientom.

AS: Wiadomo, że wyroki w procesach politycznych w tamtych czasach zapadały poza salą sądową. Jaka zatem była rola obrońców?

EW: Zastanawialiśmy się nad tym z Tadeuszem de Virionem, z którym broniliśmy w procesach politycznych. Uważaliśmy jednak, że jest to nasz obowiązek zawodowy i mówiąc szumnie – patriotyczny. Broniliśmy wszak ludzi, którzy za nas siedzieli w więzieniach, walczyli o wolną Polskę. I pomoc po prostu im się należała.

Dowody w tych sprawach były fingowane, gromadzone w sposób nierzetelny, a przedstawione dowody obrony odrzucane bądź marginalizowane. Sędziowie z tych procesów pracują nadal, wiele lat po zmianach ustrojowych...

AS: Jedyny proces, który pan wygrał w okresie stanu wojennego, to proces w sprawie ucznia liceum im. Batorego w Warszawie, którego skutego kajdankami wyprowadzono ze szkoły za to, że chciał uczcić pamięć górników poległych w obronie kopalni Wujek w grudniu 1981 roku.

EW: Zapadły dwa wyroki. W pierwszym skazano go na sześć miesięcy, a w drugim uniewinniono. Jemu postawiono zarzut, że nawoływał do nielegalnego zgromadzenia podczas dużej przerwy, ponieważ wywiesił ulotkę: 16 grudnia, cisza protestacyjna.

Utrzymałem przed sądem, że to normalne, że uczniowie bez zezwolenia gromadzą się na dużej przerwie. Pierwszy wyrok nie dał się utrzymać w mocy i w apelacji pani sędzia Wąsik uchyliła ten wyrok, ale następnego dnia została odsunięta od orzekania.

KT: Poza pracą zawodową jest pan bon vivant...

EW: Lubię towarzystwo, lubię przebywać z ludźmi, lubię ludzi, którzy się uśmiechają, którzy są serdeczni.

Janina Paradowska: Jest pan również członkiem Trybunału Stanu. Ciągłe rodzą się pomysły, żeby kogoś postawić przed tym Trybunałem, ale nikt dotąd przed nim nie stanął. To po co te wołania?

EW: Trybunał Stanu jest swoistym sumieniem narodu, powołany do sądzenia najwyższych urzędników w państwie za naruszenie konstytucji i ustaw. Skierowano już do Trybunału wnioski, ale Sejm nie wyznaczył oskarżycieli i jest pat konstytucyjny. Myślę jednak, że Trybunał Stanu winien istnieć choćby jako potencjalna możliwość i odstraszasz... szczególnie w dobie podziałów politycznych i wojen na górze.

Należy pamiętać, że „Solidarność” była wielkim ruchem niepodległościowym, kiedy jednak zwycięstwo się dokonało, to nastąpił naturalny demokratyczny podział i demokratycznie utworzone instytucje są niezbędne. Mogą się przydać, choć nie wiadomo kiedy.

GODZINA X

ADAM HANUSZKIEWICZ (nagranie 1995)

Aktor, reżyser, dyrektor Teatru Narodowego i Teatru Nowego, bożyszczce kobiet.

Adam Hanuszkiewicz,
ze zbiorów autora



KT: Jaki jest pana opis rodzinnego miasta Lwowa?

Adam Hanuszkiewicz: To było miasto cudowne, z poczuciem humoru, miasto, z którego wzgórza wypływały dwa potoki, jeden w stronę Bałtyku, drugi w stronę Morza Czarnego. Było to miasto sześciu czy siedmiu katedr, sześciu czy siedmiu religii, których wyznawcy szanowali się wzajemnie, a na msze rodzinne chodzili do różnych obrządków na zmianę. Raz chodziliśmy do ormiańskiego kościoła, raz do jezuitów, gdzie byłem ministrantem, a innym razem do greckokatolickiego.

KT: Krążą legendy o pana rozlicznych romansach. Jak było naprawdę?

AH: Mógłbym odpowiedzieć jak pewien góral, którego ksiądz zapytał podczas spowiedzi, ile miał dziewczyn. Na co on odpowiedział, że nie przyszedł pod konfesjonał, żeby się chwalić! Gdybym miał powiedzieć, ile mam naprawdę na sumieniu, to by nikt nie uwierzył, więc nie powiem.

KT: Tak dużo?

AH: Nie, tak mało! Ale jak mawiał Woody Allen, byłem wierny moim żonom kilkanaście razy!!!

Mnie cyganka dawno temu powiedziała, że będą mnie sobie kobiety podawać jak pałeczkę sztafetową z rąk do rąk, spokojne o moje życie.

Spytałem, czy to będą kolejne żony? Nie, nie żony – odparła – ale serdeczne przyjaciółki, które będą cię prowadzić. I tak było. Kolejne serdeczne kobiety opiekowały się mną, kiedy byłem dyrektorem w Narodowym, a potem w Nowym, moje sekretarki.

KT: A gdzie szukać śladów pańskiego debiutu?

AH: Służenie do mszy w wieku sześciu lat, u Ojców Jezuitów, w tym wspaniałym rytualnym teatrze kościelnym, stanowiło ślad pierwszy. Drugi ślad to... Wygrałem w szkole powszechnej konkurs na temat oszczędzania i napisałem ów tekst dialogiem. Następnie robiłem „filmy” rysunkowe na kartkach, do których dopisywałem dialogi. I jeszcze wygrałem konkurs recytatorski z „Wielką improwizacją”. Oczywiście występowałem też w jasełkach jak wszyscy. A właściwy debiut, który trochę ukrywam, nastąpił w Rzeszowie, w operetce „Miłość na Marsie” Antoniego Kleberga. Grający główną rolę dyrektor Bogdan Proskurnicki pewnego wieczoru, wracając z Lublina, utknął w zaspach i musiałem go zastąpić. Nawet mi to dobrze poszło, więc przy następnym przedstawieniu poszedłem na całość, a w prasie napisano, że bardzo pięknie grałem, ale niepotrzebnie śpiewałem!!!

KT: Był pan też jednym z twórców Teatru Telewizji, jeszcze w latach sześćdziesiątych. I tu pytanie, jaka jest funkcja czasu w Teatrze Telewizji?

AH: Kiedy mnie wysłano na staż w telewizji francuskiej z siedmiuset pięćdziesięcioma frankami stypendium od prezesa Włodzimierza Sokorskiego, a drugie tyle dostałem od strony francuskiej, szefostwo francuskie potraktowało mnie per noga.

– Ma pan do nas jakieś pytania? – zapytał lekceważąco dyrektor.
– Owszem – odparłem moim słabym francuskim. – Jaka jest funkcja czasu w teatrze telewizyjnym?

– Proszę?

– Jak jest funkcja czasu w teatrze telewizyjnym? – powtórzyłem.

Szczeka mu opadła i zadzwonił do profesora Wernera, sławy od teorii literatury. Profesor powiedział, że ma dla mnie kwadrans, a ponieważ spóźniłem się siedem minut, to zostało osiem, i zacząłem wygłaszać mu moją teorię. Profesor słuchał mnie ponad godzinę i uznał, że jestem specjalistą w tej materii godną cytowania w jego wykładach. Wrócił szacunek dla nas.

KT: Jaka jest pana recepta na znakomitą kondycję po przekroczeniu siedemdziesiątki?

AH: Niezastanawianie się nad tym problemem!!!

Janina Paradowska: Spośród polskich dramatów najbardziej ceni pan „Wesele” Wyspiańskiego. Dlaczego?

AH: To jest absolutne arcydzieło, to biblia polskiego teatru, która stanowi jego fundament. Gdyby zostało napisane w innym, bardziej komunikatywnym języku, po francusku czy po angielsku, byłoby fundamentalnym dziełem awangardy dramatopisarskiej. Dla mnie stanowi obraz pewnego typu patriotyzmu, ironicznego, gorzkiego, którego początki znajduję w strasznym liście Zygmunta Krasińskiego do ojca, a następnie u Norwida, u Garczyńskiego, u pozytywistów i właśnie u Wyspiańskiego. To jest patriotyzm, który mówi prawdę o naszych wadach. Jak mawiał Czechow, nie ma złego czasu, żeby nie mówić prawdy narodowi. Osoby dramatu w „Weselu” to są postacie z krwi i kości, dla których słowo nie jest czynem, jest paplaniną, za którą nie stoi czyn. To jest jądro dramatu Wyspiańskiego.

JP: A kto dziś byłby bohaterem, bohaterami takiego dramatu?

AH: Dużo, bardzo wielu... Dużo gadają o Polsce, ale coś mało robią. Ciągłe aktualny jest portret Polaka gaduły bez zaplecza czynu. Przy

czym „Wesele” nie jest atakiem na polską inteligencję. To jest atak na część bohemy i jej znajomych. I dopóki współczesna rzeczywistość będzie aktualizowała „Wesele”, dopóty dobrze nie będzie.

Anna Semkowicz: Najbliżsi panu dramaturdzy?

AH: Aleksander Fredro, który uratował kraj od melancholii, trochę dziś niestety passé, Gombrowicz, bardzo mi bliski, jeśli mogę tak powiedzieć o geniuszu. Pierwsze dwa tomy jego „Dzienników” zabrałbym na bezludną wyspę. To jest człowiek, który zwerbalizował moje przecucia, geniusz, czwarty geniusz, najważniejszy dla nas.

AS: Myślałam, że powie pan jak Gombrowicz w „Dziennikach”: poniedziałek – ja, wtorek – ja, środa – Ja...

AH: Tak, najskromniej mówi się o sobie, a bezczelnością jest rozprawić o Norwidzie.

AS: Czym dla pana jest miłość?

AH: Poważna sprawa. Myślę, że dla mężczyzny są dwie sprawy najważniejsze w życiu, praca i miłość...

AS: Miłość do teatru?

AH: Nie! Teatru nie kocham. W teatrze się realizuję, a kocham ludzi.

AS: Powiedział pan, że jest pan starym nudziarzem?

AH: Tak, ja się sobą bardzo nudzę i mimo pozorów nie lubię siebie...

AS: Nie wierzę...

AH: Powiedziałem wyraźnie: MIMO pozorów! Czasem mam chwile słabości. Bywam śmiesznie zarozumiały, ale to wynika z faktu, że przez całe lata zachwycam się moimi pomysłami i później sobie uświadomiłem, że miałem do tego prawo. Bo to jest tak jak w lesie na grzybobraniu... wszyscy szukają, a to mnie tego prawdziwka udało się znaleźć.

JP: Objął pan Teatr Narodowy w 1968 roku po Kazimierzu Dejmku, po zdjęciu słynnej adaptacji „Dziadów”. Dlaczego? Nie był to objaw konformizmu?

AH: Miałem świadomość, w jakie „g....” się pakuję, więc nie można mówić o konformizmie, a raczej o odwadze i obowiązku. Uważam, że Teatr Narodowy nie powinien być anonimowym muzeum przedstawień teatralnych, które nie wiadomo, kto robi i na które nikt nie chodzi. Teatr Narodowy winien różnić się od innych większym obowiązkiem realizacji klasyki w sposób udowadniający, że to są arcydzieła. To znaczy, że mają być wystawiane w taki sposób, żeby młodzi ludzie, którzy oglądają „Balladynę”, mówili po spektaklu, że Słowacki jest lepszy od Mrożka. Wyznacznikiem jest pełna widownia, bo teatr służy publiczności. W moim Narodowym była!!! A służyć dobrze można tylko wtedy, kiedy jest się wolnym. Nie pracując pod gusty, tylko robiąc to, co się uważa za konieczne, cieszyć się, gdy się podoba, martwić się, kiedy się nie podoba.

*Znamy tę moc, magnetyzm dusz, który wzruszeniem trzyma nas
za gardło.*

Kurtyny noc zapadła już, a każdy marzyć i śnić pragnie.

*To żaden cud, lecz prosty fakt,
to teatr, aktor, widz, na resztę gwizdź.
A jednak tu szczegółu brak, bo najważniejszy mistrz.*

*On na drabinę wsadzi nas, albo na hondę,
on obrotówkę puści w rytm muzyki wściekle.
Grać, na gondoli każe grać, miast na stałym lądzie.
On teatr w niebie robi, albo teatr w piekle,
A przecież teatr to nie tylko on...
A przecież teatr dopóki jest widz
To prawda szczerą donośną jak ton,
co nie umiera jak scen naszych rytm.
I na koniec jeszcze życzeń plik...
i wkrótce dłonie drętwieją od braw.*

Niezastąpiony ponoć nie jest nikt...

Zgoda, ukłony, lecz nie Adam H

Marcin Sosnowski „Laurka urodzinowa dla Hanuszkiewicza”

AH: Jestem człowiekiem obdarowanym przez los powyżej moich zasług!!!

KT: A ja dziękuję panu za inscenizacje: „Przedwiośnia”, „Wesela”, „Balladyny”, „Kordiana”, na których się wychowaliśmy!!!

DONALD TUSK (nagranie wiosna 1992)

Polityk, poseł na Sejm RP, wówczas przewodniczący Kongresu Liberalno-Demokratycznego, później wicemarszałek Sejmu, premier rządu RP, przewodniczący Rady Europejskiej.



Donald Tusk, pierwszy z lewej, w towarzystwie księdza Józefa Tischnera i Janusza Lewandowskiego, ze zbiorów autora

KT: Kiedy jedna z gazet zorganizowała plebiscyt na najbardziej pociągającego mężczyznę, wygrał Jacek Kuroń, ale czytelniczki z żalem stwierdziły, że wśród kandydatów nie było jednego z młodych polityków o niebieskich oczach i blond włosach, niewinnym spojrzeniu i ujmującym uśmiechu. A chodziło oczywiście o Donalda Tuska.

Jest pan gdańszczaninem z dziada pradziada?

Donald Tusk: W Gdańsku zostało po wojnie chyba 2000 rodowitych gdańszczan, którzy wybrali Polskę, mimo że to były bardzo trudne wybory. Ja mogę dzisiaj czuć się w stu procentach u siebie, w Polsce, w Gdańsku i na Kaszubach, albowiem moja rodzina od wieków ma kaszubskie korzenie. Jeszcze w latach sześćdziesiątych nie było to łatwą sprawą. Historia bardzo podzieliła ludzi na Kaszubach, choćby w kwestii dwujęzyczności. Nie byliśmy całkowicie akceptowani przez przybyłych do Gdańska Polaków z centralnej Polski czy z za Buga.

KT: Kiedy miał pan trzynaście lat, w Gdańsku miały miejsce tragiczne wydarzenia w grudniu 1970 roku.

DT: Mieszkiałem kilkaset metrów od drugiej bramy Stoczni, a moja szkoła była w sąsiedztwie pierwszej bramy, więc siłą rzeczy byłem bezpośrednim świadkiem tych wydarzeń. Oczywiście niewiele rozumiałem, ale była to szkoła polityczna, po której nie sposób było dać się nabrać na komunizm.

KT: Pańska kariera zawodowa obejmowała wiele zawodów: nauczyciel, dziennikarz, wydawca, założyciel „Przeglądu Politycznego” w podziemiu, a potem był pan sprzedawcą bułek pod tunelem przy dworcu, a później zaczyna pan się wspinać... do kariery, pracując na wysokościach.

DT: Praca na wysokościach uczy rozsądku i uodparnia na zawroty głowy, co jest przydatne w polityce. Dwa tygodnie spędzone w hotelu robotniczym w Jaworznie i malowanie jakichś konstrukcji czterdzieści metrów nad ziemią, a później butelki piwa z robotnikami z całej Polski to była szkoła, która uczyła twardości.

KT: Potem nadszedł rok 1988, kiedy to miały miejsce strajki w Stoczni, w których brał pan udział...

DT: Mnie nie fascynuje martyrologia tamtych wydarzeń. Ta zabawa – z premedytacją używam określenia – zabawa w podziemie i konspirację,

była też dla młodego mężczyzny frajdą, sposobem na samorealizację. Ta martyrologia ma też różne oblicza. Pewnego razu dostałem petardę w najbardziej wstydliwą część ciała, wpadłem głową w śmietnik, a potem nie wiedziałem, jak ten heroiczny gest opisać, by wyszło przekonująco i estetycznie. Starałem się też nie robić za herosa, tam gdzie takiej potrzeby nie było. Oczywiście podczas takich wydarzeń rodziły się podstawy naszego liberalnego myślenia.

KT: Liberalizm nie kojarzy się dobrze w dzisiejszej Polsce?

DT: Sam fakt, że w ogóle z czymś się kojarzy, to już dobrze. Zrobiliśmy badania, aby uzyskać odpowiedź, jakie osoby kojarzą się z liberalizmem, i na tej liście znaleźli się Lech Wałęsa, Tadeusz Mazowiecki, Jan Krzysztof Bielecki, Leszek Balcerowicz, Jan Paweł II i Wojciech Jaruzelski. W polityce najwygodniej jest być w opozycji, a najtrudniej jest współrzędzić z partnerami, których się nie kocha i z którymi trzeba się ciągle dogadywać. Polityka to nie konkurs piękności i nie jest najważniejsza popularność, która w przypadku polityka plasuje się gdzieś między popularnością aktora czy piłkarza a znanego gwałciela. Dlatego uważam moją partię jako partię przyszłości, być może pokoleniową.

KT: Stefan Kisielewski, jeden z najbardziej zagorzałych liberałów w polskiej historii, powiedział kiedyś, że jeżeli nie można nic innego uczynić, jak bić głową w mur, to trzeba to robić. Czy pan się z nim zgadza?

DT: Myśmy, w jakimś sensie, bili głową w mur, kiedy braliśmy udział w strajkach czy kiedy staraliśmy się zaszczepiać poglądy liberalne w odniesieniu do gospodarki. Mamy dosyć twarde głowy, więc myślę, że wytrzymamy, choć pewnie nabijemy sobie kilka guzów. Ale... mam przekonanie, że lepszej drogi od tej wymyślonej przez nas nie ma. Obrażanie się na wolność, która jest podstawą naszych poglądów, dlatego że nie przynosi natychmiastowych, wymiernych rezultatów dla

wszystkich, jest czymś bardzo niebezpiecznym. Konkluzja, że z powodu wolności ludziom żyje się gorzej, jest wielce ryzykowna. Wolność ma tylko dobre skutki. Są złe skutki głupoty, nieumiejętności polityków. Choć wolność ma czasami gorzki smak.

KT: A o czym pan marzył zawodowo?

DT: Marzyłem, żeby być archeologiem śródziemnomorskim. Byłem zakochany w historii starożytnej Grecji. Jednak na te studia było dziewięciu kandydatów na dwa miejsca i mnie by zabrakło punktów za pochodzenie. W rezultacie poszedłem na historię, a gdzieś z tyłu głowy była polityka i później zapomniałem o marzeniach zawodowych, bo historia wciągnęła mnie w swój wir.

KT: A kiedy poczuł się pan politykiem odpowiedzialnym za losy kraju?

DT: Jestem tylko jedną czterysta sześćdziesiątą częścią odpowiedzialną za te losy.

KT: Ma pan wiele miłości. Na pierwszym miejscu jest rodzina, na drugim piłka nożna, a poza tym kocha pan Kaszuby, lubi pan też spać i potrafi pan spać w każdej pozycji. Czy kiedyś był pan bardzo kochliwy? Czy satysfakcjonuje pana siódme miejsce w rankingu mężczyzn, w ramionach których chciałyby być Polki?

DT: Tak!!!

*Miłość nad każdym wiekiem włada;
Ale na łany młodych dusz
Tak dobroczynnie wiew jej spada,
Jak w polu deszcz wiosennych burz.
Bo w burzach pragnień odświeżane
Dojrzeją serca młodociane,
Potężne życie z biegiem lat
Da słodki owoc, pyszny kwiat.*

*Ale w czas późny i niepłodny,
Na przełomowym punkcie lat,
Namiętność martwy znaczy ślad:
Tak burze w czas jesieni chłodny
Kałuże błotne tworzą z łąk
I obnażają lasy w krąg.*

Aleksander Puszkina „Eugeniusz Oniegin”

GODZINA XII

GUSTAW HOLOUBEK (nagranie 1993)

Aktor teatralny, telewizyjny, radiowy i filmowy, dyrektor teatrów Ate-
neum i Dramatycznego w Warszawie, mistrz zawodu aktorskiego, se-
nator.



Gustaw Holoubek,
ze zbiorów autora

KT: Mam problem, jak pana tytułować, bo pełnił pan tak wiele funk-
cji w teatrach, może mistrzu?

Gustaw Holoubek: Przed wojną na Akademii Górniczo-Hutniczej
w Krakowie wykładał profesor, doktor, senator, baron Jan Krauze, któ-
ry trochę się snobował i należało zwracać się do niego albo panie se-
natorze, albo panie baronie. Jednakże jeden ze studentów chyba o tym
nie wiedział i zwracał się do niego, na egzaminie, panie profesorze...
Na co pan baron zareagował następująco:

– Niech pan mi mówi po prostu Jasio!

KT: Nim zacznę zwracać się do pana per Gustawie albo Guciu, po-
zwolę sobie przedstawić list...

Mistrzu Gustawie, nie mogłem być w studiu, w wieczór – największego polskiego aktora, nie tylko dlatego, że mi gęba spuchła po lekkim zabiegu chirurgicznym, ale Guciu kochany, musiałem dziś być w Twoim, pięknym Krakowie.

Przepraszam.

Pozdrawiam z miłością – Twój Danek

Pozdrowienia dla żony – jej Azja Tuhajbejowicz –

Daniel Olbrychski

Panie Gustawie albo Guciu jest pan Napoleonem scen polskich, wielkim aktorem. Ale jak pan siebie odbiera?

GH: Ponieważ jest to godzina szczerości, więc nie można wszystkiego mówić naprawdę. Bycie szczerym jest trochę niebezpieczne. Jak mówiła Gabriela Zapolska: „Całe życie mówić prawdę to prostactwo!”

Ale kim jestem albo raczej kim chciałbym być?

Chciałbym, żeby z wszystkim tym, z czym stykam się w życiu, było tak jak w przypadku normalnych ludzi. I tu nie przemawia przede mną jakaś fałszywa skromność. Po prostu jestem przekonany, żeby cokolwiek zrobić w życiu, a w moim przypadku zajmować się tak zwaną twórczością, to trzeba koniecznie pilnować tego, aby żyć normalnie, aby być człowiekiem poddanym wszelkim nakazom losu, żeby przyjmować to, czym los nas obdarowuje, za co nas karze. To właśnie życie, a nie co innego, jest źródłem twórczości. Więc, gdyby mi się udało być dla moich bliskich i przyjaciół zwykłym człowiekiem, byłbym szczęśliwy...

KT: Kroniki miasta Krakowa dowodzą niezbicie, że dnia 21 kwietnia 1923 roku, na krakowskim Zwierzyńcu, w domu przy ulicy Kraszewskiego 15 przyszło na świat dziecko płci męskiej, któremu dano na imię Gustaw, po ojcu Gustawie, wierząc już wówczas, że z czasem to on stanie się mickiewiczowskim Gustawem/Konradem, a imię jego będzie czterdzieści i cztery. Przypuszczenia te popiera też fakt, że nauki

pobierał w Kolegium Nowodworskiego, przepojonym patriotycznym duchem wcześniejszych jego wychowanków: króla Jana III Sobieskiego, Jana Matejki czy Stanisława Wyspiańskiego.

Potem z całą klasą gimnazjalną poszedł pan na wojnę w 20 Pułku Piechoty. Następnie niewola, choroba i nauka w okupowanym Krakowie, gdzie pracował pan w Gazowni Miejskiej, za co później nadano panu zaszczytny tytuł zasłużonego gazownika...

Andrzej Szczepkowski: Zupełnie niesłusznie, albowiem Gustaw jest jedynym człowiekiem w środowisku, który w gaz nie uderza.

KT: Z przedwojennych lat datuje się też pierwsza pana miłość. Miała na imię Barbara i była czarnowłosa...

GH: Ostatnio wszyscy opowiadają o swoich przygodach erotycznych. Ja chciałbym tego uniknąć. Zawsze mi się wydawało, a przynajmniej tak zostałem wychowany, że nie jest męską zaletą opowiadanie o swoich przewagach. Niemniej w tym przypadku zdarzyła się sytuacja zabawna, którą zresztą wykorzystał Stanisław Dygat w swojej książce „Disneyland”, którą zaczyna moją prawdziwą opowieścią. Otóż we wspomnianym gimnazjum Bartłomieja Nowodworskiego był ogromny plac ćwiczeń, plac na Groblach, a obok rezydowało gimnazjum żeńskie Towarzystwa Szkół Ludowych, z którym dzieliliśmy ten plac do ćwiczeń. Myśmy zaś trenowali nań musztrę podstawową. Kiedy nasz kapitan prowadził nas krokiem defiladowym, dziewczęta grały w siatkówkę. Ja pozwoliłem sobie krzyknąć:

– Co ta mleczarnia tu robi?

Kapitan wydał rozkaz:

– Kompania stój! Czwórki w prawo zwrot! Który z junaków to powiedział?

Naturalnie wystąpiłem, bo wówczas prawdomówność była też częścią wdzięku.

Kapitan wydał rozkaz:

– Biegiem marsz do dziewcząt. Powtórzyć zarzut i przeprosić!!!

W życiu się tak nie wstydziłem, ale wykonałem polecenie. Panienki tarzały się ze śmiechu po moim wyznaniu.

Niedługo potem, w karnawale, nasza klasa dostała zaproszenie na bal do żeńskiego gimnazjum, a na zaproszeniu było wydrukowane...
...z wyjątkiem kolegi Gustawa Holoubka, któremu w tańcu boimy się nastąpić na uszy.

I tak zaczęła się znajomość z autorką zaproszenia, a potem, po wojnie... kiedy wróciłem z niewoli niemieckiej i wyszedłem na mój balkon, nagle usłyszałem wołanie:

– Kłapołuch...

Okazało się, że ona mieszka vis a vis mojego domu. Reszta jest milczeniem, bo dżentelmen nie mówi o tym, co było dalej.

KT: Jednym z pana profesorów w krakowskiej Szkole Teatralnej był Władysław Woźnik?

GH: To nazwisko przechodzi w niepamięć, a był to aktor w Krakowie znany i bardzo dobry pedagog, który uczył nas poezji, uczył mówienia wierszy, ale przede wszystkim uczył nas pożytku, który może wynikać ze zrozumienia i obcowania z poezją. Próbował nam udowodnić, że poezja jest po prostu częścią życia. Że nie jest tylko odświętnym wynalazkiem poetów i tych, którzy owych poetów odtwarzają, ale jest składową naszej egzystencji i winna nam towarzyszyć w życiu. Na to, co nazywamy poezją, składa się wiele pojęć: takt, tolerancja i marzenia...

Natomiast debiutowałem małą rolę Wojtka w „Weselu” w reżyserii Juliusza Osterwy, który cieszył się wśród nas bałwochwalczą estymą. Osterwa proponował to nagle i nie pytał, czy znam rolę, po prostu polecił zagrać. Przed wejściem zaczął mi coś szeptać do ucha, co miało mnie pozbawić tremy. Uduchowiony wkroczyłem na scenę i uznałem za właściwe, żeby w tej roli zapłakać się na śmierć. Zapłakany wyszedłem drugą kulisą w pełnym poczuciu triumfu. Osterwa na mnie czekał i stwierdził...

– Byłeś wspaniały, na szczęście nikt cię nie słyszał... Potem było trochę lepiej...

Anna Semkowicz: Po rolach w teatrach krakowskich i śląskich przeniósł się pan do Warszawy. Wspomniany Stanisław Dygat powiedział, że tutaj feruje się wyroki, kto powinien odnieść sukces, zrobić karierę. Co pan sądzi o „warszawce”?

GH: Sądzę, że Warszawa nie różni się od innych stolic. Siłą rzeczy tutaj odbywa się pewien przetarg, zwłaszcza na tak zwanym rynku artystycznym, gdzie tworzą się elity i układy, które ze sobą konkurują i lansują swoich przedstawicieli. I w tej konkurencji trzeba się po prostu dobrze poczuć. Ja starałam się w Warszawie nie wdawać w te zawłości. W mojej wielkiej zarozumiałości liczyłem na łut szczęścia, że każdy dzień przyniesie mi korzyści albo i klęski, z których trzeba będzie się wygrzebać, ale po dzień dzisiejszy nie zapisałem się do żadnego ugrupowania ani żadnej koterii.

AS: Czy to przypadek, że nie zagrał pan nigdy w filmie Andrzeja Wajdy?

GH: Jakby to powiedział Andrzej Wajda... jakoś się nie złożyło...

KT: Jest pan też zagorzałym kibicem sportowym, jakie wydarzenie utkwіło panu najbardziej w pamięci?

GH: Wiele było znakomitych wrażeń z zawodów, ale jedno wiąże się z moim przyjacielem Andrzejem Szczepkowskim na meczu lekkoatletycznym Polska – Anglia, na stadionie Legii, w czasach, kiedy można było bez obaw chodzić na stadiony. Andrzej siedział wyżej ode mnie, a spiker zapowiedział skok wzwyż w wykonaniu Jarosławy Biedy, a na to głos Szczepkowskiego z góry...

– Guciu, taką biedę, to mógłbym całe życie klepać!

I rzeczywiście miał rację.

Janina Paradowska: W 1968 roku grał pan Gustawa w „Dziadach” w reżyserii Kazimierza Dejmka, w teatrze politycznym. Czy dzisiaj jest jeszcze miejsce na taki teatr?

GH: Niewątpliwie występuje obecnie pewien kryzys ideowy, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Straciliśmy adwersarza, straciliśmy wroga, a jednocześnie zaniedbaliśmy zainteresowanie jednostką ludzką, człowiekiem, tym wszystkim, co stanowi tajemnicę człowieka, na rzecz takich pojęć, jak: naród, społeczeństwo... w imieniu których mieliśmy występować. Tymczasem mnie się wydaje, że aby zbudować naród, społeczeństwo, należy zacząć od jednostki, od osoby ludzkiej i nad nią się pochylić..., ale... w każdym społeczeństwie z wysokim poziomem dobrobytu sztuka przedziera się o wiele trudniej niż w społeczeństwach będących na krawędzi katastrofy i walki.

GODZINA XIII

WŁADYSŁAW BARTOSZEWSKI (nagranie 1993)

Publicysta, dziennikarz, ambasador RP w Wiedniu, następnie minister spraw zagranicznych, autor wielu książek, w tym najsłynniejszych „Dni walczącej Warszawy” i „Warto być przyzwoitym”.



Władysław Bartoszewski,
ze zbiorów autora

KT: Profesor Bartoszewski mówił o sobie, że jest oszalałym bibliofilem i człowiekiem trochę osobnym, a w wywiadzie udzielonym Łukaszowi Kądzieni stwierdził, że:

Z całego dorobku mego życia nie żałuję ani jednego napisanego zdania, choć niejedno napisałbym lepiej, mądrzej, czy trafniej. Nie ma takiego zdania, ustępu czy artykułu, o którym marzyłbym oby zapadł się on pod ziemię, oby nigdy nie był napisany.

Panie profesorze, dzieciństwo spędził pan na ulicy Bielańskiej i fakt ten odegrał istotną rolę w pana życiu...

Władysław Bartoszewski: W tym sensie, że byłem tam mniejszością narodową, bo mieszkałem kilkaset metrów od Nalewek, w pewnym trójkącie błędu: Nalewki – synagoga – więzienie na Daniłowiczowskiej. Jako syn urzędnika, który miał mieszkanie służbowe przy

banku, miałem ten przywilej, że moja rodzina obok rodziny Radziwiłłów – Bielańska 14 i moja – Bielańska 12, należeliśmy do nielicznych rodzin nieżydowskich. Całe dzieciństwo tam spędziłem, a najbliższą świątynią była synagoga, co nie znaczy, że w niej bywałem.

KT: Czy to spowodowało, że podczas wojny niósł pan pomoc Żydom?

WB: Po prostu to środowisko nie było dla mnie obce. Jeśli w normalnym środowisku, z którym stykałem się od dziecka, zachodzi coś strasznego, to reagujemy tak jak w środowisku znajomych.

KT: Ale zatrzymany w łapance we wrześniu 1940 roku wylądował pan w Oświęcimiu i jak pan sam określa „budowałem Oświęcim”?

WB: Pierwsze transporty warszawskie budowały bloki w Oświęcimiu i rozbudowywały dawne koszary austriackie.

KT: Na spotkaniach w szkołach rozwija pan dziś temat: dżentelmen a bohater.

WB: Dobrze, że pan używa słowa – dziś. Wtedy nam się wydawało, że dżentelmen to jest przykład, a bohater to jest wzór prawie niedościgniony. Natomiast dzisiaj, w różnych sytuacjach życiowych, aby być dżentelmenem, trzeba być prawie bohaterem, ale nie zawsze bohaterowie są do końca dżentelmenami.

KT: W czasie II wojny światowej pełnił pan wiele funkcji w podziemiu. Po wojnie – działalność w Polskim Stronnictwie Ludowym, prawie siedem lat w więzieniach stalinowskich i mimo rehabilitacji otrzymał pan po pewnym czasie zakaz pracy w Centralnym Zarządzie Przemysłu Drzewnego. Co pan tam robił?

WB: Zajmowałem się przez jakiś czas problemem sprzedaży desek sedesowych i kijów do szczotek, ale ponieważ byłem naznaczony politycznie, to przełożeni powiedzieli mi, że nie mogę tego stanowiska zaufania publicznego zajmować i muszę to sobie jakoś załatwić. Ponieważ nic sobie sam nie załatwiałem, wylądowałem w Stowarzyszeniu Bibliotekarzy Polskich, a później po przemianach w październiku 1956 roku dostałem się jako dziennikarz do tygodnika „Stolica”,

gdzie utrzymano mnie przez trzy lata, po czym wyrzucono z zakazem przychodzenia do pracy. Musieli przyjść wówczas do redakcji inni ludzie, którzy wykonywali polecenia zgodne z dochodzącymi do głosu tendencjami w duchu ministra Moczara, który stawał się „naszym drogim wodzem”. Nie przeszkadzało to pisać także o Armii Krajowej. **KT:** Od roku 1963 był pan korespondentem z Polski Radia Wolna Europa. Jak to było możliwe? Czy mógłby pan powiedzieć, w jaki sposób przekazywał pan materiały do Wolnej Europy?

WB: Mógłbym, ale nie chcę.

KT: Dlaczego?

WB: Przekazywałem je przy pomocy obywateli nie-Polaków, więc musiałbym ich zapytać, czy chcą, aby ich ujawnić. Przekazywałem zresztą nie tylko moje teksty, ale i na przykład teksty Stefana Kisielewskiego.

KT: Galopując po pańskim życiorysie, nie sposób nie wspomnieć pańskiej pracy w „Tygodniku Powszechnym”.

WB: Bez „Tygodnika” nie byłbym tym, kim jestem, choć „Tygodnik Powszechny” beze mnie by żył.

KT: Powiada pan, że z bohaterów sienkiewiczowskiej „Trylogii” bliższy jest panu Zagłoba niż Wołodyjowski. Dlaczego?

WB: Chcę osiągać cele, a fortele wydają mi się dużo lepsze niż konfrontacja czołowa. Polecam to wielu rodakom.

Anna Semkowicz: Jaki jest pana stosunek do tak zwanej lustracji?

WB: Nadal uważam, że ludzie, którzy dopuścili się zbrodni, torturowali, maltretowali i niszczyli, powinni być ukarani, ale niekoniecznie – cierpieć. Jest takie rozwiązanie, jak uczciwy proces i następnie abolicja, ale fakty powinny być nazwane po imieniu. I tu przytoczę słowa Adama Michnika:

Odpuszczać można tylko swoim krzywdzicielom, nigdy cudzym, nigdy krzywdzicielom bliźnich. Odpuszczanie krzywd cudzych nie jest aktem miłosierdzia, ale aktem zdrady.

AS: Podczas internowania w stanie wojennym w Jaworzu wybrano pana starostą i musiał pan się kontaktować z władzami obozu. Było to dla pana bardzo trudne?

WB: Przypominam stwierdzenie powyżej: Zagłoba, nie Wołodyjowski. Jeżeli ma się jakąś przewagę nad kimś, przewagę inteligencji czy choćby doświadczenia, nie trzeba mu jej okazywać, ale trzeba z niej korzystać. Komendant obozu, dla przykładu, nigdy nie siedział w więzieniu za czasów stalinowskich, bo był chłopcem, a ja siedziałem i może bardziej znałem stosunki więzienne i słownictwo.

AS: Był pan wielokrotnie więziony, był pan ciężko uwikłany w polski los. Czy nigdy nie miał pan ochoty pozostać na Zachodzie?

WB: Nie! Pierwszy raz uzyskałem paszport, mając czterdzieści jeden lat, po interwencji Stefana Kisielewskiego u ministra Moczara. I myślę, że go dostałem nie dlatego, że ludzie Moczara uznali, że jestem idiotą, ale dlatego, że państwo Izrael zaprosiło człowieka, żeby posadził drzewko jako Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. I pierwszy mój wyjazd był do Jerozolimy.

AS: A skoro o tym mowa, to jak pan sądzi, czy skala antysemityzmu w Polsce jest większa niż na Zachodzie?

WB: Mnie polski antysemityzm bardziej boli, bo jestem Polakiem, ale czy on jest inny? Właściwy społeczeństwu o rodowodzie chłopskim. To są stereotypy w myśleniu, nawyki na niczym nieoparte, powtarzanie przesądów i bzdur. Mamy trzydzieści osiem milionów ludzi. Jaki procent jest wariatami, szaleńcami? Jeden procent?

AS: Doznał Pan wielu krzywd ze strony Niemców, a poświęcił pan wiele pracy sprawie pojednania właśnie z nimi. Jak pan to sam ze sobą rozstrzygnął?

WB: Żyjemy w określonym miejscu w Europie i mam nadzieję, że kiedyś dojdzie również do pojednania z innymi naszymi sąsiadami. Państwo niemieckie uznało nieprawość i zbrodniczość systemu hitlerowskiego. Od uznania rzeczy za złe zaczyna się proces naprawy.

Ponieważ nie stoję na stanowisku odpowiedzialności zbiorowej, sądziłem, że dla Polaków i dla Niemców pojednanie jest ważną sprawą. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych byłem przez redakcję „Tygodnika Powszechnego” wyznaczony do kontaktów z grupami niemieckimi przyjeżdżającymi do Polski. Poznałem tych zupełnie innych ludzi i uważałem za mój obowiązek pośredniczyć w tych kontaktach. Proszę wziąć pod uwagę, że w mentalności niemieckiej każdy więzień obozów koncentracyjnych to antyfaszysta, więc byłem antyfaszystą, co oznaczało, że byłem partnerem godnym zaufania. To nie chodzi o Bartoszewskiego, tu idzie o zmianę psychologicznej jakości stosunków między oboma narodami.

KT: Nie dziwię się pańskim stwierdzeniom, skoro już w połowie lat czterdziestych zakładał pan Ligę do Walki z Rasizmem.

WB: Dokładnie w lutym 1946 roku na cztery miesiące przed pogromem w Kielcach.

KT: W obozie dla internowanych w Jaworzu obchodził pan swoje sześćdziesiąte urodziny. Wówczas wpisywano się do specjalnego sztambucha. Oto jeden z nich autorstwa Wiktora Woroszylskiego.

Wiktor Woroszylski: Wiersz nosi tytuł „Dzień Polski”. Myśmy tam słuchali radia, oczywiście nielegalnie. Pewnego razu wysłuchaliśmy informacji o dniu polskim we Francji i to mnie zainspirowało.

*Siedzimy w naszym wielki pudle
siedzimy z uchem przytkniętym do małego pudła.
Tam chrypi i świszcze, przedziera się przez zgiełk zagłuszaczy,
wynurza się z topieli odłamkiem słowa wolność,
mokrą drzazgą słowa Polska,
słonymi szczątkami jeszcze paru słów
upragniony głos całej bezsilności świata.*

*Że w Polsce znani są dwaj Bartosze, pamiętać proszę.
jeden i drugi jednako chwacki.*

*Ten Bartoszewski, tamten Głowacki
Tamten armaty moskiewskie zatkał,
lecz znacznie trudniej uciszyć Władka.
Ów ostry w cięciu, a ten w jęzorze.
Ów w Raławicach, jak ten w jęzorze.
Obydwaj dzielnie w polu stawali.
Ojczyzny w biedzie nie porzucali.
Przed wrogiem w krzaki nie uciekali.
Kochany Władku, tylko tak dalej!*

Andrzej Drawicz – wiersz urodzinowy dla Władysława Bartoszewskiego

GODZINA XIV

TADEUSZ DE VIRION (nagranie 1993)

Mecenas, ambasador RP w Wielkiej Brytanii, obrońca w procesach politycznych za czasów PRL.



Tadeusz de Virion,
ze zbiorów autora

KT: Który z procesów politycznych, gdy występował pan jako obrońca, był dla pana najtrudniejszy i dlaczego?

Tadeusz de Virion: Wydaje mi się, że obrońca nie powinien legitymować się udziałem w tych procesach, dlatego że to nie są schodki budowane ku chwale obrońcy. W tych procesach cenę wolności płacili oskarżeni. Rola obrońcy to rola człowieka spłacającego swój dług wobec tych, którzy znaleźli się na ławie oskarżonych. To oni działali dla nas, a obrona była nie tylko obowiązkiem adwokackim, ale i obywatelskim. Nie chcę rozróżniać procesów mniej i bardziej ważnych, bo cena wolności i honoru, dla której walczyli oskarżeni, jest również nieporównywalna.

Leszek Moczulski: Podczas jednego z procesów w stanie wojennym, kiedy moim obrońcą był mecenas de Virion, miał on wspaniałe wystąpienie prawnicze. Sędziowie byli pod wrażeniem i podczas przerwy

podszedł do mnie jeden z sędziów i wyraził aprobatę dla wystąpienia mego obrońcy.

– To była znakomita mowa obrończa – stwierdził. – Tylko, żebym ja coś z tego zrozumiał!

Jerzy Sławomir Mac: Bronił pan więźniów politycznych, ale także osoby mało szlachetne, na przykład Bogusława Bagsika, oskarżonego o oszustwa finansowe, ściganego przez Interpol. Dlaczego?

TdV: Podjąłem się obrony, albowiem ten klient się do mnie o nią zwrócił, albowiem adwokat, w myśl prawa o adwokaturze, podejmuje się obrony osoby, która się o to do niego zwraca, ale...

Pan ocenia oskarżonego jako osobę winną nadużyć, ale obrona jest niezbywalnym prawem oskarżonego w procesie karnym.

JSM: Chodzi jednak o to, gdzie przebiega granica między powinnością adwokata a jego przekonaniem czy też brakiem przekonania do sprawy, czy do osoby, która się zwraca o pomoc.

TdV: Zgodnie z zasadą procesową, sąd może skazać jedynie wówczas, kiedy ma sto procent pewności, że oskarżony jest winien. Nawet jeden procent wątpliwości oznacza wyrok uniewinniający. Przekonanie broniącego może być zogniskowane na tym jednym procencie wątpliwości, co do trafności oskarżenia czy też prawdziwości materiałów dowodowych. Można więc bronić, a sąd owe wątpliwości rozważy.

JSM: Można zatem bronić nawet w sprawie najbardziej odrażającej zbrodni?

TdV: Victor Hugo powiedział, że właśnie w takich wypadkach trzeba dostrzegać odrobinę dobra w złym. W tej odrobinie można znaleźć źródło przekonania, że w ciemnym obrazie są też jasne punkty.

JSM: Nigdy zatem pan nie odmówił obrony?

TdV: Owszem, odmówiłem. To są reakcje wynikające z niemożności obrony w myśl zasady dobrej roboty. Nie można tylko rozważać dylematu: podjąć się obrony czy nie, w kategoriach antycypacji. Nie można

postawić dylematu, czy cnotliwy adwokat może bronić oskarżonego „diabła”? Czy powinien z powodów moralnych?

Jednakże to nie cnotliwi pojawiają się na ławach oskarżonych. Poza tym nie da się ustanowić niemoralnych obrońców dla niemoralnych oskarżonych.

Bodajże Karol Dickens powiedział, że gdyby nie było złych ludzi, to by nie było dobrych adwokatów. To świadczy o tym, że im trudniejsza sprawa, tym na bardziej wysokim poziomie musi się ulokować obrona.

Gdy w grę wchodzi kradzież portfela, nie trzeba sięgać do skomplikowanego dzieciństwa złodzieja, ale gdy w grę wchodzi pozbawienie życia człowieka, elementy z życiorysu mogą być istotne.

Pamiętam sprawę mającą nieco odwrotny wydźwięk – sprawę o zabójstwo, którego dopuścił się waleczny członek PZPR na osobie starszej. Sąd przyjął jako okoliczność łagodzącą to, że ofiara była w podeszłym wieku i nie była produktywna społecznie.

Bardzo bym nie chciał, aby odróżniać prawa od moralności, zasady prawa od zasad moralności. Droga do realizacji prawa nie może biec poprzez kłamstwo.

Janina Paradowska: Był pan pierwszym ambasadorem mianowanym po zmianach ustrojowych w Polsce, zatwierdził pana jednogłośnie Sejm kontraktowy, nominację wręczał prezydent Wojciech Jaruzelski, reprezentował pan rząd Tadeusza Mazowieckiego i jechał pan do Londynu, gdzie urzędował prezydent na uchodźctwie Ryszard Kaczorowski. Jak odczytywał pan główne przesłanie swojej misji?

TdV: Wszystko wokół nas się zmieniało. Kiedy odbierałem nominację od prezydenta Jaruzelskiego, on mi pogratulował, a ja podziękowałem, na co generał odparł:

– Obaj świetnie wiemy, że to nie był mój pomysł.

Konsultowałem się, kiedy otrzymałem propozycję objęcia placówki, z byłym prezydentem na uchodźctwie Edwardem Raczyńskim, ostatnim ambasadorem RP przed i w trakcie II wojny światowej. Onże

namaścił mnie jako swego bezpośredniego następcę. W ten sposób udało się zamknąć rozdział II Rzeczypospolitej i jej reprezentacji na Zachodzie. W grudniu 1991 roku przekazano przedwojenne insygnia prezydenckie prezydentowi Lechowi Wałęsie.

JP: Był pan też pierwszym ambasadorem RP, który widział pana prezydenta Wałęsę we fraku podczas wizyty oficjalnej na zaproszenie królowej Elżbiety II.

TdV: Mieliśmy wiadomość z Warszawy, że pan prezydent nie przewiduje wystąpienia we fraku, ale wystąpił i mogę określić jego prezencję słowami Zagłoby: nie tracił kontenansu! Zresztą nigdy nie tracił swojego naturalnego sposobu bycia. Na pierwszym lunchu z udziałem królowej opowiadał jakieś anegdoty, żarty, królowa się śmiała. Atmosfera była tak rozluźniona, że zauważyłem, iż królowa karmi pod stołem swego pieska. Pan prezydent zawsze grał według własnej partytury i dlatego nie popełniał gaf.

KT: A pan jakąś popełnił?

TdV: Mnie prawie udało się ją popełnić. Przed złożeniem listów uwierzytelniających u Jej Królewskiej Mości zapytałem szefa ceremonii, czy mogę, zgodnie z polskim dobrym obyczajem, złożyć ukłon i pocałunek na dłoni królowej. Majordomus stanowczo zaprzeczył:

– Pan, nie może królowej NIGDZIE pocałować!!!

GODZINA XV

JACEK KUROŃ (nagranie 1995)

Warszawiak ze Lwowa, najstarszy opozycjonista, minister pracy w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, kandydat na prezydenta RP.



Jacek Kuroń i Krzysztof Turowski,
ze zbiorów autora

KT: Uchodzi pan za rodowitego warszawiaka, a przecież pochodzi pan ze Lwowa.

Jacek Kuroń: Tam się urodziłem. Byłem dzieckiem trochę nie w porę. Moi rodzice byli bardzo młodzi, bardzo w sobie zakochani, studiowali, jednocześnie ojciec pracował jako dziennikarz sportowy i prowadził też kronikę kryminalną. Mieszkaliśmy w bloku ZUS-u. Obok nas był barak dla bezrobotnych i uwielbiałem tam przebywać. Pod wpływem dziadka – bojowca PPS z 1905 roku – uważałem, że

trzeba być z biednymi, pokrzywdzonymi i właściwie to robię stale. Ojciec uważał, że mam być twardziel, jak prawdziwy mężczyzna. Przystałem jeść słodczy, bo twierdził, że prawdziwy mężczyzna nie jada słodczy, i nie jem do dzisiaj. I tu był we mnie pewien konflikt pomiędzy byciem twardym i sentymentalnym jednocześnie, co również do dziś pozostało. Zbuntowałem się na meczu bokserkim, na którym byłem z ojcem, bo przecież biją człowieka, i uciekłem z hali, a ojciec za mną wściekły, bo musiał napisać relację. Ale... zaprzyjaźniłem się z dziećmi bokserów, bardzo sympatycznymi. Uczyli mnie boksować się, co mi się potem przydało w życiu.

Ojciec nauczył mnie również, żeby stawać w obronie słabszych. Jednocześnie otaczała mnie wielokulturowość, dzięki temu zdobyłem przeświadczenie, że ona nie dzieli, tylko łączy. Stawiałem się też lwowskim batiarom, co u nich budziło swoisty podziw. Natomiast cierpiałem z powodu holokaustu, bo nie mogłem stanąć po stronie słabszego i bezbronnego. Czułem się upokorzony, że nie mogę zrobić tego, co zrobić powinienem.

KT: A czym dla pana jest Żoliborz?

JK: To moja ojczyzna. Tam po I wojnie światowej, kiedy powstawały bloki zusowskie, powstała też cała okolica samozaradności, spółdzielczości. To jest mój ideał życiowy.

KT: Czy na Żoliborzu można również szukać pańskich komunistycznych korzeni?

JK: To był żoliborski socjalizm zrzeszający tych, którzy razem chcieli rozwiązywać istniejące problemy. Mój ojciec po wkroczeniu Sowietów do Lwowa stał się antykomunistą. To ja, na przekór jemu, stałem się komunistą. Moje pierwsze zadanie w Związku Młodzieży Polskiej polegało na tym, że w ramach akcji „wszystkie dzieci na kolonie”, wybrałem biedne dzieci z Żoliborza i pojechałem z nimi na wypoczynek. To było piekielnie trudne zadanie – ujarzmić niesforne dzieciaki i tak

zostałem „komunistą”. Ale... nadal wywożę na kolonie dzieci z patologicznych rodzin.

KT: A kiedy pan się odkochał w komunizmie?

JK: Dla mnie idea komunizmu polegała na tym, że człowiek jest współgospodarzem swojego życia, współgospodarzem swojego środowiska. W pewnym momencie zobaczyłem, że tak nie jest. Uznałem jednak, że to nie komunizm jest zły, a jedynie realizacja tych idei. Podjąłem zatem próbę zmienienia komunizmu. Na moim pierwszym procesie, na którym zapadł wyrok trzech lat więzienia, deklarowałem, że jestem komunistą walczącym z systemem antyrobotniczym, antyludowym. Natomiast na drugim procesie zeznałem, że już komunistą nie jestem. Uznałem, że błąd jest zawarty w samej idei. Napisaliśmy wraz z Karolem Modzelewskim „List do członków partii” i to stanowiło bunt przeciwko systemowi, którego motywem było to, że sam system zaprzecza ideałom, które głosi.

KT: Zmieniając kompletnie temat, zapytam o kobiety pana życia?

JK: Nie umiem żyć niezakochany. Dwie sprawy niszczą człowieka: seks i władza. Ale mogą też uwznioślić, jeśli są połączone z miłością do konkretnego człowieka, do kobiety, do dzieci, do ludzi. I ja tak muszę. Muszę kochać. Tak było z Gajką, która zmarła, i tak jest z Danusią.

KT: Często pańskim atrybutem jest termos. Co jest w środku?

JK: Bardzo mocna herbata.

KT: Tylko herbata?

JK: A co pan ma na myśli? Co pan by nosił w termosie?

KT: Nie chodzi o to, co ja bym nosił, ale o to, że podejrzewają pana, że w termosie jest alkohol.

JK: Nie za to ojciec syna bił, że pił, ale za to, że mieszał. Dolewanie alkoholu do herbaty mnie mierzi. Zbyt wysoko cenię herbatę. Mogę czasami napić się w dobrym towarzystwie alkoholu, ale dopiero późno wieczorem po pracy.

KT: A co jest największą wadą Jacka Kuronia?

Adam Michnik: Jacek jest, jak na mój gust, zanadto komunikatywny, za dobrze myśli o tych, o których ja myślę kiepsko. Siedzieliśmy na ławie oskarżonych. Prokurator oskarżał nas o wszystko, że... chcieliśmy sprzedać Polskę Niemcom, a Jacek wyszeptał do mnie:

– Spójrz, jaki to miły człowiek.

– U ciebie wszyscy są dobrzy, sędziowie, prokuratorzy, ubecy, a tylko trzech łobuzów na ławie oskarżonych obok ciebie: Wujec, Romaszewski i ja.

JK: Ja pretensje potrafię mieć tylko do przyjaciół. Natomiast do tych, którzy mnie oskarżali czy dziś atakują, nie mam krztyny żalu.

AM: Jacuś ma duszę jak step ukraiński.

JK: Mnie boli, kiedy moje dzieci źle postępują, a nie jakiś tam prokurator. Gdybym ja przez te wszystkie lata nie nauczył się walczyć z moją nienawiścią, to dzisiaj byłbym chorym człowiekiem. A ja jestem zdrowym, pogodnym, życzliwym człowiekiem, dlatego że umiałem walczyć z moją nienawiścią.

AM: To jest właśnie jego wada, że jest zbyt zdrowy!

KT: Jest pan w partii Unia Wolności. Jest panu w niej dobrze?

JK: Partia nie jest od tego, żeby było w niej dobrze. Od tego mam żonę, dzieci, przyjaciół. Partia to jest narzędzie, które ma służyć przede wszystkim obywatelom, aby oddziaływali na państwo w kierunku, który uważają za najlepszy, a wartością jest Polska, w której jest mi bardzo dobrze. A gdybyśmy się nie kłócili, to by oznaczało, że przestaliśmy się kochać.

GODZINA XVI

JERZY WALDORFF (1995)

Znany, znakomity krytyk muzyczny, twórca Komitetu Odnowy Cmentarza Powązkowskiego.



Jerzy Waldorff,
ze zbiorów autora

KT: Jak się pan czuje?

Jerzy Waldorff: Zupełnie jak żywy, choć wyspany.

KT: A czy można panu zadać pytanie o wiek?

JW: Mam tyle samo lat, co wszyscy w tym wieku.

KT: A skąd pan właściwie pochodzi: z Poznania, z Warszawy czy z Kujaw?

JW: Krótko mówiąc... budynek telewizji, w którym teraz jesteśmy, stoi na moich placach, które dostałem po moim pradziadku Franciszku Szusterze. I gdybym chciał rewindykować, to bym wszystkich z tych gmachów wyrzucił, a na tym miejscu zbudował filię mojego nowojorskiego hotelu Waldorff Astoria.

KT: Czy złożył pan stosowne pisma do ministra prywatyzacji?

JW: Ministrowie nie umieją czytać, to po co pisać.

KT: Wracając do pańskiego pochodzenia...

JW: Urodziłem się w Warszawie. Moja matka należała do tak zwanego bonmondu i mogła rodzić tylko w porze five o'clock. Potem przenieśliśmy się w poznańskie, do Rękawczyna, małego majątku pod Trzemesznem, i tam serce moje pozostanie aż do śmierci, albowiem tam spędziłem lata pacholęce, tam zdałem maturę, tam była też pierwsza dziewczyna w krzakach. I obecnie, kiedy jestem bardzo sędziwy i coraz więcej mroków wokół mnie się gromadzi, to tym jaśniej widzę gwiazdę Rękawczyna.

To był dworek z 1918 roku. Kiedy mój ojciec zmarł, myśmy się wynieśli do Warszawy, a kiedy tamże weszli Niemcy, od razu zastrzelili administratora i jego syna. Po wojnie zrobiono tam PGR (Państwowe Gospodarstwo Rolne), a następnie gruntownie odrestaurowano i przerobiono na mieszkania. Natomiast po podziale administracyjnym Polski na czterdzieści dziewięć województw, nasze ziemie znalazły się w województwie bydgoskim, a dwór w województwie konińskim i uległ kompletnemu zniszczeniu.

KT: Ukończył pan następnie Szkołę Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu.



Jerzy Waldorff, w środku, ze zbiorów autora

JW: Każdy pułk kawalerii miał swoją „zurawiejkę”, przyśpiewkę wziętą jeszcze z czasów rosyjskich zaborów:

*Dupa u nich jak z mosiądza,
to ułani są z Grudziądza.
Szable do boju, lance schroń,
bolszewika goń, goń, goń!*

KT: Jako oficer ułanów, musi pan znać znaczenie słowa Honor, pojęcia dziś ginącego.

JW: Honor, w czasach które ja pamiętam, to było nagromadzenie pewnych wartości wewnątrz siebie i dokoła siebie, które się szanowało. Uważano, że jeżeli ktoś uwłaczy tym wartościom, to należy go wyzwać na pojedynek, bo został narażony nasz honor.

KT: Pojedynekował się pan?

JW: A i owszem. W Poznaniu na Uniwersytecie było wiele korporacji studenckich. Do jednej z nich można było należeć, jeśli się udowodniło szlachectwo od osiemnastu pokoleń. Zaproszono mnie na ich komeraż, żebym ewentualnie do nich przystąpił. Poszedłem, ale kiedy zobaczyłem, że stare byki znęcają się nad młodymi studentami, fukсами, oświadczyłem, że ja do tego grona osłów należeć nie będę! Wobec czego nazajutrz dwaj dżentelmeni w czarnych ubrankach, w deklach korporacyjnych, zapukali do drzwi z wyzwaniem mnie na pojedynek. Ponieważ broń wybiera obrażony, to oni wybrali szable. Miałem czas na poduczenie się władania szablą u wybitnego wachmistrza. I tak się nauczyłem machać, że jak rąbnąłem mego przeciwnika, to mu prawie rękę odciąłem.

KT: W swoich książkach opisuje pan wiele wybitnych postaci, a kogo spośród nich zaprosiłby pan dziś na obiad?

JW: Rzeczywiście spotykałem się z wieloma wybitnymi: od Paderewskiego po Strawińskiego czy Szymanowskiego, ale szczerze mówiąc,

najchętniej wskrzesiłbym mego jamnika Puzona i razem zjedlibyśmy kość z tukiem, co obaj bardzo lubiliśmy.

KT: Wspomniał pan Karola Szymanowskiego, a o jego bracie powiedział pan kiedyś, że był lwem salonowym, co się zowie. Kogo można było nazwać lwem salonowym?

JW: Zacznę o definicji naukowej. To się nazywa leo saloni. Oznaczało młodego człowieka, który przede wszystkim musiał mieć garsonierę, a w niej jakąś kolekcję: motyli, krokodyli, znaczków pocztowych. I jak chciał poznać damę i zagiały na nią parol, to proponował jej zobaczenie owej kolekcji, na co dama mogła się ewentualnie zgodzić. Przychodziła i mdlała, żeby móc potem powiedzieć, że nie wiedziała, co się z nią działo. A jego dżentelmeneria polegała na tym, że musiał rozpiąć na niej sto haftek i innych zapinek, rozwiązać gorset, jednym słowem przygotować ją jako „vache nature” do operacji. I jak już było po wszystkim, ona budziła się z omdlenia i pytała, co o mnie ludzie powiedzą. Ktoś, kto to potrafił, był lwem salonowym, co się zowie.

KT: Uchodzi pan za człowieka niezależnego, który zawsze dopinał swego, bez względu na to, kto aktualnie był u władzy. Jak to się panu udawało?

JW: Po prostu starałem się być dobrze wychowany, co tamtych ludzi szalenie ujmowało. Wszyscy urzędnicy i ówcześni dygnitarze byli przyzwyczajeni do manier partyjnych, a ja nigdy nie wchodziłem w sprawy polityczne.

I tak, założyłem w 1959 roku sekcję krytyków w Stowarzyszeniu Muzyków Polskich, następnie przez kilka lat apelowałem w radio o zbieranie eksponatów dla Muzeum Teatralnego w Warszawie i zebrałem ich ponad dwa i pół tysiąca, a równocześnie zabiegałem o wykupienie z rąk prywatnych „Atmy” w Zakopanem, na muzeum Karola Szymanowskiego. Potem wyrwałem ze szponów PGR pałacyk Radziwiłłów w Antoninie i obecnie jest tam dom pracy twórczej. Udało mi się w 1965 roku wraz z profesorem Stanisławem Lorenzem wyrwać

spod pieca hutniczego pomnik Jana Ignacego Paderewskiego i wydebilem na władzach, by ponownie stanął w Ogrodzie Ujazdowskim. I wreszcie Powązki.

KT: Historię Starych Powązek zna pan doskonale...

JW: Znam, znam. Sam mam tam już miejsce wyznaczone dla mnie i muszę powiedzieć, że dosyć mi tam śpieszno.

KT: A czemuż to?

JW: Dlatego, że dzisiejsza Warszawa to nie jest moja Warszawa. Dopiero jak przejdę przez bramę Świętej Honoraty, to mam ochotę kłaniać się na prawo, na lewo i pytać, jak szanownej pani się leży, a czy panu aby jest wygodnie. Tu jest mój świat.

KT: Jak długo ma pan zamiar ratować Powązki?

JW: Dopóki tam nie spocznę. A potem, już zastrzegłem, że będzie Towarzystwo Ratowania Powązek im. Waldorffa i dalej na to nazwisko będą łowili pieniądze.

KT: Napisał pan kiedyś, że prawdziwe wartości, które powinniśmy dostrzegać i hołubić, pieczołowicie gromadząc w dorobku serc, docenia my wtedy dopiero, gdy na wszystko jest już za późno i zostaje tylko gorzcy przegranej z losem, świadomość klęski niezawinionej, a przecież z własnej winy. Gdybyśmy żyli uważniej! Co to znaczy żyć uważniej?

JW: Może raczej żyć uczciwiej, nie myśląc tylko o swoich dochodach, ale o sprawach kraju, którym tak często pogardzamy. Mój sukces życiowy polega na tym, że nigdy nie myślałem, ile na czymś zarobię, ale co chcę zrobić. Żyć uczciwie, żyć uważnie to znaczy myśleć, co po mnie zostanie!

*Coraz to z Ciebie jako z drzazgi smolnej
Wokoło lecą szmaty zapalone
Gorejąc nie wiesz czy stawasz się wolny
Czy to co Twoje będzie zatracone
Czy popiół tylko zostanie i zamęt
Co idzie w przepaść z burzą.
Czy zostanie
Na dnie popiołu gwiaździsty dyjament
Wiekuistego zwycięstwa zaranie?*

Cyprian Kamil Norwid „Po to właśnie” (fragment)

GODZINA XVII

ALLAN STARSKI (nagranie 1993)

Syn scenarzysty i autora tekstów piosenek – Ludwika Starskiego, znakomity scenograf, laureat Oscara w 1993 roku (wraz z Ewą Braun) za scenografię do filmu „Lista Schindlera” w reżyserii Stevena Spielberga.



Allan Starcki,
ze zbiorów autora

Allan Starcki: Ojciec miał bardzo duży wpływ na moją karierę zawodową. Już dzieciństwo spędziłem wśród ludzi, którzy robią filmy, a co najważniejsze – miałem możliwość oglądania prawdziwego planu filmowego. Pierwszy raz na planie byłem podczas kręcenia „Zakazanych piosenek”, pierwszego polskiego filmu po II wojnie światowej. Ogromne wrażenie zrobiło na mnie, że ta cała wojna jest na niby, że te wszystkie fasady są tak prawdziwe, a jednocześnie to tylko konstrukcja i ta magia scenografii mnie wówczas zafascynowała.

KT: A jaki był pierwszy film, który pan obejrzał i który zrobił na panu największe wrażenie?

AS: To były dwa filmy z nowej fali lat sześćdziesiątych. Pierwszy to „Fanfan Tulipan” z Gerardem Philipem, pierwszy film erotyczny pokazany w Polsce. To dzisiaj wydaje się śmieszne, ale wówczas tak był odbierany. Drugim był „Popiół i diament” Andrzeja Wajdy według

powieści Jerzego Andrzejewskiego. Ten film pokazał, na czym polega siła kina i siła jego oddziaływania na ludzi.

Natomiast moim pierwszym filmem, do którego przygotowałem scenografię, byli „Chłopcy” w reżyserii Ryszarda Bera na podstawie dramatu Stanisława Grochowiaka.

KT: Natomiast pierwszym pańskim filmem z Andrzejem Wajdą była „Smuga cienia”. Z czym, poza wrażeniami artystycznymi, kojarzy się panu ten film?

AS: Ze wspaniałą przygodą, albowiem ten film był realizowany poza studiem, w Polsce i poza Polską, w Bangkoku, w Bułgarii...

KT: ...a ja myślałem, że on się panu kojarzy z Wiesią Starską, kostiumografem, która potem została pana żoną?

AS: Tak, wtedy się zrodziła ta miłość! Wiele dzieł filmowych i telewizyjnych zrobiliśmy razem.

KT: Ma pan jakieś hobby poza filmem?

AS: Łyżwiarstwo, hokej i jak tylko mam trochę wolnego czasu, to staram się pojeździć.

KT: Podobno najlepsza scenografia jest taka, która się nie narzuca, będąca nieco w cieniu reżysera i aktorów.

AS: Dawniej udzieliłem niewielu wywiadów, a po otrzymaniu Oscara to był istny wysyp. A przecież to cały szereg poprzednich filmów („Człowiek z żelaza”, „Człowiek z marmuru”, „Danton”, „Panny z Wilka”) spowodowało, że dostałem Oscara za scenografię do filmu w reżyserii Spielberga. Każdy następny film był o stopień wyżej. Są takie filmy, które po prostu lubię, te wspomniane, ale też film „Baryton” w reżyserii Janusza Zaorskiego, w którym miałem poczucie, że scenografia dodaje filmowi dramaturgii, a w filmie o Schubercie miałem poczucie dobrze wykonanej pracy. Ale... czasami muszę dokonywać przykrego wyboru. Musiałem odmówić Alanowi Pakule scenografii do filmu „Wybór Zofii”, bo w tym samym czasie przygotowywaliśmy z Wajdą „Dantona”.

W latach sześćdziesiątych byłem zafascynowany nowym kinem „Cinema verite”, które zakładało tworzenie filmów w realnych wnętrzach, bez scenograficznego przepychu, a teraz chętnie przygotowałbym wielki film kostiumowy, film akcji.

KT: Jest różnica między filmem amerykańskim i filmem europejskim, czy także w scenografii?

AS: Przede wszystkim w budżecie. W filmach amerykańskich jest większy budżet i większe możliwości dla scenografa, ale przy produkcjach w Europie jest coś bardzo cennego, wspólne wymyślanie filmu. To jest wspaniałe. Amerykański film jest właściwie tylko filmem reżysera i często producenta zarazem. Osobiście staram się zrozumieć pomysły wszystkich, a szczególnie reżysera i operatora. I tak wszystko ustawić, żeby scenografia dodała filmowi dodatkowych wartości. Film jest jednak potwornie dużym przedsięwzięciem. Dziesiątki ludzi musi się zgrać, a ja mam ambicję, żeby wszystko zagrało.

KT: A jaki film sprawił panu frajdę

AS: Na przykład „Rain Man”, ale większość filmów szybko się starzeje i ulatuje z pamięci.

KT: Ale sceny z Garym Cooperem w filmie „W samo południe” pan nie zapomni.

AS: Nigdy.

KT: I na zakończenie kilka słów od ojca – Ludwika Starskiego:

Względem kobiet każdy dżentelmen ma wciąż system ten:

Albo chce pieniędzmi zdobyć ją lub miłosną grą.

Inny listy śle najszczęśliwszą, ten z rozpaczy chce się truć,

Tamten pisze dla niej wiersze: najgorszy system. Wróć.

Zrób to tak, popatrz na nią mile,

Zrób to tak, potem znów za chwilę

na ten znak masz dowodów tyle,

że ci ona zachwycona szepnie: tak.

*Zrób to tak i nie trzeba więcej,
Zrób to tak, przytul najgoręcej,
no i fakt stał się już mniej więcej,
mianowicie że kobiecie pieszczot brak.*

Ludwik Starski „Zrób to tak”

GODZINA XVIII

ERNEST BRYLL (nagranie 1995)

Znakomity poeta i dramaturg, ambasador RP w Irlandii, a wcześniej elektryk w Stoczni Gdyńskiej, autor tomików wierszy i tekstów wielu piosenek, w tym pieśni, która stała się hymnem „Solidarności”.

*A te skrzydła połamane,
Deszczem, ogniem wysmagane,
A te skrzydła jeszcze grają,
Jeszcze polskie pieśni znają.
A te skrzydła, jak sztandary
Niepodległej, starej wiary,
Jeszcze mają blask, jeszcze mają blask!*

*A te skrzydła okrwawione,
W tylu bitwach poranione,
Choć zmały, spopielaly,
Jeszcze siły nie straciły.
Jeszcze są, jak dawniej były,
Jeszcze skrzydła dawnej chwały
Mogą unieść nas!*

Ernest Bryll „Polskie skrzydła” (fragment)



Ernest Bryll,
ze zbiorów autora

Ernest Bryll: Tak, ja rzeczywiście byłem elektrykiem i pierwszy mój związek zawodowy to był Związek Energetyków i Elektryków i mam jeszcze legitymację. To był wydział na elektrowni E11, ale niestety zacząłem pisać wiersze, miał zajmować się włączaniem światła w Polsce i może wcześniej elektryk zrobiłby wolne związki zawodowe w naszym kraju.

Po maturze w wieku 16 lat nie bardzo wiedziałem, kim chcę być, i nic nie wskazywało, że będę coś pisał. Napisałem tylko jeden wiersz na obozie harcerskim:

*Nasz obożny marnie zginie,
powiesimy go w latrynie.*

KT: To jak wyglądali pańscy towarzysze z ówczesnej klasy robotniczej?

EB: To byli tak zwani stare socjały, robotnicy jeszcze z przedwojennej PPS, kadra socjalistyczna. Pamiętam jak do naszej pakamery wszedł partyjny sekretarz i powitał na słowami „Cześć pracy”, na co oni odpowiedzieli:

– Sp...dalaj, wyjdź, zapukaj i wejdź ze słowami „Szczęść Boże”, bo my tu naprawdę pracujemy.

KT: To znaczy, że korzenie „Solidarności” kiełkowały znacznie wcześniej.

EB: Na Wybrzeżu była wielka tradycja robotnicza i patriotyczna.

KT: Ale pański wyjazd na studia do Warszawy nie wzbudził entuzjazmu wśród kolegów z pracy?

EB: Nie, chciałem iść dalej. Jednakże w tym też czasie zacząłem pisać wiersze, bo trochę też robiłem za kulturalno-oświatowego. Siedziałem w mojej pakamerze i czytałem książki. Trafiła się jedna o poecie i pomyślałem, że jak on może, to ja też. Tak trafiłem do koła młodych literatów, a tam królowała zjawiskowo piękna Róża Ostrowska, która zajmowała się debiutami.

Wracając do kierunku studiów, chciałem iść na polonistykę z nadzieją, że tam mnie nauczą pisać. Oczywiście tak nie było, ale kiedy o moich planach dowiedział się nasz brygadier, wezwał mnie do siebie i jasno stwierdził:

– Na polonistykę, ty, a po co? Taki inteligentny człowiek może zostać ślusarzem precyzyjnym, a jak koniecznie chcesz pisać, to możesz zostać personalnym.

I taka to kariera mnie ominęła.

KT: Co nie uchroniło pana od działalności w duchu ówczesnego reżimu?

EB: Nam młodym wydawało się wówczas, że coś w tym ustroju musi być, skoro tak się organizował. Wierzyliśmy, że tylko ustrój jest źle realizowany i tak wyłądowałem w tygodniku „Po Prostu”, który po październiku 1956 stał się pismem dalece krytycznym. Dla nas zagadnieniem było, jak pogodzić wolność ludzi z równością ludzi. Niestety, jak zwykle, znaleźliśmy się w malinach, ale wcześniej próbowaliśmy system naprawiać.

KT: Na dobre to panu nie wyszło, albowiem „Po Prostu” szybko zamknięto, a następnie ze „Współczesności” wyrzucono pana za „orwellizm”.

EB: Wyszło mi na dobre, bo i w „Po Prostu” i we „Współczesności” były wspaniałe zespoły znakomitych ludzi pióra. A Orwella i owszem czytałem. I podobał mi się.

Już na studiachomal mnie nie wylali, albowiem robiliśmy prasówki, ale z prasy bezdebitowej i ludzie przychodzili tłumnie. Oczywiście stosowne służby się zainteresowały, co jest grane, i był proces, na którym wybronił nas znakomity dziekan Wydziału Filologii Polskiej, profesor Zdzisław Libera.

Innym razem, kiedy już za wiersze otrzymywałem honoraria, zaprosiłem moją sympatię na ciastka do kawiarni „Krokodyl”. Nagle ona

zrobiła się blada, bo do kawiarni wpadła grupa młodych chłopaków i zaczęła spisywać, kto to jest.

– Co się stało? – spytałem.

– Wyleją mnie ze studiów za burżujskie obyczaje.

I rzeczywiście wezwano ją do koła ZMP i groziło jej usunięcie ze studiów. Na to ja wparowałem do nich i zapytałem:

– Jak to? Po to odbudowywaliśmy Warszawę, po to organizowaliśmy miejsca wypoczynku dla kasy robotniczej i inteligencji, żeby teraz do kawiarni mogła tylko burżuazja chodzić?

Zdębieli i koleżanka mogła skończyć dziennikarkę. Było i śmieszno i straszno, ale ja wierzyłem w wiele elementów ustroju i dzisiaj też jestem przekonany, że można tak działać, żeby ludziom było lepiej.

KT: Przejdźmy do pana twórczości. Dla nas, studentów w latach sześćdziesiątych, zwłaszcza po manifestacjach 1968 roku, pańska „Rzecz listopadowa” brzmiała jak manifest.

Wieczór zaduszkowy. Płomyki świec, bełkot wędrującego tłumu.

PIERWSZY:

*Jest u nas w kraju jedno święto takie,
Kiedy się rozumieją Polacy z Polakiem;
Jakby grom suchy nagle nad głową im błysnął,
ogniem uderzył w ślepią
i z mózgów wycisnął
ostatnią kroplę myśli*

DRUGI:

*Tak bardzo scedzoną,
od krwi i potu tak bardzo czerwoną,
że z wody przeszła w płomień,
że przecieka
przez wszystkie zdrady, głupoty...*

PIERWSZY:

*Z daleka
patrząc, jak się krzątamy,
jak świece i wieńce układamy
z namysłem, jak nam nagle ręce
różowieją od światła zapalek, jak czyste
są twarze nasze,
jakie w oczach bystre
światelka skaczą
– myślałbyś, że więcej
zrozumieliśmy, niż można wyczytać
z naszych nagrobków.*

DRUGI:

*A tu tylko tyle
światelka w myśli, ile na mogile
pelgania świeczek.
Zgasną, no i kwita
na rok z nauką historii prawdziwej...
(gasi świeczkę)
Czasami jeszcze jaki sprawiedliwy
zakrzyczy, żeby trawy pieścić...
Albo stawić pomnik...
My zawsze chętnie postawimy
na grzbiecie naszych dziejów jeszcze jeden kamień...
Chętnie pomnikiem nowym zawalimy
to gorejące wciąż głupoty znamię...*

PIERWSZY:

*I groby wypielimy, myśli zapalimy,
by je jak świecezki zdmuchnąć
przy cmentarnej bramie.
(gasi swoją świecę)*

Ernest Bryll „Rzecz listopadowa” (Prolog)

EB: W socjalizmie, w który wierzyłem, było też miejsce na „świętych obcowanie”. Z tego powstała „Rzecz listopadowa”, bo ja lubiłem chodzić na cmentarze. A jak się chodzi na cmentarze, to czuje się, że oni, powstańcy, żołnierze i zwykli ludzie są między nami. Ja tak wierzę.

„Rzecz listopadowa” miała mieć swoją premierę w listopadzie 1968 roku, w Teatrze Dramatycznym we Wrocławiu, w reżyserii Krystyny Skuszanek i Jerzego Krasowskiego. Zjechali się cenzorzy z całego kraju. I wieczorem zacząłem się modlić do tych zmarłych. I mówię do nich tak:

– Zmarli moi, może to nie jest najlepsza sztuka, ale jakaś sztuka o was, o Warszawie, o tym, że się pojawiacie między nami, i proszę was, zróbcie coś i pomóżcie. Można wierzyć albo nie, ale...

Po obejrzeniu tej sztuki wstał cenzor warszawski i stwierdził:

– To jest sztuka bardzo bolesna, ale prawda jest prawdą i trzeba ją pokazać. Inni cenzorzy się nie odezwali i pojechali. Następnego dnia odbyła się premiera!

Miałem też kłopoty z innymi sztukami. Po premierze „Kurdesza” napisano, że *pluję w Wisłę gorzej, niż Wolna Europa*. Ale stwierdziłem, że...

– Jeżeli ten naród poniósł tak wielkie ofiary, to trzeba zrobić wszystko, żeby ten trud nie poszedł na marne.

Te słowa są nadal aktualne.

Po premierze „Rzeczy listopadowej” okrzyknięto mnie natomiast niemal piątym wieszczem. Tu się przeraziłem i postanowiłem się unurzać w błocie. Napisałem wówczas „Na szkłe malowane”, żeby napisać coś na pełnym luzie, ale i to stało się sukcesem teatralnym.

Chciałem być trochę człowiekiem instytucją, ale i człowiekiem wolnym, bo wolność, moim zdaniem, polega na tym, żeby móc pisać, ale nie zawodowo.

*Za czym kolejka ta stoi?
Po szarość, po szarość, po szarość!
Na co w kolejce tej czekasz?
Na starość, na starość, na starość!*

*Co kupisz, gdy dojdiesz?
Zmęczenie, zmęczenie, zmęczenie!
Co przyniesiesz do domu?
Kamienne zwątpienie, zwątpienie!*

*Bądź jak kamień, stój, wytrzymaj,
Kiedyś te kamienie drgną.
I polecą, jak lawina,
Przez noc, przez noc, przez noc!*

Ernest Bryll „Psalm stojących w kolejce”

EB: Ten tekst napisałem w 1978 roku, ale otrzymałem odpowiedź z redakcji, że popadam w pesymizm i wiersz się nie ukaże, ale stał się częścią spektaklu „Kolęda nocka”. Premiera odbyła się w Teatrze Muzycznym w Gdyni w 1980 roku, w rocznicę wydarzeń na Wybrzeżu w 1970 roku. A potem był grudzień 1981 i wszystkie moje sztuki zdjęto.

A dziś? Niestety, ciągle jest spirala powtarzającej się głupoty, na szczęście o wiele mniej groźnej. Znowu trzeba się opowiadać po czyjejs stronie. Sztuka oczywiście bierze udział w polityce, w walce

o wolność. Widziałem, jak w latach stanu wojennego sztuka trzymała polską sprawę, a dzisiaj trwa niepohamowane budowanie biznesu w poczuciu, że cel uświęca środki. Zapłacimy za to, żeśmy zrezygnowali ze snu o sobie jako o ludziach, którzy potrafią uczciwie wybić się na niepodległość ekonomiczną.

GODZINA XX

MICHAŁ BAJOR (nagranie 1996)

Piosenkarz i aktor, autor wielu albumów.



Michał Bajor (od lewej) z Krzysztofem Turowskim, ze zbiorów autora

Michał Bajor: Od najmłodszych lat chciałem być aktorem. Jak miałem cztery lata, to gasiłem rodzicom telewizor i mówiłem, że ja umiem lepiej niż występująca na ekranie artystka. Śpiewałem, tańczyłem, udawałem, że gram na instrumentach. Najbardziej ulubioną zabawą było ustawianie z pudełek amfiteatru i śpiewanie w wielu wymyślonych językach. Wykonawcami na tej scenie były pionki od gry w chińczyka. Był zatem pionek Ireny Dziedzic, pionek Lucjana Kydryńskiego, ówczesnych popularnych prezenterów, a pozostałe kolorowe pionki to byli przedstawiciele różnych państw, jak na festiwalu w Sopocie, i każdy pionek śpiewał w innym języku.

KT: Na prawdziwym festiwalu wystąpiłeś w wieku trzynastu lat, w 1970 roku, w eliminacjach do 8. Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu. A pierwszy sukces przyszedł w 1973 roku. Po wykonaniu utworu „Siemionowna” zwyciężyłeś na Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze, po czym zostałeś zaproszony do udziału w 13. Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie.

MB: Zapowiadał mnie Lucjan Kydryński, a w pierwszym rzędzie siedziała Irena Dziedzic, bardzo poruszona rozpytywała, kto to jest to dziecko na scenie. Tak, festiwal w Sopocie był dla mnie ważny, ale najważniejszy był rok 1986, który otworzył mi wiele drzwi. Wówczas zaśpiewałem „Walc na tysiąc pas”, rozpocząłem współpracę z Włodzimierzem Korczem, Januszem Stokłosą, wystąpiłem w Teatrze Ateum w programie „Brel” w reżyserii Emiliana Kamińskiego i Wojtka Młynarskiego.

KT: Wówczas byłeś nawet bardziej znany jako aktor niż piosenkarz. W debiucie w telewizji siedemnastoletni Bajor zagrał w filmie „Wieczór u Abdona” rolę kochanka Beaty Tyszkiewicz...

MB: Beata Tyszkiewicz powiedziała mi wówczas, żebym się nie rozbiegał, bo dostanę dwóję z zachowania w szkole. Sama też nie chciała się rozebrać, ale Agnieszka Holland postawiła nam po setce wódki i wszystko poszło gładko.

KT: A Beata Tyszkiewicz stwierdziła po nagraniu:

– Zedrzesz dziecko buty w filmie, to Ci przepowiadam.

I tak się stało! Ukształtowało cię następnie wielu wybitnych aktorów, profesorów.

MB: Jan Świdorski, Jerzy Kaliszewski, Ryszarda Hanin i oczywiście Tadeusz Łomnicki, a także Zbigniew Zapasiewicz i Zygmunt Hübner. Na trzecim roku studiów Jan Świdorski zaprosił mnie do teatru Ateum i miałem przyjemność zagrać moją pierwszą rolę w sztuce Petera Shaffera „Equus” z moją pierwszą sceniczną matką, Katarzyną Łaniewską.

Powiedziała wtedy:

– Taki błysk aktorski, żeby trwał długo, musi być podparty niesamowitą pracą i fantastycznymi ludźmi, których spotkasz.

To tkwi we mnie do dziś. Potem jednak w Ateneum grałem tylko w spektaklach muzycznych: „Brel”, „Hemar” i „Nie opuszczaj mnie”. Nie uważam, że artysta śpiewający jest kategorii D, a artysta grający jest kategorii A.

KT: Porzuciłeś scenę dla estrady. Dlaczego nie grasz?

MB: Bo nie mam propozycji.

KT: Dwa pytania o twoje preferencje. Dlaczego nie lubisz polityki?

MB: Bo się na niej nie znam.

KT: ... też mi powód! Wielu się nie zna, a uprawia...

MB: Kompletnie nie rozumiem, do czego polityka zmierza.

KT: Czym jest dla ciebie tolerancja?

MB: Wszystkim. Choć w Polsce, to bardzo wyświechtane słowo. Ciągłe podpierają się nim media i ludzie, którzy jej nie stosują.

I tak przy okazji, wszystko, co jest we mnie dobrego, to zasługa na pewno moich rodziców i moich przyjaciół, a wszystko, co złe – to ja.

Anna Semkowicz: Odnoszę wrażenie, że nosi pan w sobie wielką tajemnicę. Spróbujmy za pomocą kilku pytań uchylić jej rąbka. Jest w panu radość dziecka, a jednocześnie smutek i niepokój.

MB: Tak, jestem spod znaku Bliźniąt, nieźle poplątany.

AS: Boi się pan panicznie bólu fizycznego, a wypoczywa pan dopiero w samolocie, czyli pracuje pan na zawał?

MB: To kolejna niekonsekwencja astrologicznego bliźniaka i artysty.

AS: Uważa się pan za człowieka bardzo pogodnego, a w szkole teatralnej uchodził pan wręcz za komika i wydaje mi się, że kiedy pan śpiewa, ma pan w sobie desperacką radość życia.

MB: Wszystkie sceny w szkole teatralnej grałem z Marią Pakulnis i wszystkie były komediowe, a potem grałem neurasteników, morderców, potworów. Natomiast śpiewając, staram się emanować radością.

AS: Uważa pan, że ludziom, którym się powiodło, łatwiej założyć maskę kogoś, kto jest i skromny, i pokorny. Dlaczego pan nie jest pokorny?

MB: Bo ciągle szukam...

AS: Powiada pan, że jest pan powierzchowny. W czym, bo przecież nie w pracy?

MB: W życiu.

AS: Co to znaczy?

MB: Nie przywiązuję się tak, jak powinienem do rzeczy najbardziej wartościowych.

AS: Kiedyś powiedział pan: patrzę w oczy moich przyjaciół i obserwuję w ich oczach coś takiego, że czekają, aż zachoruję. Wtedy będą odwiedziły, telefony, sok pomarańczowy, a sukces nas oddala.

MB: Najłatwiej i najszybciej interesujemy się kimś obok, kiedy ma jakiś problem, a najtrudniej jest pogodzić się z czymś wielkim sukcesem.

AS: Wierzy pan w przeznaczenie?

MB: Głęboko!

Maria Szablowska: Sądzę, że zostałeś aktorem i aktorem śpiewającym nie dlatego, że uważałeś, iż jesteś lepszy niż ci państwo w telewizorze i kazałeś rodzicom oglądać ciebie, ale dlatego, żeby nie mówili: patrzcie, idzie rudy, ale wskazywali: patrzcie, idzie Bajor.

MB: To prawda. Tak było, że kiedyś na Krakowskim Przedmieściu pewna pani rzekła do męża:

– Patrz, idzie rudy i pewnie fałszywy.

Pomyślałem sobie wtedy: Jeszcze mnie popamiętasz.

MS: A jesteś fałszywy?

MB: Nieee, to takie powiedzenie... Nie jestem ani fałszywy, ani zadufany.

Ojciec mówił mi:

– Pamiętaj. Dzień, w którym uznasz, że już wszystko umiesz, będzie pierwszym dniem twego upadku.

ROZDZIAŁ V

DWADZIEŚCIA LAT PÓŹNIEJ

W roku 2009 minęło dwadzieścia lat od historycznej zmiany ustroju w Polsce.

4 czerwca 1989 roku skończył się w Polsce komunizm, co z dumą ogłosiła w Telewizji Polskiej Joanna Szczepkowska, a w jakiej Polsce żyliśmy dwie dziesiątki lat później?

Będąc naonczas dziennikarzem TV Biznes, zadałem to pytanie wielu znakomitościom politycznym i nie tylko.

SPOTKANIE I ŁUKASZ TURSKI

Fizyk, profesor zwyczajny w Centrum Fizyki PAN i na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym w Szkole Nauk Ścisłych Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Zajmuje się fizyką statystyczną i fizyką materii skondensowanej.



Łukasz Turski,
ze zbiorów autora

KT: „Każdemu mądrymu stempelek na łeb, a głupich jak zwykle nie widać” – śpiewał Bułat Okudźawa. Pamięta pan?

LT: Pamiętam, to bardzo mądra i smutna piosenka. Tak... Niestety, ciągle – i to nie tylko w Polsce – obserwujemy falę głupoty, taki chocholi taniec nieuków. Można powiedzieć, że realizuje się hasło: „Nieuki wszystkich krajów łączcie się”. Sądzę, że znakomita większość ludzi nie należy do tej międzynarodówki, tylko są zagłuszani, na przykład przez polityków, czyli ludzi, którzy – w moim przekonaniu – świecą światłem odbitym.

KT: To znaczy?

LT: Sami nie tworzą, powielają mniej lub bardziej udolne opinie swoich intelektualnych lub pseudointelektualnych zapleczy.

KT: Czy to oznacza również, że poziom intelektualny, poziom wiedzy w społeczeństwach dramatycznie się obniża?

LT: W jakimś sensie tak. W Polsce mamy sporo dobrze wykształconych ludzi, mamy sukces edukacyjny, ale wielu z nich jest w dziedzinach mało potrzebnych. Mamy na przykład nadmiar specjalistów od zarządzania i marketingu, a niedobór ludzi lub możliwości ich wykorzystania, którzy potrafiliby absorbować nowoczesne technologie.

KT: W 1994 roku powiedział pan, że jeśli nie wykorzystamy swojego czasu maksymalnie, to na bramie wjazdowej do Polski będzie widniał napis „Hic sunt leones” (z łac. „Tu są lwy”) – tak kiedyś oznaczano kraje nieznane, białe plamy na mapach. Minęło wiele lat i co?

LT: Nie narzekam! Z natury jestem optymistą i nie znoszę ludzi, którzy ciągle narzekają, że w Polsce wszystko jest do niczego, że jest ogromna bieda i zapóźnienie cywilizacyjne. Nie, to jest wierutne kłamstwo. Polska, czy to się podoba niektórym politykom i dziennikarzom, czy nie, wykorzystwała minione lata. Jeżeli na coś narzekam, to na to właśnie, że przestano myśleć pozytywnie. Zawsze coś się może nie udać, ale mimo to trzeba iść do przodu. Niemniej trzeba rozsądnie zwracać uwagę na zagrożenia, których często nie zauważamy. Nie możemy dopuścić do zapóźnienia technologicznego.

KT: Ale czy fizyk powinien się zamartwiać problemami społecznymi?

LT: Przecież wszystko jest fizyką!

KT: Jak to?

LT: Nie ma żadnego zjawiska, które by nie było zjawiskiem fizycznym. A poza tym... Naukowcy, którzy mają możliwości poznania, jak piękny i okrutny zarazem jest świat, powinni mieć szersze zainteresowania niż tylko te skupione wokół wybranej dziedziny. Nas, naukowców, nauczono patrzeć na zachodzące zjawiska z dystansu i oddzielać prawdę od ideologii. Dobra nauka nie znosi ideologii! Ludzie o różnych poglądach mogą wspólnie pracować nad danym problemem.

KT: Czy mógłby pan rozwinąć definicję, że wszystko jest fizyką?

LT: W nauce są dwie metody badawcze: ilościowa i jakościowa. Fizyka jako jedyna nauka łączy te dwie metody i dlatego jest tak piekielnie użyteczna. Fizyk nie potrafi powiedzieć, czy diskutowane obecnie wyniki rozlicznych sondaży są wiarygodne, czy nie, bo ja nie wiem, co to znaczy „wiarygodne”. Ale potrafimy bezbłędnie wskazać, które z nich są po prostu błędne matematycznie. Dlatego nasi absolwenci pracują w gospodarce, prowadzą zakłady wysokich technologii, ale także drukarnie czy koncerny produkujące kafelki łazienkowe.

KT: To nie jest marnowanie talentów?

LT: Sądzę, że nie. Trzeba odróżnić szkolenie od kształcenia. Kształcimy się dla samych siebie, dla zdobycia wiedzy, która przydaje się do rozwiązywania najróżniejszych problemów i która formułuje nasze wewnętrzne działanie. W fizyce uczymy się ustalić cel, zrozumieć, że nie jest on fantasmagorią czy oszustwem, a potem znaleźć adekwatną metodę rozwiązania problemu i uczciwie podać wyniki naszej pracy, nawet jeśli nie odniesiemy pełnego zwycięstwa.

KT: Musi powstać chęć kształcenia, chęć poznania?

LT: Tak. Nauka rozwija się z ciekawości ludzkiej. Nie można komuś nakazać prowadzenia badań. Tylko rodzi się pytanie, skąd się ta ciekawość bierze. Otóż w dużej mierze jest stymulowana przez zanurzenie w życie społeczeństwa. Jednym z sukcesów rewolucji francuskiej było wprowadzenie obiektywnego układu miar i wag, bo taka była konieczność społeczna, żeby przestać oszukiwać chłopów na korcu zboża.

KT: Czyli zło tkwi ciągle z zaniedbań społecznych, faktu, że często mentalnie wciąż tkwimy w jakiejś minionej epoce?

LT: Prawda. Z jednej strony podjęliśmy się zadań z założenia niemal niemożliwych. Z jajecznicy zrobiliśmy z powrotem jajko. Takim dokonaniem był w dużej mierze plan Balcerowicza, dzięki któremu jesteśmy dzisiaj ekonomicznymi obywatelami świata. Nie podjęliśmy niestety takiego planu Balcerowicza w edukacji. Nie zreformowaliśmy

szkoły i uniwersytetów. Dzisiejsze problemy edukacyjne i społeczne z tego właśnie wynikają. A kto dziś ma dokonać reformy edukacji?

W rozwiniętych krajach ministrem edukacji może dziś być ktokolwiek. W Rzymie nawet konia wprowadzono do senatu, ale my naprawdę musimy zrobić reformę i nie jesteśmy jeszcze w pełni rozwiniętym krajem. W edukacji potrzeba fachowca, takiego „polskiego hydraulika” (mowa o słynnej reklamie z polskim hydraulikiem, który odważnie zapraszał do Polski). Edukacja wymaga daleko idącej wizji.

KT: Mam wrażenie, że takiej wizji potrzebuje cała edukacja europejska, która, z całym szacunkiem dla fizyki, odesłała do lamusa nauki humanistyczne...

LT: Bardzo proszę nie używać pojęcia „nauki humanistyczne”. Toć już nawet polski parlament, który w swej nieskończonej mądrości w stosownej ustawie podzielił nauki na trzy działy: nauki przyrodnicze, nauki techniczne, a potem razem w jednym dziale nauki humanistyczne, społeczne i ścisłe. Ma Pan rację, że wykształcenie humanistyczne jest niezbędne. W szkole powinno się uczyć języka ojczystego, matematyki, języków ogólnoswiatowych i gimnastyki. Powody są aż nadto oczywiste. W całej Europie poziom nauki historii czy geografii jest dramatycznie niski. Zgadzam się, że powinno się uczyć historii, ale nowoczesnymi metodami. Nie ma większego znaczenia, że uczeń nie pamięta dokładnej daty bitwy pod Grunwaldem. On to może w ciągu minuty znaleźć w Internecie. Powinien natomiast wiedzieć, co z tego starcia wojsk litewskich i polskich z Krzyżakami wynikało! Należy uczyć rozumienia konsekwencji historycznych, niekoniecznie korzystnych dla nas. Podobnie jest z literaturą. Niektórych książek dla dzieci i młodzieży nie da się dzieciom dzisiaj czytać.

KT: Ale jest pewien kanon inteligencji ogólnej, który trzeba znać, bo w przeciwnym wypadku zaczynamy się cofać w rozwoju. Znamy bohaterów seriali, a nie znamy Fredry.

LT: To straszne. Cofamy się w rozwoju także dlatego, że nie uczymy się korzystać ze zdobyczy współczesnej techniki do rozwoju kultury. Nie ma żadnego problemu, żeby przy użyciu współczesnych metod: Internetu, komputera, telefonu komórkowego, gier komputerowych uprawiać wysokiej klasy kulturę czy rozwijać wysokiej klasy kulturę. Czy jeżeli ktoś napisze znakomity utwór muzyczny, korzystając z komputerowego programu układania nut, to z definicji będzie to zła muzyka?

Powtórzę jeszcze raz. Ma pan rację... bez znajomości historii nie można być dobrym fizykiem, podobnie bez znajomości geografii, ale trzeba uczyć przy pomocy metod dziś dostępnych. To wymaga innego spojrzenia na świat, a takiego spojrzenia, co najbardziej mnie boli, w Polsce nie widzę.

Nauczyciel musi w inny sposób niż sto czy pięćdziesiąt lat temu zdobywać zaufanie i szacunek uczniów. Tu nie pomogą żadne doraźne pomysły obecnego ministra. One są z zaprzeszłej epoki. Trzeba przygotować edukacyjny plan Balcerowicza, jeśli chcemy podnosić poziom wiedzy i kultury. Jest to nam niezbędnie potrzebne, byśmy nie musieli skończyć budowy tej bramy wjazdowej do naszego Parku Jurajskiego.

KT: Już w 1994 roku wygłosił pan następujące zdanie: „Dzisiejszych polityków charakteryzuje brak kindersztuby, śmiertelne lenistwo i głęboka niewiedza”. Co pan powie dzisiaj?

LT: To samo.

KT: To znaczy, że nic się nie zmieniło?

LT: Zmienili się politycy. Mamy kompletną wymianę polityków. Oczywiście moje określenie miało charakter publicystyczny, bo są politycy mający i wiedzę, i kulturę. Nawet niektórzy z tych, których nie lubię i z których polityką się nie zgadzam, reprezentują wysoki poziom intelektualny. Miałość polityków to jest jednak pewien trend ogólnoswiatowy. Gdyby na przykład prezydent Bush był trochę bardziej aktywny i zechciał słuchać także innych ludzi, a nie tylko dwóch czy trzech swoich najbliższych doradców, to nie wpłatałby się w takie

kłopoty, w jakie się wplątał w Iraku, w Afganistanie... Odnoszę wrażenie, że sytuacja go przerosła. Szkoda, bo Ameryka i Amerykanie to wspinały kraj i wielka przyszłość.

KT: Wszędzie tak jest. W Polsce też potrafimy robić cuda...

LT: Tak, tylko, że w Ameryce można działać, nie oglądając się na prezydenta, a w Europie panuje system znacznie bardziej zcentralizowany i potrzebni są doświadczeni, inteligentni przywódcy, którzy nie tylko świecą światłem odbitym, ale którzy sami są źródłem światła. Niech Pan porówna poziom intelektualny Schumana i dzisiejszych komisarzy unijnych.

KT: Nie śmiałbym.

LT: Nie ma takiej metody porównawczej. Obecna polityka nie ma intelektualnej wizji. Mało tego, że polityka świeci światłem odbitym, ale na domiar złego odbija światło podejrzanego jakości. Podobnie jest często z mediami. A dziennikarze nie zdają sobie sprawy, że zinstytucjonalizowanym mediom wyrasta dziś niewiarygodna konkurencja, na przykład w Internecie. Jeszcze parę lat i ludzie przestaną słuchać różnych bzdur głoszonych w telewizji *ex cathedra*, bo skonfrontują je z niezależnymi źródłami w Internecie. Wszystkie wpadki zostaną natychmiast wyłapane. Sądzę, że tradycyjne media są skazane na śmierć. Przecież niebawem będę sam sobie mógł wybierać informację dziennikarską albo inną.

KT: Wieszczy pan koniec zawodu dziennikarskiego?

LT: W tradycyjnym rozumieniu tak. Nie będzie wielkich instytucji medialnych. Będą inne, które będą dostarczały towar medialny dla indywidualnego odbiorcy.

KT: To znaczy, że telewizja przestanie być wyrocznią, że jak w telewizji powiedzieli, to jest święte?

LT: Tak, ale jednocześnie musimy ludzi nauczyć inaczej żyć, musimy nauczyć sprawnego wyboru informacji, własnego wyboru. Nikt za nich nie będzie myślał.

KT: Czyli, że sami będziemy musieli myśleć?

LT: Będziemy musieli!

KT: Ależ to bardzo męczące i rzadko uprawiane!

LT: Dlatego potrzebna jest rewolucja edukacyjna, która pozwoli powrócić do samodzielnego myślenia, przy użyciu nowoczesnych technologii. Przecież tak powstała ludzkość, tak następował rozwój, ponieważ myślano i kojarzono konsekwencje ludzkich poczynań.

KT: Tylko gdzie tu rewolucja? Pan wraca do starych podstawowych pytań: Co? Gdzie? Kiedy? Po co? I z jakim skutkiem?

LT: Pytania te zawsze pozostaną te same, tylko technologie się zmieniają, metody się zmieniają. Trzeba ponownie nauczyć się myśleć, tyle że innymi metodami. I trzeba pamiętać, że bardzo ważnym elementem mojego myślenia jest mój sąsiad, drugi człowiek, że rozwój, osiąganie sukcesów jest zjawiskiem społecznym. Wykładowca ma ten luksus, że może i powinien konfrontować swoje poglądy ze studentami. Autorytet nie wynika z posiadanego tytułu, ale ze stosunku do ludzi. Podobnie w polityce, do której ciągle wracamy, pomysły powinny, muszą być konfrontowane z odbiorcami. Autorytetu nie przysparza tytuł prezydenta, premiera, posła, profesora, autorytetu przysparza kindersztuba, pracowitość, wiedza i kontakt z oponentem. Nawet jeśli się tego nie daje osiągnąć w stu procentach, to trzeba przynajmniej próbować.

KT: To piękne, co pan mówi, ale chyba niemożliwe?

LT: Być może trzeba jak Człowiek z La Manchy toczyć niewygrwalne bitwy i mieć nieziszczalne marzenia. Cała nauka jest nieziszczalnym marzeniem. Tylko naiwny człowiek może myśleć, że kiedykolwiek poznamy „do końca”, jak działa wszechświat. Ale trzeba nad tym myśleć, trzeba się zastanawiać, jak rozwiązać dany problem na przykład w fizyce czy jak rządzić krajem. I przede wszystkim trzeba to robić wspólnie, tak jak w nauce, gdzie nie można uprawiać danej dziedziny przy braku sympatii do myślących inaczej. Nasze prace podlegają

ciągłej krytyce, ale ci krytycy są naszymi najlepszymi przyjaciółmi, bo zmuszają nas do myślenia. A ludzie chcą myśleć, tylko trzeba im dać szansę. Mój optymizm wynika choćby z faktu, że od lat organizujemy Piknik Naukowy Polskiego Radia i na te spotkania z nauką przychodzi grubo ponad sto tysięcy ludzi. Proszę mi pokazać taki mecz piłkarski, z taką publicznością. Przychodzą zwykli ludzie, szalenie zainteresowani. Czyli jest chęć myślenia, tylko trzeba ją rozwijać i iść do przodu bez oglądania się na zaszłości. Czy mamy zaprzestać rozwoju badań kosmicznych tylko dlatego, że trwa spór o to, kto naprawdę wymyślił teorię grawitacji – bogobojny Newton czy mniej poprawny moralnie Hooke? Niech się historycy spierają, ale niech ich spory nie hamują rozwoju. Trzeba myśleć wyłącznie do przodu!

SPOTKANIE II

WOJCIECH NOSZCZYK

Profesor zwyczajny, znany specjalista „chirurgii miękkiej”, były wieloletni konsultant krajowy w dziedzinie chirurgii naczyń, kierownik I Kliniki Chirurgii Ogólnej II Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej w Warszawie, dziekan Kształcenia Podyplomowego AM w Warszawie, autor i współautor wielu monografii i książek, m.in. „Choroba naczyń”, „Zarys dziejów chirurgii polskiej”, „Chirurgia tętnic i żył obwodowych”, wydawca, redaktor naczelny „Polskiego Przeglądu Chirurgicznego”, doradca ministra zdrowia, laureat wielu nagród i odznaczeń państwowych, członek Polskiego Związku Kawalerów Maltańskich, wychowawca wielu znakomitych chirurgów.



Wojciech Noszczyk,
na pierwszym planie,
ze zbiorów autora

KT: Panie Profesorze, znakomity aktor Andrzej Szczepkowski swego czasu zawarł ocenę pańskiej pracy w zabawnym dwuwierszu:

*Każdy z nas byłby nieboszczyk,
gdyby nie profesor Noszczyk.*

Wojciech Noszczyk: Och, dużo w tym przesady, ale nie ukrywam, że miałem pacjentów, którzy zgłaszali się do mnie, bo usłyszeli tę właśnie wierszowaną opinię. Mało kto dziś pamięta, kto jest autorem tych słów, ale była to swoista reklama. Raz jeszcze podkreślam zbytek łaski zawartej w tej rymowance. Zaiste leczyłem wielu aktorów i ich rodziny, ale najczęściej nie były to groźne przypadki. Pozostała jednak pewna wdzięczność i wieloletnie przyjaźnie.

KT: Etymologia słowa chirurg oznacza „rękodzielnika”, „rzemieślnika”, a więc zawód raczej pospolity, niemający wiele wspólnego z publicznym uznaniem?

WN: Oczywiście, każdy chirurg jest w jakimś sensie rzemieślnikiem, ale rzemieślnikiem wysoce myślącym, co powoduje, że niektórzy z nas są wręcz artystami i stąd już bliżej do publicznego uznania. Artystą bez wątpienia był mój ojczym, profesor Józef Dryjski, który przepięknie operował, aż miło było patrzeć.

Dzisiaj jednak „rzemiosło”, w popularnym rozumieniu tego słowa, schodzi na plan dalszy w naszym zawodzie. Współczesny chirurg nie musi się już popisywać sprawnością rąk, nie musi być wirtuozem skalpela. Współczesny chirurg musi umieć przede wszystkim myśleć, posiadać dużą wiedzę fachową i wyżej niż przeciętną inteligencję.

KT: Jednakże zawód chirurga zyskał uznanie dopiero w wieku XIX, ba, nawet XX. Wcześniej był traktowany wręcz jako zawód mało godny.

WN: Tak, to prawda. Przełom nastąpił w połowie XIX wieku. Wpływ na to miało wprowadzenie narkozy i wynalezienie antybiotyków. Dzięki temu leczenie chirurgiczne zyskało inną rangę, inne pola działania

i podniosło prestiż zawodu. Dziś coraz częściej operacje klasyczne zastępują miejsca operacjom małoinwazyjnym, wideochirurgii. Coraz częściej możemy operować, nie przecinając powłok chorego, ograniczając się do jednego lub kilku nakłuć. Przykładem może być operacja tętniaka aorty brzusznej. Przeważającą większość pacjentów operujemy jeszcze w sposób klasyczny, przez szerokie otwarcie jamy brzusznej. Jednak w szczególnych przypadkach można przeprowadzić operację drogą wewnątrznaczyniową, to znaczy wprowadzając protezę do światła tętniaka, przez nakłucie tętnicy udowej. Poza tym nakłuciem nie dotykamy pacjenta w czasie zabiegu, a pole obserwacyjne obserwujemy na monitorze. Sądzę, że w najbliższych latach coraz większe znaczenie w specjalizacjach zabiegowych będzie miała komputeryzacja i robotyka. Dzięki nim możliwa jest operacja zdalnie sterowana, podczas której pacjent może znajdować się w Paryżu, a chirurg w Los Angeles lub odwrotnie.

KT: Myślę jednak, że przeciętny pacjent postrzega ciągle chirurga w sposób klasyczny, jako „wirtuoza skalpela” lub „rzeźnika” – proszę mi wybaczyć to ostatnie określenie. Bywa jednak, że maestria chirurgów określana jest jeszcze inaczej. W 1992 roku z pana inicjatywy i za pana namową powstała książka „Lekcja anatomii, czyli spotkania z chirurgią”. Zwrócił się pan wówczas do swoich znajomych, przyjaciół i pacjentów, aby opisali swoje spotkania z chirurgią i dla przykładu Stefan Bartkowski tak widział pański zawód: *Jak rozumiem, chirurgia jest wojną. Jest grą z nieznanym przeciwnikiem, którego trzeba rozpoznać i wobec którego możliwych niespodzianek trzeba zachować pełne skupienie, pełną uwagę w każdej fazie bitwy. Czy zaiste chirurg musi być strategiem, taktykiem, geniuszem wojennym?*

WN: W jakimś sensie tak. Musi umieć przewidywać i być przygotowanym na nieprzewidziane konsekwencje swoich działań lub reakcji organizmu pacjenta. Tak, konieczna jest i strategia, i taktyka. Ale skoro już używamy terminologii wojskowej, to pozwolę sobie zwrócić

uwagę na zasadniczą różnicę. My nie opracowujemy strategii podbojów, podczas których giną dziesiątki czy setki ludzi, my ratujemy jedno banalne ludzkie życie.

KT: Pozwoli pan na jeszcze jedną opinię, tym razem Agnieszki Osieckiej: *Chirurdzy są tym, kim w operze są primabaleriny, a w filharmonii dyrygenci. W końcu to chirurg trzyma nóż w ręce, a nie internista. Ta pewna próżność nie uzewnętrznia się specjalnie wyraziście, polega na dyskretnym prężeniu piersi i niemym domaganiu się komplementów.*

WN: To spojrzenie kobiety i poetki, ale jest w nim sporo prawdy. Koledzy interniści chyba nam trochę zazdroszą naszych sposobów leczenia, naszych wyników leczenia, tego, że jesteśmy bardziej efektywni i po udanych, trudnych operacjach zyskujemy rozgłos. To może w pewnym sensie z tej zazdrości wynika, że interniści próbują odebrać nam jakąś część naszej specjalizacji.

KT: Co to znaczy?

WN: Już wyjaśniam. Na przykład jeszcze niedawno polipy przewodu pokarmowego operował chirurg. Dzisiaj często usuwa je internista albo wręcz gastrolog, wykonując zabiegi endoskopowe. Oczywiście trochę przesadziłem, mówiąc o zazdrości, ale coś w tym jest.

Mimo coraz bardziej nowoczesnych metod pozwalających na leczenie miniinwazyjne, które mogą wykonywać inni specjaliści, chirurg będzie jeszcze długo potrzebny, choćby ze względu na możliwość wystąpienia komplikacji pozabiegowych. Zawsze powtarzam moim uczniom, którzy palą się do metod:

– Tak, ale najpierw poznajcie dobrze metody klasyczne. One nie wyjdą z mody.

KT: Tym bardziej że dla szerokiej rzeszy pacjentów chirurg ciągle kojarzy się ze skalpelem. Powiada się „idę pod nóż”, idąc na operację, i ciągle w takich momentach towarzyszy nam strach, czy ja z tego wyjdę, czy wrócę do świata żywych, zdrowych.

WN: Ten strach czy raczej trema towarzyszy także chirurgom, w myśl makabrycznego powiedzenia, że „operacja się udała i tylko szkoda, że pacjent już się o tym nie dowie”. Oczywiście bywa, że operacja przebiegła zgodnie z założeniami i maestrią dzieła, a pacjent zmarł na zawał serca.

KT: Czyli ten strach jest w jakimś stopniu usprawiedliwiony?

WN: Oczywiście. I nigdy się go nie pozbędziemy, choć wiele w tej sprawie zależy od nas, chirurgów. Jeżeli chirurg umie nawiązać kontakt z pacjentem, jeżeli pacjent nabędzie zaufanie do chirurga, to proszę mi wierzyć, że i strach jest mniejszy, i sam zabieg przebiega sprawniej, i leczenie pooperacyjne.

KT: Ponoć optymiści żyją dłużej?

WN: Pozostając z tym przekonaniem, odpowiedziałbym tak... Nie bójmy się chirurgów, próbujmy zrozumieć ich argumentację. W ostateczności możemy wybrać innego chirurga, który być może łatwiej rozwieje nasze wątpliwości i strach. Trzeba jednak mieć zaufanie do chirurga, tak jak trzeba mieć zaufanie do lekarza rodzinnego, wówczas leczenie lepiej rokuje.

KT: Zaufanie powinno być oparte na mówieniu prawdy. Czy zawsze trzyma się pan tej zasady?

WN: Zawsze można pomóc choremu odpowiednio przeprowadzoną rozmową. Zawsze pamiętam o następujących słowach profesora Biegańskiego: *Są prawdy, które człowiek zawsze i wszystkim mówić powinien. Są takie, które człowiek milczeniem pokrywa. Są nawet takie, którym zaprzeczyć musi. Otóż ukrywanie tych pierwszych jest występkiem, ukrywanie drugich nazywa się taktem, a ukrywanie trzecich stanowi cnotę nawet.*

KT: Strach, o którym mówiliśmy wynika z obawy o własne życie, z obawy przed śmiercią. Dlaczego tak o nie walczymy, przecież wiemy, że musi się skończyć? Dlaczego tak bardzo boimy się nieuniknionej śmierci?

WN: Głęboko wierzę, że koniec życia nie jest końcem naszego istnienia. Jestem przekonany, że nie trzeba bać się śmierci, ale wszyscy chcemy, aby nastąpiła jak najpóźniej. To jest w naszej świadomości, której żaden chirurg nie potrafi zoperować. Osobiście wolę pacjentów, którzy nie chcą śmierci, którzy chcą żyć. Lepiej się z nimi współpracuje. Pacjent pogodzony z losem czy pacjent zubożnięty to trudny przypadek. Każda śmierć jest tragedią, zwłaszcza dla najbliższych...

KT: A po paru czy parunastu latach groby pozostają opuszczone...

WN: To inna kwestia, ale czy chciałby pan, aby pańscy bliscy odeszli już teraz?

KT: Nikomu tego nie życzę, ale staram się odpędzić strach...

WN: Nie wiem czy to jest możliwe. Oczywiście są ludzie, którzy nie boją się śmierci...

KT: A potem stawia się im pomniki, jako bohaterom?

WN: Nie, ja nie mówię o bohaterach. Ja mówię o ludziach, którzy rozumnie godzą się z losem, godzą się z wyrokami Niebios. To są piękne postawy, godne najwyższego szacunku, może nawet wzory do naśladowania, choć niezbyt częste. Negacja strachu przed śmiercią stanowiłaby negatywną odpowiedź, czy warto żyć. A przecież warto, warto kochać, tworzyć...

KT: Warto cierpieć?

WN: Warto, bo bez cierpienia nie byłoby radości po zakończeniu cierpień. To nie znaczy, że warto się poddawać cierpiętniczym nastrojom, wręcz przeciwnie. Mówilem już... zaufanie i optymizm pomagają wyjść z najcięższej operacji i opresji.

KT: Zgoda, warto żyć. Ale jak? Pewien arabski mędrzec rzekłbył, że człowiek to takie dziwne stworzenie, które najpierw traci zdrowie, żeby zarobić pieniądze, a potem wydaje pieniądze, żeby odzyskać zdrowie. I znów pytanie, czy warto?

WN: I znów powtórzę, że warto. Warto, bo gdybyśmy tak rozumowali, to już by nas dawno nie było na świecie.

KT: Dlaczego?

WN: Bo byśmy zrezygnowali z naszego rozwoju i poginęli.

KT: A może wręcz przeciwnie? Może żylibyśmy spokojniej, zdrowiej?

WN: Nie. Do niczego byśmy nie doszli. Nawet koła byśmy nie wymyślili.

KT: Czyli nasze zwariowane życie jest motorem postępu?

WN: Tak. Ciągłe dążenie do celu jest konieczne.

KT: Dążenie do czego?

WN: Może to być dążenie do wzbogacenia się, do napisania wspaniałej książki, do zdobycia wiedzy, którą można potem przekazać uczniom, dzieciom, do lepszej sprawności podczas operacji i o to trzeba walczyć. Nie wolno spocząć na laurach i tylko dbać o zdrowie.

KT: Między spoczywaniem na laurach, a pogonią czy – jak pan powiedział – „walką” za wszelką cenę jest przepaść...

WN: Zastanawia się pan, czy nie należałoby zwolnić. Moim zdaniem to się da pogodzić. Da się pogodzić wytężoną pracę z aktywnym wypoczynkiem, z okresowymi badaniami lekarskimi, zwłaszcza po przekroczeniu czterdziestki czy pięćdziesiątki, z dbałością o zdrowy tryb życia. Da się.

KT: Pewnie ma pan rację, ale tak niewielu to się udaje, choć ostatnio wydaje mi się, że pewna część społeczeństwa zachłysnęła się aż nadto dbałością o higieniczny tryb życia. Dywagujemy, czy lepsza jest woda z bąbelkami, czy bez, a dawniej piło się wodę z saturatora. Pamięta pan?

WN: Naturalnie, że pamiętam, ale dobrze, że saturatory zniknęły.

KT: Ale byliśmy zdrowi. Czy nie przesadzamy w drugą stronę?

WN: W Polsce jeszcze nie. Na Zachodzie trochę tak. Oczywiście, że trzeba dbać o odżywianie, ale z rozsądkiem. Jeśli pacjent mnie pyta, czy może zjeść kotlet schabowy, to mu odpowiadam, że naturalnie może, ale jeśli miałby jeść owe tłuste kotlety przez cały tydzień, to powiem stop. Jeżeli idzie pan na przyjęcie, to proszę zapomnieć o diecie,

zwłaszcza jeśli pani czy pan domu wyśmienicie gotują. Takie snobowanie się, szczególnie w towarzystwie, że ja tego nie jem, bo to niezdrowe, a tamto szkodzi, jest bez sensu i bez taktu, ale na co dzień zalecam więcej dbałości o własne zdrowie. Po pierwsze nie wolno palić! I tu nie ma dyskusji. To ewidentna trucizna. Z alkoholem byłbym bardziej tolerancyjny. W umiarkowanych ilościach wychodzi nawet na zdrowie. Natomiast jest przesadą jedzenie tylko jarzyn specjalnie sprawdzanych, jakichś bio, niebranie do ust tłuszczu, bo to groźne, picie wody tylko z francuskich źródeł. To jest absurdalne i nie dopuszczajmy do absurdów. Więcej zdrowego rozsądku i słuchaj się raczej swego lekarza. Miej zaufanie do swojego lekarza rodzinnego. Ci ludzie najlepiej ci doradzą.

KT: A do własnego organizmu?

WN: Umiarkowanie. Mierz siły na zamiary. Sprawdź od czasu do czasu swój organizm, zrób badania okresowe. Ale wracając do absurdów. Za dużo i za często mówi się w mediach, za dużo reklamuje różnych cudownych leków czy cudownych metod. Weźmiesz pastylkę i po bólu, odzyskasz młodość i wigor. Nie. Ludzie wierzą w cudowne leki czy metody i umierają. Ciągłe u nas panuje przekonanie, że „rak boi się noża”. Za mało chorych, zwłaszcza na wsiach, wie, że nowotwór operowany w odpowiednim czasie daje ogromne szanse na wyleczenie. Ludzie nie zdają sobie sprawy, ile osób operowanych z powodu nowotworów żyje wśród nas. Wolą czekać i oddawać się szarlatanom. Wierzą w uzdrowienie, przez jakiś czas czują się lepiej, ale potem jest za późno na operację.

KT: Konkluzja jest więc taka: do przodu, ale z rozsądkiem?

WN: I nie zapominając o wypoczynku. I nie ma to być wypoczynek na kanapie przed telewizorem, ale wypoczynek aktywny. Siądź na rower, popływaj... Mam pełną świadomość, że prawię banały, ale ilu z nas odpoczywa aktywnie?

KT: Panie profesorze, a co z inteligencją? Czy chirurgia będzie miała kiedyś szanse wpłynąć na podwyższenie inteligencji, na przykład włodarzy kraju?

WN: Niestety, myślę, że nie. Chociaż może poprze rozwój genów, ale nie da się wszczepić, przeszczepić czy usunąć jakiejś części inteligencji.

KT: Szkoda. Łudziłem się, że znajdzie się sposób na bardziej rozumne zawiadywanie światem.

WN: Obawiam się, że to nie chirurdzy mają tu pole do popisu, może lekarze innych specjalności?

KT: I na zakończenie jeszcze pytanie, którego nie można pominąć w rozmowie z lekarzem. Jaki jest stan służby zdrowia w Polsce?

WN: Poziom medycyny jest bardzo dobry. Mamy kliniki dorównujące klinikom na najwyższym, światowym poziomie. Średni poziom szpitali jest też zadowalający. Mamy świetnych, niedostrzeganych lekarzy na prowincji. Natomiast organizacja służby zdrowia jest fatalna.

KT: Czy może pan podać jeden, podstawowy mankament?

WN: Powiem rzecz dalece niepopularną. Trzeba zmienić konstytucję i skończyć z fikcją darmowej służby zdrowia. Za leczenie trzeba płacić. Trzeba się ubezpieczyć, przewidywać możliwość choroby. Może nawet nie płacimy za leczenie, ale chociaż płacimy za pobyt w szpitalu, za hotel. Niech to będzie dziesięć złotych dziennie, za wizytę płacimy pięć złotych, to już te pieniądze poprawią budżet służby zdrowia. Nie ma takiego państwa, które stać na darmową służbę zdrowia.

KT: Ale co mają zrobić ci, których nie stać?

WN: Ubezpieczyć się.

KT: Być może i na to ich nie stać.

WN: To w skrajnych przypadkach winna istnieć opieka państwa, ale w skrajnych, nie masowych. Oczywiście ten, kto zarabia miliony, winien płacić tysiące, ten, kto zarabia tysiące winien płacić setki, a ten kto setki, złotówki, ale winniśmy płacić.

KT: Przecież, na Boga, już płacimy! Z wynagrodzenia zabierany jest jakiś procent i mnie, i mojemu pracodawcy. Czy gdyby pan był ministrem zdrowia, wprowadziłby pan takie reformy?

WN: Nie, bo nie uzyskałbym zgody premiera.

KT: A gdyby pan był premierem?

WN: Tak. Uważam, że musi się znaleźć premier, który powie społeczeństwu prawdę o konieczności wprowadzenia opłat za leczenie. Oczywiście taki premier pewnie później musiałby odejść, ale reforma by została wprowadzona.

KT: Panie Profesorze, znam wielu odważnych chirurgów, ale nie słyszałem jeszcze o tak odważnym premierze.

Pointa: Wojciech Młynarski „Ballada o przyszłości chirurgii”

*Zamiast wątpliwych sensacji wiru
Niech widz prawdziwej sensacji liżnie
Oto co wyznał mi pewien chirurg
Już w posttotalitarnej ojczyźnie*

*Wpadł do mnie facet o wczesnej porze
Miał jasne oko miłą prezencję
I szepnął cicho panie doktorze
Proszę mnie wyciąć inteligencję*

*Ja odbąknąłem cicho a ma pan
Owszem doktorze mam dosyć sporą
I przez to ciężki kac mnie dołapał
Jak w krąg spojrzę diabli mnie biorą
Choć wokół niby piękne przemiany
I Polska weszła na nową drogę*

*Z inteligencją moją kochany
Spokojnie na to patrzeć nie mogę
Bo z jednej strony piękne wspomnienia
Gdyśmy mądrości nieśli proporce
Jesieni ludów będąc natchnieniem
Iskrą zarzewiem pochodnią wzorcem*

*A z drugiej strony bużki jak z buszu
Męty wszelkiego autoramentu
Czas dla cwaniaków raj dla chytrusów
I dno dla pełnych inteligentów
Ja na to patrzeć nie mogę ach nie
Z inteligencją mą nazbyt czułą
Niech pan ją wytnie niech pan ją ciachnie
Bym dostosował się do ogółu
Tu mu zadałem pytanie wartkie
Rzekł chirurg ciągnąc swą opowiastkę
Mam wyciąć całą zostaw pan ćwiartkę*

*Lub może jeszcze lepiej szesnastkę
Więc wykonałem zabieg udany
Bez komplikacji potknąć kolizji
Wkrótce mój pacjent zrobił się znany
Często widuję go w telewizji*

*Jak on gulgocze tam koncertowo
Jak oponentów bezwzględnie kruszy
Mówi ja swoją mam podmiotowość
I łatwo mnie się jej nie naruszy
Rwie się do czynu rwie się do głosu
Mówi pluralizm mówi dziedzictwo
I z świetlistego czerpiąc etosu
Założył właśnie nowe stronnictwo*

*Tu chirurg skończył pomilczał troszkę
I dodał patrz pan na co nam przyszło
A jam pomyślał o rany boskie
Oto chirurgia która ma przyszłość
I szybko wziąłem chirurga adres
Bo ja też odkąd wiatr przemian zawiał
Czuję wciąż nową psychiczną zadrę
Gdy widzę co się wokół wyprawia*

SPOTKANIE III

PIOTR NOWINA-KONOPKA

Doktor nauk ekonomicznych, współzałożyciel i sekretarz generalny Klubu Inteligencji Katolickiej w Gdańsku, rzecznik strony solidarnościowej przy Okrągłym Stole, minister stanu w Kancelarii Prezydenta RP z ramienia „Solidarności”, sekretarz stanu w Urzędzie Komitetu Integracji Europejskiej, sekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, poseł na Sejm I, II i III kadencji, współzałożyciel i przewodniczący Polskiej Fundacji im. Roberta Schumana.



Piotr Nowina-Konopka,
ze zbiorów autora

KT: Jak się panu pracowało z generałem, Wojciechem Jaruzelskim?

Piotr Nowina-Konopka: To są tak stare dzieje... Kiedy dla potrzeb pracodawców sporządzałem moje CV, to sam się zacząłem zastanawiać, czy część z moich przeżyć mi się przypadkiem nie przyśniła. Bilans tych ostatnich kilkunastu lat można by rozłożyć na kilka osobnych życiorysów. Tymczasem ja to wszystko przeżyłem sam. Jedną

z takich przygód życiowych, kompletnie niespodziewanych, było właśnie wysłanie mnie przez „Solidarność” do pracy w charakterze ministra stanu w kancelarii prezydenta Jaruzelskiego. Patrzę z perspektywy na ten rok pracy jak na ważne doświadczenie. Zetknąłem się wówczas z resztkami starego systemu, z ludźmi, z którymi wcześniej nie miałem w ogóle do czynienia. Obserwowałem także pewien proces, również u generała Jaruzelskiego, polegający, z jednej strony, na przyswajaniu sobie nowej rzeczywistości, godzenia się z nią, a z drugiej, na ogromnym oporze jego dawnego otoczenia. Nie chcę być sędzią ludzkich spraw, ale pozwolę sobie stwierdzić, że udawało się jednak załatwiać sprawy, które na pierwszy rzut oka wydawały się niemożliwe do załatwienia. Głównie dzięki temu, że premierem był Tadeusz Mazowiecki. Przykładem niech będą wolne wybory samorządowe, czyli przejście z systemu, o którym młodzi czytelnicy w ogóle już nie mają pojęcia, rad narodowych w gruncie rzeczy pochodzących z partyjnego mianowania, do dzisiaj panującego systemu samorządowego. To, co dzisiaj jest tak oczywiste, wówczas budziło szalone opory starego establishmentu. Jednakże upór premiera Mazowieckiego, a ja byłem w tej sprawie swego rodzaju pośrednikiem, sprawił, że ta fundamentalna reforma została dokonana.

KT: Zatem, w dobie rewizji najnowszej historii, nie wykreśla pan jednak tego epizodu ze swego życiorysu?

PN-K: Nie wykreślam żadnego epizodu, bo to by świadczyło o niewybaczalnej sklerozie.

KT: Albo o poddaniu się panującej modzie?

PN-K: Jestem z przekonania konserwatystą i nie ulegam modom. Nie lubię nowoczesnych strojów i znacznie lepiej czuję się w starym kostiumie. I dlatego, po staremu, pamiętam, co było w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, osiemdziesiątych i co więcej, budzi we mnie zdziwienie, że młodzi ludzie zupełnie nie znają pewnych postaci z tamtych lat. Moja córka zapytała mnie swego czasu: tatusiu, kto to był Marks?

KT: Był taki piłkarz Joachim Marks...

PN-K: Ona kibicem piłkarskim też nie jest. Ja jednak sądziłem, w swej naiwności, że kto jak kto, ale moja córka tę postać z historii, filozofii ma gdzieś zakodowaną. Okazuje się, że można już żyć bez takiej wiedzy. Jednakże o ile można taki brak znajomości historii wybaczyć kilkunastolatkom, o tyle nie rozumiem, jak mogą zapomnieć peerelowską rzeczywistość ludzie, którzy już wtedy byli dorośli? I dziś próbują interpretować historię czy też pisać ją na nowo, nie uwzględniając ówczesnych okoliczności. Kiedy słyszę tyrady, jak należało się zachować, wygłaszane zwłaszcza przez ludzi, którzy byli wówczas niemowlętami albo dekownikami, to sobie myślę, że trzeba było wtedy żyć, działać, a dopiero potem formułować radykalne opinie. Uczciwość Jacka Kuronia sprawdzała się na polu walki, a nie w salonie czy kolejce przed sklepem. Taka amnezja mnie razi jako starego konserwatystę.

KT: Z początkiem zmian w Polsce rodziło się też w naszym kraju pojęcie europejskości, tak dziś różnie interpretowane...

PN-K: We mnie to poczucie europejskości obudziło się w sposób świadomy po lekturze książki Pawła Jasienicy „Rzeczpospolita Obojga Narodów”, która zresztą winna się nazywać Rzeczpospolitą Wielu Narodów. Byłem wtedy nastolatkiem i uświadomiłem sobie, że Polska była już w czasach Unii polsko-litewskiej na wskroś europejska, a jej europejskość polegała właśnie na akceptacji rozmaitych kultur, tradycji, języków i wyznań. To wszystko rozumiano jako dobro wspólne, istniejące w ramach suwerennego państwa. Kilka lat temu byłem poproszony o dokonanie swego rodzaju porównania Unii polsko-litewskiej i Unii Europejskiej i ku własnemu zdziwieniu stwierdziłem, że takie zdobycze unijne, jak wspólna waluta, wspólna polityka rolna, rotacyjne przewodnictwa, nie są zdobyczami XX wieku, ale zdobyczami wieku XV, praktykowanymi na terenie europejskiego państwa polskiego. Od tego czasu powtarzam, że mamy europejskość w genach,

jako jedność w różnorodności, czyli coś, co jest kamieniem węgielnym współczesnej Europy, a przynajmniej powinno nim być.

KT: Nie ma pan wrażenia, że ten europejski kamień węgielny zaczyna kruszeć albo raczej jest rozdłubywany?

PN-K: Niestety, tak się dzieje. I nie dotyczy to jedynie Polski. Jeśli jednak skupić się na polskich problemach w tej kwestii, to najbardziej zadziwia mnie fakt, iż zza grobu wychyla się posępna twarz Władysława Gomółki, który był wyraźnym zwolennikiem Polski piastowskiej: monokulturowej, jednonarodowej i jeszcze do tego bezwyznaniowej. Taki uproszczony obraz był mu najbliższy. Pamiętam słowa moich rodziców, którzy powiadali, że najgorsze dla Polaków byłoby odebranie im poczucia, iż Polska jest krajem dla różnych narodów. I obecnie znów słyszę, że Polska ma się stać krajem jednego narodu. To prawda, że różne nacje, które wzbogacały Polskę, jej kulturę, zostały wymordowane albo wygnane, albo odcięte granicami, ale wejście w struktury europejskie oznacza, moim zdaniem, także powrót do Polski wielokulturowej, Polski jagiellońskiej, Polski w pełni europejskiej.

Mam nadzieję, że dłużej – klasztorów niż przeorów i że na dłuższą metę przeznaczeniem Polski jest funkcjonowanie w warunkach otwartych granic i przepływu kultur. Moim zdaniem polskie poczucie narodowe nie jest tak słabe, żeby się dała zalać jakimś obcym żywiołem, natomiast zawsze się karmiło tym, co do nas przenikało z zewnątrz. Takim klasycznym i banalnym przykładem jest dla mnie historia polskiej kuchni. Jako łakomczuch bardzo lubię różne kuchnie narodowe. Oczywiście lubiłbym również bardzo polską kuchnię narodową, gdyby taka istniała sama z siebie, ale ona jest przecież cudowną sumą potraw innych narodów: barszcz ukraiński, kołduny litewskie, karp po żydowsku, sznycel wiedeński, devolay, nie mówiąc już o włoszczyźnie. Broni się tylko bigos, ale w tym przypadku to myśmy wzbogacili dania niemieckie czy alzackie. A zatem te powiązania europejskie dziedziczymy od stuleci i nie wyobrażam sobie, byśmy je mogli zerwać

w demokratycznym państwie. Te mononarodowe mrzonki zakrawają na absurd, choć nie po raz pierwszy odżywają w naszym kraju.

KT: Mówił pan o wizji Gomułki, ale byli też nacjonaści spod sztandaru Moczara?

PN-K: Zaiste i Moczar się dziś przypomina. Sądzę, że wizja Gomułki (paradoksalnie przez swą antyniemieckość – postendecka) pozwoliła na rozwinięcie się nacjonalizmów w wydaniu moczarowców. Pozwoliła na wydarzenia w 1968 roku ze wszystkimi ich fatalnymi skutkami i na pojawienie się w Polsce myśli śmiałej, choć głupiej, że w tym kraju nie ma miejsca dla obcych, dla innych. Podczas gdy Polskę od początku jej dziejów tworzyło wiele narodów. No, ale to były czasy Gomułki i Moczara. Dlaczego zatem dziś niektóre partie odwołują się publicznie do tak niecných wzorów, tego nie pojmuję?

KT: Mówi się przecież o polskiej gościnności...

PN-K: Tak się składa, że ostatnio bywam często w Gruzji, choć wolałbym raczej powiedzieć, że na Kaukazie. Otóż znajduję pewne podobieństwa. Państwowość gruzińska ma swą burzliwą historię, ale kultura gruzińska jest kulturą Kaukazu, która polegała na tym, że Gruzini, Ormianie, Azerowie, Osetyjczycy czy też górskie plemiona kaukaskie żyły, przenikając się nawzajem kulturowo z ogromną tolerancją i poczuciem zadowolenia z tej koegzystencji. I tak było, dopóki Rosja, jeszcze carska, nie zaczęła stosować starej zasady *divide et impera* (z łac. dziel i rządź). To wtedy z rosyjskiego poduszczenia narodziły się nacjonalizmy, które doprowadziły do morderczych waśni. Na szczęście Gruzini najbardziej uchronili się od nacjonalistycznych ciągót.

Odczytuję tę sytuację jako swoiste pendant do sytuacji w Polsce. Dostrzegam, że oba nasze narody mają od wieków wpojoną wrażliwość na kontakty z innymi. Chyba z tego właśnie wywodzi się pojęcie polskiej czy gruzińskiej gościnności, szacunku dla sąsiada tego z klatki schodowej i tego z innego kraju.

KT: Powróćmy jednak z Gruzji do Europy, tej zjednoczonej. Jak ją pan dzisiaj odbiera w świetle doświadczeń zdobytych zarówno podczas kierowania Kolegium Europejskim w Natolinie, jak i obecnie Fundacją Schumana?

PN-K: Z całą pewnością Unia Europejska znalazła się obecnie w największym kryzysie na przestrzeni swych dziejów. Szczęściem naszym było wejście do Unii Europejskiej, ale pech chciał, że zostaliśmy przyjęci w momencie, kiedy nad Unią zawisło to pytanie, co z nią dalej począć. Jaki ma być kierunek jazdy pociągu, do którego właśnie dołączono dziesięć nowych wagonów? Niestety zagubieni są w tej chwili wszyscy. Zagubiony jest maszynista, zagubieni są konduktorzy. Nie wiedzą, co powiedzieć pasażerom. I w konsekwencji sami pasażerowie nie bardzo wiedzą dokąd i czy w ogóle jedzie ten pociąg.

Jednakże najbardziej martwi mnie to, co się dzieje w polskim wagonie. Mam bowiem wrażenie, że polski wagon sam się ustawia na bocznicę w oczekiwaniu na czyjaś decyzję. Czy się może wyłączyć z tego składu, czy może udawać, że nas nie ma, podnosząc tylko od czasu do czasu indiańskie okrzyki, że nie damy się zmarginalizować. Tymczasem, żaden z dwudziestu pięciu wagonów – a zwłaszcza tak istotny jak nasz – nie może bez końca sterczeć na zapomnianej i cichej bocznicie. Poza tym przez wiele lat dążyliśmy do tego, aby Polska odzyskała po stuleciach należne jej miejsce przy stole, przy którym zapadają decyzje o losach całej Europy. I dzisiaj, kiedy mamy to prawo zabierania głosu i współdecydowania, to my nabraliśmy wody w usta. Mało tego, konduktor czy konduktorzy tego wagonu zadają często pytania o sens dalszej jazdy. To jest groźne, bo decyzje dotyczące całości zapadną w końcu, bez względu na nasze wahania. Nie ma bowiem odejścia od współlistnienia, od coraz ściślejszej współpracy, wreszcie od współdecydowania w coraz większej liczbie spraw. Zdają sobie z tego sprawę nawet kraje tak potężne gospodarczo, jak Niemcy. Oni sami wiedzą, że mają za krótkie ręce, a my mamy wątpliwości.

KT: Przyznam szczerze, że i ja mam pewne wątpliwości. Niedotyczące członkostwa Polski w Unii, ale do pewnych trendów, nazywanych czasami neoliberalnymi, a często „postępowymi”, które spowodowały legalizację małżeństw homoseksualnych czy eutanazji. W moim przekonaniu takie trendy mogą być w pewnym stopniu odpowiedzialne za rozwój nacjonalizmów...

PN-K: Nie podzielam takiej opinii. Sądzę, że egoizmy narodowe rodzą się na gruncie przyziemnych interesów materialnych. Poziom życia może opóźniać lub sprzyjać odradzaniu się nacjonalizmów. Natomiast inną kwestią jest odejście od utartych standardów obyczajowych. Ja należę do tych, którzy woleliby, aby instytucja małżeństwa była zarezerwowana dla kobiety i mężczyzny. Tak zostałem wychowany i nie bardzo rozumiem, jak można nazwać małżeństwem inną kombinację. Holendrzy czy inne kraje taką decyzję podjęły, ale umówmy się, że to nie jest dyrektywa Unii Europejskiej, a jedynie decyzje elit politycznych w poszczególnych krajach.

KT: Tak, ale takie decyzje kojarzone są z Unią. I co ma myśleć polski pasażer europejskiego pociągu z małego miasta, z Rawy Mazowieckiej czy Brańska? Jak by mu pan wytłumaczył zawiloci europejskiego rozkładu jazdy?

PN-K: Na szczęście wszystkie badania, jak również zwykłe rozmowy z mieszkańcami, także małych miast, potwierdzają, że ich mieszkańcy świetnie wiedzą, do czego służy Unia Europejska. Jestem głęboko przekonany, że mieszkańiec Rawy Mazowieckiej doskonale pamięta podstawowe wydarzenia z historii Polski i ich konsekwencje, że potrafi skojarzyć, jakie skutki dla Polski i Europy miał chrzest Polski, że potrafi wyobrazić sobie, jakie znaczenie dla wielkości Polski, ale także dla układu sił w Europie miała Unia polsko-litewska, czyli sposób myślenia o polityce właściwy dla Polski jagiellońskiej, a nie piastowskiej, będącej ideałem dla towarzysza Gomułki. Zakładam, że mieszkańiec Brańska orientuje się także, a jeśli nie on, to jego dzieci, które właśnie

wróciły z pracy w Belgii czy Irlandii, w różnicy komfortu w krajach od lat osadzonych w strukturach Unii Europejskiej i potrafi wyobrazić sobie, co by było, gdyby Polska nie była w tych strukturach zakotwiczona.

Myślę także, że mieszkańiec Rawy Mazowieckiej nie rozważa różnych dylematów europejskich w sposób abstrakcyjny, tylko przekłada je na konkretną sytuację swojej rodziny.

KT: Najczęściej, kiedy mówi się o korzyściach płynących z polskiego członkostwa w Unii, to właśnie mówi się o korzyściach materialnych.

PN-K: Ja nie mam na myśli korzyści tylko materialnych, choć w przypadku Rawy Mazowieckiej te korzyści widać dokładnie, bo tiry już nie niszczą centrum miasta, ale jadą obwodnicą lub nią pojadą za kilka miesięcy czy lat. Nie chodzi mi też o to, że mieszkańiec Brańska wyjechał za granicę i zarobił. Ale chodzi o to, że przestał być skazany na funkcjonowanie w obrębie quasi-feudalnego państwa, jakim był PRL. Był niemal tak samo przypisany do ziemi, jak za najgorszych feudalnych czasów. To poczucie swobody i możliwość podejmowania decyzji są, jak sądzę, bardzo docenione przez współczesnych Polaków, zwłaszcza młodych.

Te propozycje, które się pojawiają, a które przekraczają moją i nie tylko moją zdolność racjonalnego pojmowania polityki, żeby Polska wystąpiła z Unii Europejskiej, mogłyby spowodować wręcz wybuch powstania narodowego. Jeżeli ktoś śmie dzisiaj proponować, że rolnictwo polskie wyjdzie z Unii Europejskiej, to naraża się na bunt chłopski z kosami na sztorc, dlatego że grupy, które były najbardziej straszone negatywnymi skutkami wejścia Polski do Unii, są dzisiaj największymi beneficjentami naszego członkostwa. To jest dowód, jak dalece argumentacja polityków, którzy powinni dbać o swoją przyszłość wyborczą, rozmija się z powszechnymi odczuciami. No, ale to ich sprawa.

KT: Wspomniał pan o wyjazdach zarobkowych za granicę. W mediach i polityce bije się na alarm, że tylu młodych wyjeżdża z Polski. Czy to rzeczywiście jest taka tragedia?

PN-K: Spróbujmy rozróżnić dwa pojęcia. Czym innym jest wyjazd zarobkowy, a szczególnie w celu zdobycia doświadczeń zawodowych czy naukowych, a czym innym jest emigracja. Statystyki jeszcze nie dają nam odpowiedzi na pytanie, czy te setki tysięcy ludzi wyjeżdżają po doświadczenie i zarobek, czy emigrują? Mam nadzieję, że dominować będą wyjazdy zarobkowe.

KT: Przykładem mogą być przysłowiowe już Siemiatycze.

PN-K: Tak. Siemiatycze są świetnym przykładem wyjazdów zarobkowych i korzyści z nich płynących. Tacy pracownicy mają już nawet swoje określenie w statystyce jako „pracownicy komutujący”. Bardzo mądrze brzmi. Oni po prostu dojeżdżają do pracy, z tym że nie wracają każdego wieczoru, a jedynie kilka razy w roku. Przecież tam kursuje niemal tramwaj na linii Siemiatycze – Bruksela. I taka sytuacja nie budzi mojego sprzeciwu, bo i ludzie w Siemiatyczach, i samo miasto ma z tego wymierne korzyści, nie mówiąc, że i mieszkańcy Brukseli mogą szybciej naprawić krany rękami polskiego hydraulika, a nie czekać tygodniami na miejscowego specjalistę. Ma wreszcie korzyść Polska, bo w ogromnej większości ci wyjeżdżający są świetnymi robotnikami, cenionymi, a przez to znakomitymi ambasadorami Polski, zmieniającymi utarte pojęcia o Polsce brudnej i niedouczzonej.

Martwię się natomiast o tych, dla których powodem wyjazdu jest poczucie, że w tym kraju już nic się nie da zrobić, że w Polsce nie da się żyć, że nie chcą na ten kraj patrzeć. Oczywiście ktoś ma prawo tak myśleć, ale to jest groźne.

KT: A gdyby nagle jeden z twórców Unii Europejskiej, Robert Schuman, powstał z grobu i znalazł się...

PN-K: ...w Warszawie, w Alejach Ujazdowskich 37?

KT: Nie, powiedzmy na placu Schumana w Brukseli. Jakby ocenił swój twór sprzed lat?

PN-K: Wolałbym jednak, nieskromnie, żeby pojawił się raczej w naszej Fundacji w Alejach Ujazdowskich, a nie w Brukseli. Tam z pewnością przytłoczyłyby go budynki i instytucje, które współtworzył, ale tak to bywa z twórcami ludzkimi. Doskonale to nie jest, choć w dużym stopniu całkiem sprawne. Schuman był zwolennikiem bardzo spersonalizowanej wizji historii. Uważał, że to ludzie tworzą historię. Dlatego też chętnie zaprosiłbym go do Fundacji noszącej jego imię i nie po to, abyśmy sobie pogadali, On i ja, ale chciałbym, żeby się spotkał z tą młodzieżą, która tworzy Fundację Schumana. Wyobrażam sobie, że na jego ustach pojawiłby się charakterystyczny uśmiech zadowolenia, że oto ma przed sobą nowy zespół ludzi wiernie oddanych idei. Ludzi, którzy nie negocjują ze sobą, ale starają się wspólnie rozwiązywać problem, którzy mają w sobie wbudowane poczucie odpowiedzialności za własne czyny lub za ich zaniechanie.

Często sobie zadaję pytanie, czy nie zostałem obdarzony jakimś szczególnym przywilejem, że od lat mam szczęście mieć do czynienia ze wspaniałą młodzieżą z całej Europy, najpierw w Kolegium w Natolinie, a obecnie z młodzieżą polską (choć nie tylko, bo mamy u nas wolontariuszy z coraz to innych krajów europejskich) w Fundacji Schumana. Ci młodzi ludzie pracują z przekonania i nie dla zysku finansowego, bo go tu nie ma. Mają bowiem głębokie przekonanie, że tworzą historię, że są potrzebni, każdy na swoim odcinku. To jest niezwykle budujące, że są tacy ludzie. I chciałbym, żeby Schuman ich zobaczył i uzyskał potwierdzenie, że jego projekt był projektem mądrym i który nadal ma i także będzie miał w przyszłości swój ciąg dalszy.

Oczywiście chciałbym, żeby ten ciąg dalszy odbywał się z czynnym udziałem Polaków. Mam nadzieję, że zarówno absolwenci Natolina, jak i byli, i obecni pracownicy Fundacji taki czynny udział zapewnią. Oni mają swoje własne, nowe pomysły na Europę, ale są to pomysły

otwarte, dobrze służące naszemu krajowi. Oni są zakotwiczeni w zdobyczach europejskich, w tolerancji i wolności. I gdyby ktoś próbował im te zdobycze zabrać, to gotowi będą pójść na barykady.

KT: Mówił pan o szczęściu w pracy z młodzieżą. A czy czasami uświadamia pan sobie inne szczęście, które mnie i pana spotkało, że jesteśmy pierwszym pokoleniem Polaków, od wieków, które nie doświadczyło, i oby tak było do końca, okrucieństw wojny?

PN-K: Sądzę, że nawet starsi od nas, którzy zetknęli się z wojną, dziś nie uświadamiają sobie do końca tego osiągnięcia, że Polsce nie grozi wojna... ale może się myłę. Natomiast młodzi ludzie pewnie tego w ogóle nie doceniają, bo uważają pokój za stan oczywisty.

To jednak nie ślepy los dał nam szansę na lata bez wojny i nie przypadek sprawił, że dożyliśmy wolnej, demokratycznej Polski. To było wypracowane rękami Wałęsy, Kuronia, Mazowieckiego, Kaczyńskich i setek tysięcy ofiarnych ludzi, którzy postanowili zbuntować się i zaryzykować.

Dzisiaj bunt i ryzyko nie są w cenie i to zmienia nasze myślenie, ale czasami warto się nad wspomnianymi wartościami zastanowić. Ostatnio mieliśmy taką okazję nad grobem Kuronia, gdzie uświadomiliśmy sobie, że potrafiliśmy wykorzystać moment historyczny, kiedy otworzyło się małe okienko. Czasem to było okienko w celi więziennej i przez to okienko wyfrunęliśmy na zewnątrz. I co zrobiliśmy z tą wolnością, co z nią jeszcze zrobimy? Ksiądz profesor Tischner zadawał nam to pytanie, a dziś go brakuje, żeby udzielił aktualnej odpowiedzi.

SPOTKANIE IV

JERZY REGULSKI

Ekonomista i nauczyciel akademicki, senator I kadencji, Kawaler Orderu Orła Białego, od lat osiemdziesiątych organizator badań nad odtworzeniem samorządu terytorialnego, współautor reformy samorządu terytorialnego i koordynator wprowadzania jej w życie, ambasador RP przy Radzie Europy.



Jerzy Regulski, ze zbiorów autora

Jerzy Regulski: Budując koncepcję samorządu, musieliśmy opierać się na doświadczeniach innych krajów, albowiem w Polsce nie mieliśmy możliwości działania władz lokalnych. Nie przenosiliśmy jednak żadnych wzorców automatycznie, ponieważ każdy kraj ma swoją specyfikę, swoją kulturę, świadomość społeczną, położenie geopolityczne i własne problemy gospodarcze. Jednakże trzeba podkreślić,

że historia odbudowy samorządów zaczęła się jeszcze przed 1989 rokiem. Na forum Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”, 12 czerwca 1981 roku przedstawiałem już rozwiniętą koncepcję samorządu terytorialnego. Wtedy, w czasach pierwszej „Solidarności”, odrzuciliśmy panującą uprzednio cenzurę rozważań o samorządzie. Samorząd ze swej natury umożliwia ludziom uczestnictwo we władzy, co było niemożliwe w czasach PRL.

Zanim doszło do pierwszych wyborów samorządowych, myśmy przez dziesięć lat przygotowywali koncepcję istnienia i działania samorządów. Moi koledzy z uniwersytetu i Polskiej Akademii Nauk uważali, że zajmujemy się sprawami absolutnie abstrakcyjnymi. Przecież samorządów w PRL nie mogło być, z powodów oczywistych. Monopartyjny system nie zakładał swobodnego udziału obywateli w podejmowaniu decyzji. Myśmy jednak pracowali i przygotowywali rozwiązania na przyszłość, nie tylko, czego chcemy, ale i jak to osiągnąć, co było znacznie trudniejsze. Dlatego już przy Okrągłym Stole wiedzieliśmy, co trzeba zrobić. Po wyborach 4 czerwca 1989 roku, kiedy opozycja solidarnościowa w pełni obsadziła Senat, mieliśmy możliwość podjęcia inicjatywy senackiej w sprawie samorządu, a później premier Tadeusz Mazowiecki powiedział:

– Pan chciał samorządu, to proszę go stworzyć.

Koncepcję samorządów oparliśmy na wierze, że społeczeństwo potrafi się rządzić, że trzeba odrzucić cały system nakazowy i umożliwić ludziom prowadzenie, na szczeblu lokalnym, polityki rozwoju własnej miejscowości. To oznaczało odrzucenie pięciu monopolu państwa komunistycznego:

- 1) monopolu politycznego – wraz w pierwszymi wolnymi wyborami;
- 2) monopolu jednolitej władzy państwowej – w komunizmie władza była zcentralizowana, nie było podziału władzy; my natomiast, oddając decyzyjność władzom lokalnym, prawo i obowiązek działania według prawa, a nie w sytuacji podporządkowania hierarchicznego,

stworzyliśmy sferę działań publicznych, w które rząd nie mógł ingerować;

- 3) monopolu własności – w ramach komunalizacji mienia przekazaliśmy władzom lokalnym półtora tysiąca przedsiębiorstw państwowych i kilka milionów nieruchomości;
- 4) monopolu finansów – stworzenie niezależnych budżetów samorządowych;
- 5) monopolu administracji – blisko sto tysięcy ludzi zostało w jedną noc przesuniętych z sektora urzędników państwowych do administracji samorządowej.

To były zmiany ustrojowe, które ludzie nie zawsze sobie uświadamiali. Oczywiście nie wszystko udało się od razu. Te fundamentalne zmiany to proces, który trzeba obserwować i modyfikować w ramach potrzeb.

Problem jednak polega na tym, że każda zmiana powoduje natychmiastowy opór tych, którzy na danej zmianie tracą i wobec tego mamy nieustanne konflikty i napięcia. Mamy spór, który nie zawsze wszyscy sobie uświadamiają, między organizacją państwa a organizacją społeczeństwa.

KT: Polska samorządowa czy Polska resortowa?

JR: Czy Polska ma rządzić się w układzie terytorialnym, to znaczy, że ludzie będą się łączyć wokół miejsca zamieszkania, bo tam są realizowane ich podstawowe potrzeby? Czy też państwo ma być zorganizowane w układzie resortowym, co oznacza, że ludzie będą się łączyć wokół miejsca pracy? I to jest podstawowy dylemat. W PRL wszystko toczyło się wokół miejsca pracy. Tam była partia i związki zawodowe. Tam były różne przywileje socjalne, darmowe wczasy, przyzakładowe przedszkola itp.

My chcieliśmy, żeby ludzie byli bardziej przywiązani do miejsca zamieszkania, gdzie realizowane są ich codzienne potrzeby: zakupy, szkoła, rozrywka, niezależnie od tego, czy ktoś jest robotnikiem, profesorem, czy lekarzem.

KT: Ale resorty się bronią, resorty związane z państwem albo z korporacjami?

JR: Oczywiście, bo tu idzie walka o profity polityczne.

KT: I chyba najważniejsza jest konieczność zmian mentalnościowych w samym społeczeństwie?

JR: Naturalnie! Najłatwiej jest zmienić prawo, trochę trudniej przebudować instytucję, w tym instytucję państwa, ale najtrudniej jest zmienić ludzką mentalność. To trwa dziesiątki lat, a nawet całe pokolenia. Ciągłe ludzie w Polsce zbyt mało identyfikują się ze swoją miejscowością, dzielnicą, sąsiadami, ze swoją małą ojczyzną. Najgorszy wróg w Polsce to sąsiad zza płota, niestety!

Na szczęście jest coraz więcej zjawisk integrujących polskie społeczeństwa lokalne. Jest nadzieja!

Zwłaszcza, że dzięki samorządom nastąpiły kolosalne zmiany gospodarcze; szeroko rozwinięty rynek nieruchomości, ogromne inwestycje lokalne. Porównałem kiedyś nakłady na inwestycje wodno-kanalizacyjne dziesięć lat przed reformą i dziesięć lat po reformie i okazało się, że podłączono siedem razy więcej budynków do sieci wodociągowej, a kilkanaście razy więcej wybudowano wodociągów i kanalizacji.

To są zmiany, albowiem osobowość prawna gmin i majątek umożliwiają im dostęp do kredytów bankowych.

KT: Do tego dochodzą fundusze europejskie, właśnie dla samorządów...

JR: Tu budowa infrastruktury ma kluczowe znaczenie. Reforma samorządowa spełniła pokładane w niej nadzieje każdego z nas, ale... żeby było bardzo dobrze, to politycy musieliby zrozumieć do końca jej istotę. Niestety jest upartyjnienie administracji samorządowej. To jest największy hamulec blokujący rozwój Polski. Będę popierał tylko wójta, burmistrza, do którego mam zaufanie. Muszę wierzyć, że on będzie działał w moim interesie, a nie w interesie partii czy innej grupy interesów.

SPOTKANIE V

JERZY BUZEK

Profesor nauk technicznych, Prezes Rady Ministrów, a w latach 2009–2012 przewodniczący Parlamentu Europejskiego, działacz opozycji demokratycznej w PRL, latach 1997–2001 poseł na Sejm III kadencji, wcześniej wybrany w skład prezydium I Krajowego Zjazdu Delegatów „S” w Gdańsku, a w drugiej został przewodniczącym prezydium zjazdu.



Jerzy Buzek,
ze zbiorów autora

KT: Ponieważ ja również, jak profesor, byłem w prezydium zjazdu, siedzieliśmy tamże obok siebie. Pamięta pan tamte czasy?

Jerzy Buzek: Jak mało co w życiu! Pamiętamy obaj tę abstrakcyjną wiarę i nadzieję, że Polska będzie krajem wolnym, że kiedyś będziemy w NATO i ówczesnej Europejskiej Wspólnocie Gospodarczej, obecnej Unii Europejskiej.

KT: Nie przypominam sobie aż tak daleko idących marzeń. Nam się takie cuda nawet nie śniły. Pragnęliśmy, co najwyżej, wyjścia z bloku sowieckiego.

JB: Wiedzieliśmy, że jesteśmy w Europie, która była nie tak daleko. Nieco ponad trzysta kilometrów od naszej zachodniej granicy była Republika Federalna Niemiec, a za morzem była Szwecja i należeliśmy do tego samego kręgu kulturowego...

KT: A od Bałtyku po Tatry stacjonowały wojska Układu Warszawskiego...

JB: Niestety, więc marzyliśmy i czekaliśmy, aż się te marzenia ziszczą, a po drodze przeżyliśmy stan wojenny.

Po dwudziestu latach od upadku komunizmu mamy w Polsce dwa pokolenia. Jedno – pamiętające tamten system i mające świadomość, że żyjemy w pięknym kraju pomimo wielu społecznych i gospodarczych słabości, pomimo politycznych zawirowań. Drugie zaś – albo nie pamięta zupełnie tamtych czasów i pustych półek w sklepach, albo urodzili się już po 1989 roku. Dla nich normalnością jest wolność, wolne media, dla nich świat stoi otworem, a dla nas to samo jest ciągle powodem do radości, do wzruszeń, kiedy sięgamy do przeszłości. My także rozumiemy konieczność stawiania czoła nowym wyzwaniom. Nikt nam niczego nie daje, nie przynosi na tacy. Nie ma już, jak za komuny, wczasów FWP (Fundusz Wczasów Pracowniczych). Możemy więcej zdobyć, ale wolność łączy się z większą odpowiedzialnością...

KT: ...i większą inicjatywnością...

JB: Co czasami stanowi problem dla starszych, ale nie dla młodych, którzy są bardziej przebojowi. Oni poznają, lepiej lub gorzej, jedynie na lekcjach historii, to, co poprzednie pokolenia przeżywały... wojny, powstania, brak Polski na mapie Europy, wywózki, więzienia, życie w PRL-u. Szczerze mówiąc, dopiero od 1999 roku, od wstąpienia do NATO wiemy, że nie tylko jesteśmy wolni, że mamy stałe granice, że jest potężna siła, która jest w stanie wesprzeć nas w sytuacjach konfliktowych. Oczywiście Polska ma również zobowiązania i wobec NATO, i Unii Europejskiej. Jednakże owa stabilność ma bezpośredni wpływ na rozwój gospodarczy naszego kraju. Wiele spraw wrosło w nasze codzienne życie, w tym rola samorządów lokalnych. Im niżej w strukturze społecznej, tym więcej odpowiedzialności, ale i więcej kompetencji i środków finansowych. Tak powinno być. Jeśli budujemy system pomocniczości, samorządy uzupełniane są przez niezależne organizacje społeczne, aczkolwiek daleko nam jeszcze do ideału. To wymaga wieloletniej edukacji społeczeństwa. Nie da się go wyczulić i zorganizować przez jedno czy nawet dwa pokolenia. Jednocześnie następują wokół nas ustawiczne zmiany wymagające dostosowania, kryzysy gospodarcze lub spowolnienia. Dajemy radę, ale jeśli chcemy pozostać w ekstraklasie, to musimy się bardzo starać.

KT: A nie przeszkadza panu fakt, że my, walczący o lepszą Polskę w 1981 roku w hali Oliwii w Gdańsku, na zjeździe „Solidarności”, wygrywający wybory w 1989 roku, nie potrafimy mówić jednym głosem w sprawach tak zasadniczych, jak na przykład przyjęcie euro? Co się stało z naszą klasą???

JB: Podjęliśmy zasadniczą decyzję, dzięki której Polska stała się krajem wolnym, demokratycznym, z gospodarką opartą o wolnorynkowe zasady. Podjęliśmy, zdecydowaną większością, decyzje o przystąpieniu Polski do NATO (jednogłośnie) i Unii Europejskiej (zdecydowaną większością wyrażoną w referendum). Inne decyzje mogą budzić różne emocje. Oczywiście wejście do strefy euro pomogłoby polskiej

gospodarce i nam wszystkim, ale i bez tego się rozwijamy. Sądzę, że znacznie ważniejsze jest tworzenie bardziej jasnych, mniej zbiurokratyzowanych przepisów niż wejście do strefy euro.

KT: Uproszczenie prawa gospodarczego to pewnie praca na następne dwadzieścia lat wolnej Polski.

JB: Na pewno my, rządzący, nie zrobiliśmy przez pierwsze dwadzieścia lat tyle, ile winniśmy byli zrobić. Natomiast jako naród spisaliśmy się nadzwyczajnie. Wystarczy rozejrzeć się wokół siebie i nawet, jeśli tu i ówdzie nie jest najłatwiej, to zdaliśmy egzamin. Ocena na egzaminie nie jest taka ważna.

SPOTKANIE VI

LESZEK BALCEROWICZ

Profesor nauk ekonomicznych, wicepremier, minister finansów, prezes Narodowego Banku Polskiego, autor reform ekonomicznych w Polsce po 1989 roku.



Leszek Balcerowicz, ze zbiorów autora

KT: Jak się reformuje komunizm?

Leszek Balcerowicz: Skuteczne reformowanie komunizmu czy socjalizmu oznacza całkowite odchodzenie od niego i zastąpienie go gospodarką rynkową i prywatną własnością. To nie było możliwe przez wiele, wiele lat i mało kto się spodziewał, jeszcze w latach osiemdziesiątych, że to nastąpi. Ja też się nie spodziewałem, ale miałem takie

dziwne hobby – interesowały mnie reformy, które poprawiają działanie gospodarki i poziom życia. Dlatego w gronie młodych naukowców Szkoły Głównej Planowania i Statystyki (dzisiejsze SGH) badaliśmy, zastanawialiśmy się, już w latach siedemdziesiątych, co dałoby się poprawić, zmienić w systemie, który wydawał się nienaruszalny.

KT: Takich inicjatyw wówczas było kilka, między innymi Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”.

LB: Konwersatorium skupiało się mniej na problemach gospodarczych, a bardziej na problemach społecznych czy samorządowych. My zaś zastanawialiśmy się, jak, przy założeniu, że system się nie zmieni, wycisnąć z niego trochę więcej gospodarności.

Mówię o tym dlatego, żeby wyjaśnić, dlaczego padło na mnie jako tę osobę w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, która miała jednocześnie przezwyciężyć kryzys gospodarczy i przygotować reformę.

KT: Było to zadanie niewyobrażalne, albowiem wówczas niczego nie można było normalnie kupić, ale też nie było żadnej prawidłowo działającej instytucji gospodarczej. Jak pan to wszystko poskładał w pakiet trzynastu ustaw, które pozwoliły na przejście do gospodarki rynkowej?

LB: To sprawa zespołu i pracy oraz świadomość, że taka chwila zdarza się raz na kilkadziesiąt lat i oznacza przełom w historii Polski.

KT: A nie zderzył się pan z murem komunistycznej czy postkomunistycznej biurokracji, która na ogół jest hamulcem reform?

LB: Na szczęście w Ministerstwie Finansów, którym kierowałem, było wiele kompetentnych osób, młodych absolwentów SGPiS-u, więc dało się z nimi znaleźć wspólny język. Po drugie, jeżeli jest zdeterminowana grupa, która obejmuje strategiczne pozycje, to może wiele zrobić, a myśmy tacy właśnie byli.

Oczywiście było mnóstwo problemów. Polska była nie tylko ogromnie zadłużona w instytucjach finansowych na świecie, ale również mieliśmy wielki dług wewnętrzny, o czym ludzie nie wiedzieli.

Dług wewnętrzny polegał na tym, że dewizy, osobiste konta walutowe świeciły pustkami. Ich nie było, zostały wydane przez poprzednie rządy na import towarów.

W pierwszych daniach mego urzędowania otrzymałem informację, że nie ma finansowania na nic, nawet na najbardziej podstawowe lekarstwa. Musieliśmy zatem zabiegać o pożyczkę pomostową, żeby zapewnić absolutnie podstawowe potrzeby obywateli.

Inflacja wynosiła wówczas dwadzieścia/trzydzieści procent miesięcznie, co było konsekwencją wcześniejszego drukowania pieniędzy.

W tej sytuacji wprowadzane reformy balansowały między absolutnie niemożliwym i śmiertelnie niebezpiecznym, ale były konieczne i stanowiły pewien wzorzec dla krajów postsocjalistycznych.

KT: Ale po roku tych reform nastąpiła ogromna frustracja i pierwsze okrzyki „Balcerowicz musi odejść”.

LB: Z reguły tak bywa w sytuacji trudnych reform, że opinia publiczna niweluje popularność osób odpowiedzialnych za reformy. Podobnie było z panią premier Margaret Thatcher czy z autorem reform w Polsce po I wojnie światowej, Władysławem Grabskim. Wiedziałem o tym, ale zależało mi na tym, żeby wykonać porządną robotę, żeby danej wolności nie zmarnować.

KT: A nie można było tych reform powiązać z pociągnięciami osłonowymi?

LB: Odwrotnie, było ich zbyt wiele. Pierwsze zasiłki dla bezrobotnych generowały bezrobocie, bo można było od razu zostać bezrobotnym, kończąc szkołę. Trzeba to było szybko korygować.

KT: Długo czas był pan w rządzie, ale w końcu pan zrezygnował?

LB: Kiedy byłem przewodniczącym partii Unia Wolności, stworzyliśmy koalicyjny rząd z AWS, ugrupowaniem wywodzącym się ze związków zawodowych. Robić reformy z taką partią to jest duży wyzwanie, ewenement na skalę światową, ale jednak się udało przyspieszyć prywatyzację, wprowadzić reformę emerytalną. W miarę wpływu

czasu uzgodnienia były coraz trudniejsze i w końcu musiałem powiedzieć dość.

Ale... w sumie, po dwudziestu latach Polska ma opinię lidera przemian gospodarczych w regionie i moim zdaniem nie zmarnowaliśmy tych lat, a szczególnie pierwszych lat po odzyskaniu niepodległości.

SPOTKANIE VII

HANNA GRONKIEWICZ-WALTZ

Prawniczka i polityk, prezes Narodowego Banku Polskiego, przewodnicząca Rady Polityki Pieniężnej, wiceprezes Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju (EBOR), posłanka na Sejm RP V kadencji, w latach 2006–2018 prezydent miasta stołecznego Warszawy.



Hanna Gronkiewicz-Waltz, ze zbiorów autora

KT: W 1989 roku była pani skromnym doktorem prawa, nieprawdaż?

Hanna Gronkiewicz-Waltz: Tak.

KT: Po pewnym czasie wskazał na panią Lech Falandysz i powiedział, że będzie pani prezesem Narodowego Banku Polskiego, tak było?

HG: Tak, skrótowo rzecz ujmując, ale od 1989 roku byłam opiniodawcą dla Sejmu i Senatu w sprawach dotyczących ustaw gospodarczych, w tym między innymi tak zwanej ustawy Balcerowicza.

KT: Natomiast funkcję prezesa NBP objęła pani z zadaniem, można rzec, historycznym: denominacji zupełnie oszalałej złotówki.

HG: To było w marcu 1992 roku, a na koniec 1991 roku inflacja wynosiła jeszcze sześćdziesiąt procent, w następnym roku czterdzieści procent. Postanowiliśmy, że z dniem 1 stycznia 1995 roku dokonamy denominacji, czyli obciążenia czterech zer, żeby już nie być milionerami, a jedynie normalnymi śmiertelnikami.

KT: Trochę żal, tak miło było być milionerem?

HG: Może i żal, ale jako prezes NBP miałam kłopoty z czytaniem budżetu wyrażanego w bilionach i w kalkulatorach cyferki się nie mieściły.

Na szczęście denominacja przeszła bezboleśnie i dolar kosztował 2,3 PLN.

KT: Ale przed denominacją była pani pełna obaw, czy owa zmiana się uda?

HG: Ta wymiana kojarzyła się, zwłaszcza starszym ludziom, z denominacją przeprowadzoną w latach pięćdziesiątych, kiedy ówczesne władze partyjne oszukały ludzi. Ludzie dużo stracili. Dlatego trzeba było bardzo dogłębnie tłumaczyć i cały proces prowadzić szalenie otwarcie.

Zresztą media też mi nie pomagały, pisząc o denominacji strachu. Były niekończące się dyskusje, ile zer należy obciążyć, a zgodnie z regułami sztuki winno się obciążyć tyle zer, żeby banknot o najwyższym nominale miał tyle zer, ile średnia płaca, a wówczas wynosiła ona poniżej tysiąca złotych. Krytykowano nawet, że banknoty mają krzywe marginesy. Jednakże wszyscy pokochali złotego i nie chcą się z nim rozstać na rzecz euro.

KT: W istocie szybko zaakceptowaliśmy nowe wartości złotego i pewnie nikt nie potrafiłby dziś powiedzieć, że dzisiejsze 38,50 to dawniej 385 tysięcy.

HG: Z podziwem patrzyłam na starszych ludzi, choćby na moją mamę, która bardzo szybko zapomniała o starych wartościach.

To bez wątpienia jest najbardziej spektakularne osiągnięcie w mojej karierze gospodarczo-politycznej, ale jeszcze ważniejsze było utrzymanie całego sektora finansowego w ryzach, pomimo poważnego kryzysu. To zasługa całej ekipy, która jako jedyna w całym bloku państw postsowieckich przeprowadziła bezboleśnie reformę systemu bankowego. I wreszcie – upłynnienie złotego. Od 12 kwietnia 2000 roku złoty nie był ograniczany tak zwanymi widełkami. Rząd i Rada Polityki Pieniężnej zdecydowały o pełnym upłynnieniu kursu polskiej waluty. Kurs złotówki wobec innych walut będzie odąd ustalany na rynku walutowym.

KT: Przejdźmy do innej ważnej pani roli, prezydenta Warszawy. Pamiętaj pani taki wierszyk z lat szkolnych:

*Jaka wielka jest Warszawa!
Ile domów, ile ludzi!
Ile dumy i radości
W sercach nam stolica budzi!*

*Aż się stara Wisła cieszy,
Że stolica tak urosła,
Bo pamięta ją malutką,
A dziś taka jest dorosła.*

Julian Tuwim „Warszawa” (fragmenty)

HG: Oczywiście, znam na pamięć! Już w pierwszej klasie szkoły podstawowej mówiłam to na akademii z okazji wyzwolenia Warszawy.

KT: A jest Warszawa piękna?

HG: Jest! Ma swój klimat i swój charakter. Może nie ma tylu zabytków, co Rzym czy Paryż. Była wszak zburzona, została odbudowana, a nowoczesna architektura może wejść w miejsca, które pozostały puste po wojennych zniszczeniach. Warszawa tętni życiem.

Myślę, że do najważniejszych zmian należą: uruchomienie pierwszej linii metra, city, które wyrosło na Woli i nie tylko, ogromny rozwój uczelni wyższych, powstanie nowych i nowoczesnych, mniejszych i większych osiedli od Gocławia po Białołękę i od Żoliborza po Wilanów, i jest lepsza komunikacja miejska. Oczywiście jest tłok i korki, jak w każdej stolicy, do której codziennie zjeżdżają do pracy i szkoły dziesiątki tysięcy ludzi z podmiejskich miejscowości.

Warszawa jest już stolicą Europy Środkowej XXI wieku.

SPOTKANIE VIII

ZBIGNIEW BUJAK

Polityk i politolog, działacz opozycji demokratycznej w czasach PRL, poseł na Sejm I i II kadencji, przewodniczył Regionalnej Komisji Wykonawczej Regionu Mazowsze NSZZ „S”. Po wprowadzeniu stanu wojennego uniknął zatrzymania w sopockim Grand Hotelu, pozostawał następnie w ukryciu. Po 1989 roku prezes Głównego Urzędu Cei.



Zbigniew Bujak, ze zbiorów autora

KT: Zbigniew Bujak dla nas, starszych, także działaczy „Solidarności”, pozostał legendą tamtych czasów, ale dla młodszych znaczy tyle, co jakiś przywódca jakiegoś powstania. Dlaczego zatem oddałeś swoją legitymację „Solidarności” na aukcję dobroczynną?

ZB: Tak, oddałem pamiątkową legitymację z czasów stanu wojennego na aukcję na dom dziecka, ponieważ brakowało w nim pieniędzy na wyżywienie.

KT: A podoba ci się dzisiejsza „Solidarność”?

ZB: Nie zapisałbym się. Metody działania związku powinny być zupełnie inne.

KT: Co denerwuje cię w naszej codzienności?

ZB: Między innymi administracja, która powinna być, na wzór brytyjski, mocno wyraziście oddzielona od politycznych wpływów. Tam minister zna swoje prawa i wie, że w bieżących działaniach musi się zdać na fachowych dyrektorów. Minister jest od strategii i lobbingu, a u nas ministrowie rwą się do zarządzania, zupełnie się na danej dziedzinie nie znając.

Denerwuje mnie też wolność bez odpowiedzialności w mediach. Rozpuściły nas pisma podziemne, konspiracyjne, gdzie dominowało dziennikarstwo głębokie, odpowiedzialne, które dawało obywatelom informacje i wiedzę pozwalającą na rzetelną ocenę świata polityki, gospodarki w kraju i na świecie. Dzisiaj media przede wszystkim dają ludziom widowiska, ale to nie jest wiedza obywatelska. Demokracja i wolny rynek niosą całą masę problemów, które trzeba umieć pokazywać i wyjaśniać, a to pociąga za sobą koszty. Trzeba pojechać na miejsce, nagrać, zrobić reportaż – to wszystko kosztuje, a kłótnia dwóch polityków w studiu – nic nie kosztuje, widz zaś ma igrzyska.

KT: Walczyliśmy jednak o wolność, wolne media?

ZB: Nie zrozumiemy wolności, jeśli nie zdamy sobie sprawy, że drugą stroną tego medalu jest odpowiedzialność. Jeśli nie ma odpowiedzialności we mnie jako polityku, jako dziennikarzu, jako obywatelu, to pozostaje czysty egoizm i on nas denerwuje na każdym kroku.

Dziennikarze ekonomiczni znają się na gospodarce, choćby więcej niż mniej, krytycy muzyczni znają się raczej na muzyce, a komentatorzy sportowi na sporcie. Natomiast dziennikarze informacyjni uważają, że znają się na wszystkim. Każdy uważa, że może przygotować program, często nie mając zielonego pojęcia o problemie, który chce przedstawić.

KT: A co cieszy?

ZB: Przede wszystkim to, że jesteśmy w NATO i Unii Europejskiej, która jest dla mnie zagłębieniem wysokiej kultury politycznej. Kiedy byłem prezesem Głównego Urzędu Celnego, to przyglądałem się organizowaniu pracy w takich urzędach w innych krajach UE. Uczyłem się i brałem przykład.

NATO zaś cieszy mnie, bo w „Solidarności” forsowaliśmy walkę bez użycia przemocy, a NATO dzisiaj, mimo posiadania silnej armii, jednak cały czas zabiega o pokój i rozwiązywanie problemów metodami politycznymi. Wejście Polski i innych państw z Europy Wschodniej gwarantuje pokój w tym rejonie świata, a wejście Ukrainy gwarantowałoby spokój jeszcze dalej na wschód. Mimo że Rosja ciągle postrzega NATO jako militarne zagrożenie.

Dlatego jednogłośnie podjęcie decyzji o przystąpieniu do NATO zasługuje na najwyższą ocenę dla wszystkich głosujących polityków. Ta decyzja zmienia po raz pierwszy w historii nasze położenie geostrategiczne. Wyjść spod władzy sowieckiej i znaleźć się w gronie krajów Unii Europejskiej zasługuje również na wielce pozytywną ocenę.

Natomiast krytycznie oceniam możliwości dane obywatelom jako współdecydom i jeszcze bardziej krytycznie – administrację, która nie działa na korzyść obywateli, a raczej przeciwko nim, administrację, która skupia się coraz bardziej na kontrolowaniu obywateli, karaniu obywateli. Przykładem – kioskarka, której wlepiono pięćset złotych mandatu, bo omyłkowo nie wybiła siedemdziesięciu groszy do kasy fiskalnej. Co za sędzina wydała taki wyrok? Toż to skandal!!!

SPOTKANIE IX

WITOLD ORŁOWSKI

Profesor nauk ekonomicznych, wykładowca akademicki, szef zespołu doradców ekonomicznych prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, dyrektor Szkoły Biznesu Politechniki Warszawskiej, główny doradca ekonomiczny przedsiębiorstwa PricewaterhouseCoopers (PwC), autor wielu publikacji naukowych i popularnonaukowych.



Witold Orłowski,
ze zbiorów autora

KT: Panie profesorze, mam przed oczami taki oto obrazek, 5 czerwca 1989 roku, dzień po historycznych częściowo wolnych wyborach, idę ulicą Bracką i na rogu Szpitalnej i Górskiego był (i jest do dzisiaj) sklep Wedla...

Witold Orłowski: ...jeszcze wówczas „Zakłady 22 lipca, dawniej E. Wedel”.

KT: Zgadza się. Przed sklepem długa kolejka, a sklep pusty. Czyż to nie symboliczny obrazek? Dlaczego tak, a nie inaczej wybraliśmy 4 czerwca 1989 roku?

Witold Orłowski: Ekonomiści zwykli patrzeć na dynamikę wzrostu, na szansę rozwoju, ale ówczesny wybór był decyzją odpowiadającą na pytanie, czy wracamy do normalnego świata, w którym w sklepie są towary na sprzedaż, a nie puste, straszące klientów półki i gdzie za pracę dostaje się zapłatę mniejszą lub większą, ale której wartość pozwala na zaspokojenie podstawowych potrzeb.

KT: Za owych czasów krążył dowcip, czym się różni przedwojenny sklep z mięsem od tego za PRL-u? Otóż przed wojną nad sklepem wisiał szyld „Rzeźnik”, a wewnątrz sprzedawano mięso. Po wojnie zaś nad sklepem widniał napis „Mięso”, a w środku stał rzeźnik.

WO: W 1989 roku byłem na stypendium w USA, w Chicago i pojechałem do polskiej dzielnicy, żeby raz w życiu zobaczyć sklep wypełniony smakowitymi polskim wędlinami. Po kilku miesiącach mogłem już podobny obrazek, podobny sklep zobaczyć w Warszawie czy Łodzi.

Trudne do wyobrażenia było nawet, jak szybko owa normalność wróciła, zwykła normalność podstawowych procesów gospodarczych i przywrócenia właściwego znaczenia takim słowom, jak cena, sklep, popyt i podaż.

Co prawda początki wolnego handlu miały miejsce na łózkach rozkładanych na ulicach, wędliny i mięso sprzedawane były prosto z samochodów. I wspominając te procesy, śmiem twierdzić, że zdarzył się cud gospodarczy.

KT: A w którym momencie zaczął się ów cud gospodarczy? Czy zapoczątkowały go reformy ministra Mieczysława Wilczka w 1988 roku, w rządzie premiera Mieczysława Rakowskiego, czy dopiero uwolnienie rynku przez reformy profesora Leszka Balcerowicza?

WO: Gdyby reformy ministra Wilczka nie zostały wprowadzone rok wcześniej, to musiałyby zostać wprowadzone razem z pakietem Balcerowicza, ale chwała wszystkim, którzy podejmowali właściwe decyzje niezależnie od tego, kto rządził w Polsce. Natomiast trzeba stwierdzić, że po to, aby gospodarka zaczęła funkcjonować normalnie, co

nie znaczy dobrze i generując dochody, ale normalnie, potrzebna była masa krytyczna, którą stworzyło dopiero wprowadzenie reform Balcerowicza 1 stycznia 1990 roku. Pierwsze reformy, na przykład uwolnienie cen żywności w lipcu 1989 roku, były źle przygotowane i spowodowały gigantyczną inflację. Najwyższa była w lutym 1990 roku, kiedy to wskaźnik wzrostu cen towarów i usług konsumpcyjnych liczony do lutego 1989 roku wynosił ponad 1183 procent.

KT: Co zatem uważa pan za największe osiągnięcie i największą porażkę?

WO: Największym sukcesem był powrót do normalności szczególnie po roku 1990, mimo gigantycznych kosztów społecznych, a właściwie skumulowanych kosztów gospodarki „socjalistycznej”, których się nie dało uniknąć, które ukazały się w całej pełni, kiedy wdrażano niezbędne reformy. Później, przez dwadzieścia lat zdarzyło się wiele pozytywnych decyzji z wejściem Polski do Unii Europejskiej na czele, kiedy to nasz kraj stał się bardzo atrakcyjny dla zagranicznych inwestorów.

A co poszło źle? Można by wymieniać wiele, bo mądry Polak po szkodziu, ale przede wszystkim na minus zapisałbym to, że skoncentrowaliśmy się na początku lat dziewięćdziesiątych na reformowaniu i liberalizowaniu sektora banków i przedsiębiorstw, zakładając – i słusznie pewnie, że tam tkwią największe problemy odziedziczone po komunizmie, a nie wprowadziliśmy głębokich reform w sferze usług publicznych, na przykład w służbie zdrowia. Pozostały one w formie niewydolnej, nieefektywnej i obecnie bardzo trudnej do zreformowania.

KT: Jaką ocenę wystawiłby pan polskiemu rządowi za minione dwadzieścia lat?

WO: Czwórkę. Mogło być lepiej, ale też mogło pójść znacznie, znacznie gorzej!

SPOTKANIE X

WOLNE MEDIA

Te rozmowy odbyły się w maju 2009 roku z okazji dwudziestolecia powstania pierwszego niezależnego dziennika „Gazety Wyborczej”. Jak po dwudziestu latach ma się wolność mediów, wolność wypowiedzi i czy wolność idzie w parze z odpowiedzialnością za słowo? Jak oceniana jest eksplozja mediów?

O dziwo, piętnaście lat później wiele stwierdzeń pozostało nad wyraz aktualne.

Adam Michnik – działacz opozycyjny, dziennikarz, redaktor naczelny „Gazety Wyborczej”, Kawaler Orderu Orła Białego:

– Oceniam zaistniałe zmiany bardzo pozytywnie. To wielki sukces całej polskiej demokracji, a „Gazeta Wyborcza” dołożyła swój malutki wkład w jej budowę.

Polska po dwudziestu latach jest zupełnie inna, jest krajem, gdzie wszystkie prawa człowieka są respektowane, gdzie nie ma cenzury, a są otwarte granice, gdzie decyzje o naszych losach zapadają w Warszawie, a nie w Moskwie, jest wreszcie krajem, który przynależy do NATO i Unii Europejskiej. Oznacza to, że Polska weszła na taki szlak cywilizacyjny, na którym zawsze była w sensie kulturowym.

My zaś mamy powód do radości i dumy, że „Gazeta” towarzyszyła tym zmianom na taką skalę, na jaką umiała.

Kazimierz Kutz – reżyser filmowy:

– Nie mogę się skarżyć na jakiegokolwiek zakłócenia wolności prasy. Wręcz przeciwnie, uważam, że mediów jest za dużo, a wolność jest zbyt daleko idąca, ponieważ nikt się już nie liczy ze słowami. Należałoby

zatem wzmocnić element odpowiedzialności za słowo, które może być niebezpieczne, które może zabić!

Widzimy, co wyprawiają niektóre partie, zwłaszcza prawicowe, żeby niszczyć przeciwnika. Nie cofają się przed żadnym kłamstwem. Dla mnie przywoływanie „dziadka z Wehrmachtu” jest przykładem złego i bezkarnego wykorzystywania mediów, ale... jednocześnie dowodem na wolność mediów w Polsce. Jesteśmy więc krajem nowoczesnym i europejskim.

(Słowa, którymi pierwotnie Jacek Kurski przed wyborami prezydenckimi w październiku 2005 określił dziadka Donalda Tuska, Józefa Tuska, w wywiadzie udzielonym tygodnikowi „Angora”. Był to element kampanii w wyborach prezydenckich. Kurski miał też powiedzieć: *Z tym Wehrmachtem to lipa, ale idziemy w to, ciemny lud to kupi.*)

Andrzej Wajda – reżyser filmowy, telewizyjny i teatralny, Kawaler Orderu Orła Białego:

– Zmiany w Polsce następują, jak mogą. Bywają wymuszone. Niektórzy chcieliby, żeby było tak, jak było, a tak, jak było, już nie będzie nigdy. Nie może być! Natomiast inni chcieliby, abyśmy już byli znacznie dalej.

Czy ta wypadkowa mnie urządza? Myślę, że jest koniecznością, bo tu idzie nie tylko o zmiany ekonomiczne, ale i mentalności, a o te najtrudniej!

Michał Ogórek – dziennikarz:

– Jest, pewnie, trochę nostalgii za czasami walki i nowego tworzenia, kiedy mieliśmy poczucie, że wszystko, co robimy, jest takie ważne, że od nas, naszego zaangażowania coś zależy. Dzisiaj wiemy już, że niekoniecznie.

Daniel Passent – dziennikarz:

– Wolna prasa spełniła w sumie bardzo dobrze swoją rolę w umacnianiu demokracji, w ujawnianiu różnych fałszerstw, afer, bezceństw czy zbrodni politycznych. Oczywiście media nie są bez skazy. Czasami bywają bezlitosne, czasami niesprawiedliwe w posądzaniu i osądzaniu ludzi, lekkomyślne, coraz bardziej komercyjne i za bardzo przejmujące się swoją demaskatorską rolą, ale dla dziennikarzy nie ma nic lepszego niż wolność prasy.

Agnieszka Holland – reżyser filmowy, telewizyjny i teatralny:

– Wolność to jest nasz obowiązek, poza przyjemnością, radością i szczęściem. A wolność prasy to też duża odpowiedzialność, z której prasa nie zawsze się wywiązuje. Wolność jest arcyważna, ale trzeba pisać prawdę i myśleć o konsekwencjach za słowo, które się przekazuje.

Janina Ochojska – działaczka społeczna, prezes fundacji Polska Akcja Humanitarna:

– Chciałabym, żeby media w Polsce miały misję podnoszenia świadomości społecznej, politycznej czy kulturalnej lub ekonomicznej.

Maciej Wierzyński – dziennikarz:

– Dwadzieścia lat temu mieliśmy nadzieję, że wraz z upadkiem cenzury i kontroli nad prasą, która, w gruncie rzeczy, była w rękach jednej partii – PZPR, będziemy mieli wspaniałe media: nie tylko prasę, ale także interesujące radio i programy telewizyjne. Niestety ta nadzieja się nie spełniła. Mamy wprowadzić bardzo różnorodne media, ale pozostawiają one wiele do życzenia. Bez możliwości oglądania zagranicznych stacji telewizyjnych czy docierania do informacji w Internecie to trudno jest się dowiedzieć, co naprawdę dzieje się na świecie. A czasem z zagranicznych mediów dowiadujemy się więcej o tym, co się w Polsce dzieje.

Aby obronić sens zawodu dziennikarza, należy sprzeciwić się tendencji schlebienia tym najgłupszym spośród odbiorców mediów.

Adam Boniecki – ksiądz, profesor, dziennikarz:

– Oczywiście można się nie zachwycać tą wolną prasą, ale jestem z pokolenia dziennikarzy, którzy pracowali w latach cenzury. Tego się z niczym nie da porównać. Obrzydliwość cenzury, którą żeśmy przeżywali, była tak straszna i absurdalna, że dzisiejsze ograniczenia czy poprawność polityczna wydają się niczym. One zależą od redakcji, od sumienia dziennikarzy, ale nie poniżają do tego stopnia, co za czasów PRL.

Na pewno prasa powinna drażnić, irytować. Czasami mamy oczekiwania, że prasa powinna być jak encykliki papieskie o cechach nieomyślności. Prowokacja jest czasami potrzebna.

Mirosław Chojecki – działacz opozycyjny, wydawca medialny, Kawaler Orderu Orła Białego:

– Faktem jest, że Polska jest krajem demokratycznym, że możemy się spotykać, świętując wolne wybory 4 czerwca, a jednocześnie inna grupa może manifestować swoje niezadowolenie i otwarcie możemy wyrażać nasze poglądy i nikt nas nie ściga i nie wsadza do więzienia. Być może niektórym grupom społecznym jest ciężiej, ale na pewno mamy czym oddychać... wolnością, demokracją, tym, że bardzo dużo zależy od nas, że to my decydujemy, jaki będzie bieg naszego życia. Nie każdemu się wszystko udaje, niestety, ale mam świadomość, że to ja sam jestem kowalem mojego losu i nikt nie może mi niczego nakazywać czy zakazywać, co byłoby niezgodne z prawem.

Marian Terlecki – dziennikarz, były prezes Telewizji Polskiej SA:

– Przekornie powiem, że nastąpiły zmiany na gorsze, albowiem pod koniec lat osiemdziesiątych duża grupa Polaków walczyła bezin-

teresownie o swoje ideały, a potem zaczęło się życie praktyczne, dobre dla społeczeństwa, ale trochę nużące i z wieloma meandrami. Dlatego tamten okres walki jawi się okresem wspaniałym, może też dlatego, że byliśmy dwadzieścia lat młodszy.

Michał Boni – działacz opozycyjny, minister pracy, przewodniczący Komitetu Stałego Rady Ministrów i parlamentarzysta europejski:

– W czerwcu 1989 roku, kiedy przemiany się zaczęły, obowiązywały jeszcze kartki na żywność i brak możliwości wyjazdu za granicę. Właściwie wszystko przez te dwadzieścia lat się zmieniło. Mamy zupełnie inny świat, prawie pięć razy więcej studentów, lepsze wykształcenie, wyjeżdżamy za granicę po nowo budowanych autostradach. Ważniejszy staje się sektor telekomunikacyjny niż węglowy. Idziemy do przodu w światowym tempie. Weszliśmy swobodnie w XXI wiek. Gdyby nie dokonane zmiany, byłibyśmy nadal w klatce. Oczywiście pewne sprawy można było załatwić szybciej i lepiej. Na pewno w niektórych grupach społecznych pozostało poczucie niesprawiedliwości, na pewno nie wyrobiliśmy w społeczeństwie zdolności do współpracy mimo różnic. Za dużo jest wzajemnej niechęci i animozji, a także jeszcze nam bardzo daleko do pełnej sprawności państwa, które nie cieszy się pełnym zaufaniem obywateli. Jest zdecydowanie nadmierna regulacja prawna, tak jakbyśmy nie wierzyli sami w siebie, a wierzyli, że prawo za nas rozwiąże wszystkie problemy. To jest mentalna pozostałość komunizmu. Kiedy władza przestała być totalitarna, to uznaliśmy, że prawo musi być może nie totalitarne, ale w przesadnej regulacji. Ten stan należy zmienić.

Jan Lityński – działacz opozycyjny, parlamentarzysta:

– Nie podoba mi się brak odpowiedzialności za słowo. Nie podoba mi się brak poszukiwania spraw, które powinny nas łączyć. Nie podoba mi się, że nasze dyskusje dotyczą spraw drugorzędnych, a nie

najważniejszych problemów. Ale na szczęście może mi się to nie podobać i mogę o tym głośno mówić i protestować.

Andrzej Halicki – w 1989 roku lider NZS w SGPiS, poseł:

– W 1989 roku był między innymi postulat, by każdy obywatel miał paszport w domu. To było wówczas nierealne, a dziś nawet o tym nie pamiętamy, bo przekraczamy granice na podstawie dokumentu tożsamości i jest to dla nas całkiem naturalne. Do dobrych rzeczy przyzwyczajamy się bardzo szybko, a o złych równie szybko zapominamy. W konsekwencji nie kultywujemy pamięci, nie podkreślamy, jak wiele się zmieniło, a wręcz odwrotnie, dominuje w nas skłonność do ciągłego narzekania.

Andrzej Seweryn – aktor:

– Myślę, że ci, którzy korzystają, a powinniśmy korzystać z wolności, choć nie wszyscy to rozumiemy i nie wszyscy korzystamy, powinniśmy być odpowiedzialni za nią, za to, co mówimy, za to, co czynimy. Powinniśmy więcej myśleć. Mamy obowiązek uzasadnienia korzystania z wolności. Ktoś, kto mówi, że żyje w kraju demokratycznym i wszystko mu wolno, jest po prostu naiwnym dzieckiem. To pojęcie wolności jest szczególnie związane z ludźmi, którzy działają w sferze publicznej: artyści, dziennikarze i politycy oczywiście. Każdej z tych osób dano możliwość, ale i obowiązek zastanawiania się nad tym, co nasza wolność znaczy.

Dla mnie wolność jest związana z odpowiedzialnością za to, co los, zawód i społeczeństwo pozwoliło mi wyrażać. Zrozumiałem, że moja wolność musi być ograniczona wolnością drugiego człowieka!!!

Nic dodać, nic ująć!!!

Na marginesie:

W 2022 roku zachwylił mnie francuski film „Stracone złudzenia” według powieści Honoré de Balzaca. Niebywała historia o manipulacji ludzkim losem, przez tak zwane wyższe sfery Paryża i przez ówczesną „prasę”.

Pochodzący ze zdeklasowanej i zubożałej rodziny poeta Lucien (Benjamin Voisin) nawiązuje romantyczną relację z lokalną arystokratką i mecenaską Madame de Bargeton (Cécile de France). Ów megalomaniak wiezie chłopca aż na ubłocone paryskie ulice, gdzie roi się od takich jak on: utalentowanych, ambitnych, niemających nic do stracenia idealistów. Czekają ich w stolicy dobrze opłacany cynizm albo poetyczne klepanie biedy. Pióro w służbie sówicie opłacanych kalumnii lub pochlebstw, bądź wierność sprzedającej się kiepsko sztuce. – Cytuję za opisem z Filmweba.

Niebywale celna satyra sprzedajności mediów. Nie posiadałem się ze zdumienia, że sto pięćdziesiąt lat temu media były równie sprzedajne, co dzisiaj. Oczywiście dzisiaj jest inaczej, nie tak dosłownie, bardziej elegancko, z hasłami wolności i niezależności na ustach. Jakież to wszystko niezmiennie. Warto zapamiętać.

ROZDZIAŁ OSTATNI

SPOTKANIA BARDZIEJ OSOBISTE I ODROBINĘ SENTYMENTALNE

Na zakończenie proponuję spotkania z ludźmi z różnych okresów mego życia, ludźmi niebanalnymi, którzy stanowili dla mnie, a sądzę, że i dla innych, może nawet dla historii, dużą wartość. Niektórzy z nich obdarzyli mnie przyjaźnią, a niektórych ja obdarzałem szczególną atencją. Z całą pewnością zaś zasługują na to, aby nie przepaść w mroku dziejów.

Ponoć człowiek tak długo żyje, jak długo się o nim pamięta. Zatem pragnę, aby Ci, którzy już odeszli, żyli dalej swoim barwnym życiem, a Ci, którzy żyją, nadal obdarzali mnie swą przyjaźnią.

SPOTKANIE PO LATACH PRZEMIAN

MAREK GÓRSKI



Marek Górski, ze zbiorów autora

Jest z pokolenia tych, którym rok 1989, Okrągły Stół, półwolne wybory i reformy profesora Balcerowicza otworzyły nie drogi, ale autostrady do kariery. Niby nieznani, ale szybko dali się poznać jako przedsiębiorczy młodzi ludzie bez obciążeń słusznie minionej epoki.

Kiedy zapraszałem Marka Górskiego do spotkania w „Godzinie szczerości”, moi współpracownicy wielce powątpiewali w mój wybór. Kto to jest Marek Górski, jakiś prezes jakiejś agencji od promocji inwestycji zagranicznych??? Poza tym on sam z tego samego powodu przez długi czas opierał się zaproszeniu do wystąpienia w programie.

A jednak!!!

Dziś od wielu lat jest znaczącym biznesmenem. Zresztą jak wielu tych z pokolenia, jak ja je nazywam, XXI wieku.

Spotkaliśmy się po ponad trzydziestu latach, w przeddzień wyboru Marka na na prezydenta Konfederacji Lewiatan w kadencji 2025–2028.

Marek Górski: Początek lat dziewięćdziesiątych to był taki czas, kiedy niemal wszystko było budowane na nowo.

KT: I wielu na ten szlak wkroczyło. W jaki sposób ty się na nim znalazłeś?

MG: Miałem już pewne doświadczenie nie tylko teoretyczne, zdobyte podczas studiów na kierunku handel zagraniczny Uniwersytetu Gdańskiego, gdzie pełniłem również funkcję przewodniczącego Samorządu Studenckiego, prezydenta międzynarodowej organizacji AIESEC, prezesa Koła Naukowego Handlu Zagranicznego czy członka Rady Nadzorczej spółdzielni studenckiej Techno-Service. Nie chcę przedstawiać się jako kombatant, ale w tamtym gorącym okresie 1988 roku byłem też uczestnikiem i współorganizatorem strajku solidarnościowego i demonstracji oraz organizowałem na Uniwersytecie spotkania z działaczami opozycji, co pozwoliło nawiązać kontakt między innymi z ludźmi, którzy niewiele później tworzyli rząd pana premiera Jana Krzysztofa Bieleckiego, a czołową postacią był Janusz Lewandowski, minister przekształceń własnościowych, późniejszy eurodeputowany i komisarz. Nie zostałem członkiem żadnej partii, ale po powrocie ze Szwajcarii, gdzie pracowałem w dużej firmie ubezpieczeniowej, przypomniano sobie o mnie i zachęcono do pracy w Ministerstwie Przekształceń Własnościowych. Podjąłem się tego zadania na próbę i na tyle się zaangażowałem, że zrezygnowałem z innej propozycji pracy w Stanach Zjednoczonych.

KT: Nie obawiałeś się, że nie podołasz?

MG: Mam dużą pokorę w odniesieniu do moich umiejętności, ale praca była na tyle wciągająca, że mnie całkowicie pochłonęła. W Ministerstwie dominowali ludzie młodzi, którzy nie mieli doświadczenia pracy w administracji, ale mieli ogromny zapał i mimo wszystko posiadali istotne umiejętności i doświadczenie.

KT: I z pewnością nie mieli nawyków rodem z PRL?

MG: Janusz Lewandowski często podkreślał, że młody człowiek bez obciążeń ma tę zaletę, że nie trzeba go oduczać złych, urzędniczych nawyków, co w niektórych przypadkach okazywało się wręcz niemożliwe. Natomiast młody pracownik z otwartą głową, ale też z pewnym doświadczeniem i wiedzą, nawet jeśli z początku popełni błędy, to szybko wyciągnie właściwe wnioski.

Myśmy zresztą nie byli kompletnymi żółtodziobami. Każdy z tych młodych pracowników miał za sobą już istotne osiągnięcia. Ja przecież pracowałem wcześniej w bankowości w Niemczech, w prywatnej firmie handlu międzynarodowego w Gdańsku i we wspomnianej Szwajcarii plus znajomość języków obcych. To wszystko dawało nadzieję na efektywny start i dalszy rozwój. Dziś z perspektywy minionych trzydziestu czterech lat tym bardziej jestem w stanie docenić odwagę naszych szefów, takich jak wspomniany już Janusz Lewandowski, którzy nam zaufali i powierzyli obowiązki wiążące się z dużą odpowiedzialnością. Zasłużyli na podziękowania i szacunek.

KT: I na jak długo utknąłeś w administracji państwowej?

MG: Na cztery lata. Przez pierwsze dwa lata byłem wicedyrektorem Departamentu Współpracy z Zagranicą i następnie dyrektorem Centrum Informacji w Ministerstwie Przekształceń Własnościowych. Następnie niemal dwa lata pełniłem funkcję prezesa Państwowej Agencji Inwestycji Zagranicznych i to właśnie w tej roli wystąpiłem w „Godzinie szczerości”.

Do biznesu przeszedłem jako wiceprezes międzynarodowej firmy zarządzającej jednym z Narodowych Funduszy Inwestycyjnych,

a później pracowałem jeszcze w dwóch innych firmach polsko-zagranicznych zarządzających prywatnymi funduszami inwestycyjnymi. I wreszcie... w 2001 roku zdecydowałem się przejść „na swoje”.

KT: Dlaczego?

MG: Zdecydowała drzemiąca we mnie od zawsze chęć bycia niezależnym. Poza tym miałem wówczas trzydzieści pięć lat i stosunkowo duże doświadczenie menadżerskie, więc ryzyko było o tyle niewielkie, że gdyby zabrakło szczęścia czy determinacji w budowaniu własnego biznesu, to mogłem wrócić do pracy najemnej jako menadżer w jakiejś znaczącej firmie międzynarodowej.

Na szczęście udało się!

KT: I jesteś spełniony?

MG: Tak, zarówno zawodowo, rodzinnie, jak i środowiskowo. Uważam się za człowieka spełnionego, ale nie osiadam na laurach, ciągle wyznaczam sobie kolejne wyzwania, nie tylko zawodowe. Coraz więcej czasu poświęcam szeroko rozumianej działalności społecznej.

Budowanie własnego biznesu zaczynałem od zera, opierając się na finansowaniu zewnętrznym oraz współpracy z właściwymi partnerami. Początki nie były łatwe, kiedy skończyły się przywileje prezesa dysponującego personelem, sekretarkami i kierowcą. Trzeba było zakasać rękawy i walczyć o zrealizowanie zaplanowanych projektów inwestycyjnych. Nie udałooby się to bez ciężkiej pracy i ogromnej determinacji, ale ostateczny sukces był możliwy przede wszystkim dzięki doskonałej współpracy z moimi partnerami i wspólnikami w biznesie. Ten początek nie był łatwy, bo wiązał się dla mnie i dla mojej rodziny z dużym ryzykiem finansowym. Musiałem bowiem w to przedsięwzięcie zaangażować wszystkie moje środki finansowe, a dodatkowo w tym samym czasie byłem zmuszony też dorabiać w nie lubianych przeze mnie projektach doradczych, aby zapewnić rodzinie środki na przetrwanie, zanim pojawią się pierwsze efekty finansowe inwestycji. Dziś na szczęście mogę patrzeć spokojnie w przyszłość.

KT: Masz za co żyć?

MG: Ja i moja rodzina, ale pieniądze są przede wszystkim elementem tej niezależności, o której wcześniej wspominałem i to też pod warunkiem, że nie zniewalają i nie są jedynym czy nawet głównym celem życiowym. Znam wielu ludzi bogatych, ale bardzo nieszczęśliwych. Pieniądze mogą (choć nie muszą) pomagać, ale nie zapewnią szczęścia, które możemy osiągnąć dzięki rodzinie, przyjaciołom czy środowisku, w którym żyjemy. Mam takie wewnętrzne przekonanie, że zarobione przeze mnie pieniądze nie do końca są moją własnością. Sukces finansowy jest również dziełem przypadku i należy pamiętać, aby ten sukces umieć dzielić z tymi, którzy z różnych powodów mieli w życiu mniej szczęścia i z tego powodu cierpią, mimo że nie byli leniami.

KT: A jakbyś ocenił twoje pokolenie, dynamicznie wkraczające w kapitalizm na początku lat dziewięćdziesiątych?

MG: Nie ma jednej oceny, ale większość ludzi z mojego otoczenia z pożytkiem funkcjonuje w biznesie czy w innych zawodach i dość dobrze wykorzystali szansę, którą mieli na starcie, szansę historycznych przemian. Dzisiaj trudno znaleźć prezesa, czy dyrektora w wieku dwudziestu pięciu, trzydziestu lat, a wtedy było to zjawisko powszechne. Inna rzecz, że wielu młodych zaczyna dziś swoją przygodę w biznesie już w liceum, ale to inne lata i inne możliwości. Niech wykorzystają swoje szanse, tak jak wielu z nas wykorzystało.

KT: A czy w ferworze inwestycyjnym udało ci się zachować czas na granie na fortepianie, wszak oprócz handlu zagranicznego studiowałeś też w szkole muzycznej, co prawda grę na organach, ale też fortepianie?

MG: Z okazji dwudziestej piątej rocznicy ślubu nawet kupiliśmy z żoną wymarzony fortepian.

KT: W to nie wątpię, ale czy grasz?

MG: Gram, ale niestety za mało. Na organach prawie nie mam okazji, ale na fortepianie tak, zwłaszcza przy rodzinnych, świątecznych okazjach, a poza tym moja starsza córka jest śpiewaczką operową, więc bywa, że jej akompaniuję. Na ogół rodzice na koniec pełnią rolę akompaniatora, ale całe życie się do tej roli przygotowujemy i największą radością stają się nie własne sukcesy, ale sukcesy naszych dzieci. Ja mam ich troje i ze wszystkich jestem bardzo dumny.

SPOTKANIE W VALDUC

STANISŁAW GROCHOLSKI

Tu, nieopodal skrzyżowania dróg z Louvain do Wavre i z Brukseli do Liege, w samym sercu Brabancji, leży posiadłość otoczona ogromnym parkiem, pałac Valduc. Jego historia datuje się od XII wieku, choć z tego czasu pozostało do naszych dni już niewiele.

Otóż książę Brabancji Henryk II wraz z małżonką, córką cesarza Filipa ze Szwabii, bardzo pragnęli mieć rodowitego następcę, ale życzenie się nie spełniało. Obiecał tedy książę solennie, że jeśli potomek przyjdzie na świat, wybuduje klasztor. I tak się stało. Wybrał miejsce na swoich włościach nieopodal miasteczka Hamme-Mille, strzeżone od wiatrów północy przez las Meerdaalwoud i wzgórze Świętego Bernarda.

Wybrano zakon cysterek, a córka księcia – Marguerite – wstąpiła do zakonu i została drugą ksieni (przełożoną). Była później znana jako „świętobliwa Małgorzata brabancka”.

Losów opactwa przez prawie sześć stuleci nie zakłóciły żadne zawieruchy, a zakonnice zajmowały się zarówno pracą Bożą, jak i rozwojem swojego gospodarstwa, a że klasztor był otwarty na przybyszów z zewnątrz, stawali tu najmożniejsi w różnych wiekach, między innymi Małgorzata, księżna Yorku, córka króla angielskiego Edwarda IV, Małgorzata Austriaczka ze swoim siostrzeńcem, późniejszym cesarzem Karolem V, a i sam cesarz raczył się w opactwie obiadem 15 października 1525 roku, przy okazji polowania w lesie Meerdaalwoud.

I tak trwało aż do czasów rewolucji francuskiej, kiedy to opactwo zostało zniszczone, a w 1800 roku sprzedane na przetargu. Najdłużej, bo przez trzy generacje właścicielami opactwa była rodzina adwokata Van der Schricka. Jeden z jego sukcesorów, profesor chirurgii na

Uniwersytecie w pobliskim Louvain, baron Cranynck, zbudował na miejscu opactwa obecny pałac.

W 1919 roku posiadłość nabył minister finansów w rządzie Belgii, Albert-Edward Janssen. Po jego śmierci naturalną spadkobierczynią została córka Elżbieta, obecnie Grocholska, primo voto Plater-Zyberk.

W roku 1980 Tadeuszowa Plater-Zyberk wyszła powtórnie za mąż za hrabiego Stanisława Grocholskiego, znanego jej wcześniej kuzyna pierwszego męża, sześćdziesięciosiedmioletniego wówczas kawalera.



Stanisław Grocholski z Krzysztofem Turowiczem, ze zbiorów autora

Staś Grocholski z wyglądu przypominał, jak kto woli, albo polskiego przedwojennego kawalerzystę, albo angielskiego lorda. Wysoki, wyprostowany, z nieodłącznym parasolem.

To pewnie dlatego kiedyś na lotnisku w Londynie przydarzyła mu się zabawna historia:

Stanisław Grocholski: Mimo iż od czasów wojny przebywałem na emigracji, nigdy nie przyjąłem obcego obywatelstwa, posługując się paszportem nansenowskim. Kiedyś, wracając do domu w Londynie, stanąłem jak zwykle w kolejce dla cudzoziemców, wtedy podszedł do mnie angielski „bobby” i powiedział.

– Pan wybrał niewłaściwą kolejkę, sir, pan z pewnością jest Anglikiem, sir.

– Z pewnością, nie jestem! – odparłem.

Trzeba było widzieć jego minę!

Rodzina Grocholskich od XVIII wieku osiedliła się na Podolu. Ich siedzibą były Pietniczany koło Winnicy. Marcin Grocholski był ostatnim wojewodą braclawskim.

W 1918 roku Pietniczany padły ofiarą rewolucji bolszewickiej. Dom spalono, a rodzina znalazła się w wolnej Polsce. Zdzisław Grocholski, ojciec Stanisława, powrócił na Podole z wojskiem polskim w 1919 i 1920 roku, jako cywilny komisarz Wołynia, Podola i Kijowszczyzny. Był także łącznikiem między Naczelnikiem Państwa Polskiego Józefem Piłsudskim i Atamanem Petlurą, szefem rządu Ukrainy.

W okresie międzywojennym, siedzibą rodzinną Grocholskich był Poniatów, w powiecie warszawskim, ale dom spalili najpierw Niemcy, a potem Sowieci.

Stanisław hrabia Grocholski, ukończył najpierw gimnazjum księży Marianów na Bielanach oraz Wydział Prawa i Szkołę Nauk Politycznych, zaś służbę wojskową odbył w 12 Pułku Ułanów Podolskich w Grudziądzu.

Wojna zastała młodego Stanisława w polskim konsulacie w Marsylii.

SG: I tak zostałem oficerem granicznym w Marsylii. Przez nasze ręce przeszło sto czterdzieści tysięcy uchodźców z Polski. Blisko rok mnie tam trzymali, a ja chciałem do wojska, które się organizowało we

Francji. Dopiero w maju 1940 roku dotarłem do Paryża, a już 23 czerwca musiałem się ewakuować do Anglii. Tam dostałem się do batalionu, który przybrał nazwę – 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich – przyszłej kawalerii zmotoryzowanej. Zgłosiłem się na „skoczek do kraju”, przeszedłem stosowne kursy, ale niestety nie skoczyłem, bo okazało się, że jestem po prostu za wysoki. Dostałem się za to do oddziału specjalnego zajmującego się pomocą dla polskiego podziemia i Armii Krajowej. No a po wojnie zostałem, jak większość z nas, emigrantem.

Emigracja – emigracją, ale dla pełnego energii hrabiego nie mogło to oznaczać bezczynności. Jeszcze w wojsku organizował młodzież chrześcijańską, a po wojnie działał już pełną parą na niwie politycznej i społecznej. Z jednej strony był to Polski Ruch Niepodległościowy „Niepodległość i Demokracja”, któremu pozostał wierny do jego końca w latach dziewięćdziesiątych, a z drugiej Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii, którego był sekretarzem generalnym, a następnie wiceprezesem. „NiD” grupował wówczas i później znane postacie, jak: Rowmund Piłsudski, Jerzy Lerski, Bolesław Wierzbiański, Jan Nowak-Jeziorański.

Po pięciu latach zgłosił się do pracy jako robotnik w fabryce kartonów, chcąc poznać funkcjonowanie lokalnych związków zawodowych, ale polityka upomniała się o niego ponownie. Wezwano go do Francji, gdzie został sekretarzem generalnym polskiej sekcji „Paix et Liberte”, francuskiej organizacji do walki z propagandą stalinowską. W 1954 roku wrócił do Anglii, zaproszony do organizowania Międzynarodowego Kongresu „Pax Romana” w Nottingham.

To, co zawsze podziwiałem u Stanisława, to jego niebywałą energię, której nie brak mu do dziś, mimo zaawansowanego już wieku. W czasach emigracyjnej „Solidarności” był naszym dynamicznym duchem i przyjacielem.

Zaraz po wojnie współorganizował z Brytyjczykami Anglo-Polish Society, którego był również wiceprezesem, oraz Scottish-Polish Society. W 1948 roku wziął udział w I Kongresie Ruchu Europejskiego w Hadze, w latach pięćdziesiątych był w zarządzie Unii Europejskich Federalistów.

Nade wszystko jednak Stanisław hrabia Grocholski jest po prostu Polakiem, polskim patriotą i określenie to – w jego przypadku – nie brzmi ani na jotę pompatycznie. Był nieco staroświeckim dżentelmenem, może ostatnim „co tak poloneza wodzi”, ale jakże godnym i wspaniałym. Tak jak wspaniałą damą, równie zakochaną w Polsce, równie, a może jeszcze bardziej, energiczną, zawsze pełną uśmiechu, choć niebywale stanowczą, jest jego małżonka, Lolotte pani na Valduc. To dzięki nim pałac jak dawniej tętni życiem, do którego jak przed wiekami zjeżdżają się krewni i wpływowi przyjaciele. A przy wejściu, u powały schodów zawieszony wita ich biały orzeł w koronie.

SPOTKANIE Z ARYSTOKRACJĄ **JADWIGA DRUCKA-LUBECKA**

Księżna Jadwiga Drucka-Lubecka
z mężem Emanuelem de Lantsheere,
ze zbiorów autora



Kiedy zacząłem poznawać polską emigrację w Belgii, zadziwiło mnie, że oprócz powszechnie znanej emigracji zarobkowej z okresu międzywojennego, w kraju tym znalazła swoje miejsce do życia licząca się grupa arystokracji polskiej, reprezentującej najznamienitsze rody: Lubomirskich, Sapiehów, Czetwertyńskich, Plater-Zyberk, Komorowskich, Druckich-Lubeckich (wymieniam nazwiska „pierwsze z brzegu”). Kiedy organizowałem bal polski w Brukseli, na liście obecnych był taki panteon nazwisk, że nie powstydziliby się ich niejeden przedwojenny bal warszawski czy lwowski.

Dlaczego zatem Belgia? Tylko częściowo da się ten fakt wytłumaczyć wyzwalaniem Belgii przez oddziały polskie generała Stanisława Maczka. Sądzę, że głównym powodem jest to, iż ten mały kraj przez dziesięciolecia był łaskawym, tolerancyjnym schronieniem dla emigrantów różnego pokroju. Tu przecież swego czasu znalazł schronienie i Karol Marks, i Joachim Lelewel, i Victor Hugo. Kraj to cichy, pozwalający na spokojne życie i dający możliwości rozwoju.

Tak więc stał się również przystanią dla polskiej emigracji arystokratycznej. I trzeba nie lada znajomości rodzinnych koligacji i powiązań, by się w tym familijnym gąszczu polskich rodowodów rozeznąć i poruszać z wdziękiem. Jednym z przewodników po nim jest bez wątpienia księżna Jadwiga Drucka-Lubecka i jej mąż Emanuel de Lantshere. Ona zajmująca się z upodobaniem genealogią polskich rodów, on szperaniem po historii Polski, Rosji i powiązań politycznych tych krajów szczególnie z Francją i Belgią.

Emanuel de Lantshere: To nieprawda, że historię tworzą masy. Masy są zawsze manipulowane przez zręcznych przywódców, a nimi powoduje czasami przypadek. Przykładów tej tezy dokopałem się wiele. Najlepszy z nich to 14 lipca, zburzenie Bastylli, święto narodowe Francji, początek rewolucji itp. Nic bardziej fałszywego pod słońcem. Bastylia była burzona, bo takie były plany rozwoju miasta. Na jej miejscu miał stanąć pomnik Ludwika XVI. Nic znaczącego historycznie nie wydarzyło się tego dnia. W więzieniu było zaledwie siedmiu więźniów, znakomicie traktowanych. Oto ich menu... jagnięcina, przepiórki, owoce, wyśmienite wino. Sam chciałbym codziennie dostawać takie „więzienne posiłki”...

Nim na dobre rozpocząłem rozmowę, Emanuel zasypał mnie już sporą porcją historycznych faktów, anegdot i przypowieści. Nie dość, że jest nałogowym szperaczem, to jeszcze wybornym gawędziarzem, gładko przechodzącym z tematu na temat. Pasję tę tłumaczę trochę jego dziennikarskie początki. Pracował w prasie, w radio, w telewizji, ale historia nie była jego pierwszym zainteresowaniem. Historia, w pierwszych latach powojennych, tworzyła się na jego oczach. Do czasu, aż na studiach miał wykłady z prawa porównawczego, o konstytucji i strukturach społecznych w Związku Radzieckim.

EdL: To, co mnie wówczas uderzyło, a może pokutuje i po dziś dzień, to to, że politycy nie mieli zielonego pojęcia o historii i uwarunkowaniach rosyjskich. Szczególne zaś moje zainteresowanie budzą stosunki

francusko-rosyjskie od XVIII wieku. Czyż nie jest zastanawiające, że Francuzi, którzy prowadzili wojny z Anglikami, z Niemcami i innymi narodami, zawsze darzyli Rosjan daleko idącą sympatią, chronili się pod skrzydła Katarzyny, na jej dwór pielgrzymowali wielcy epoki oświecenia, tak jak intelektualiści francuscy pielgrzymowali do Moskwy w epoce stalinizmu. Rosja z kolei miała zawsze wielkie wpływy we Francji. Kiedy markiz de Custine opublikował swoje „Listy z Rosji”, rząd carski opłacał prasę francuską, aby pisała, że de Custine pisze bzdury. Nawet Juliusz Verne został oceniony przez ambasadę rosyjską w Paryżu. Jego książka nosiła pierwotnie tytuł „Kurier carski”, ale ambasada wołała, aby tytuł brzmiał bardziej anonimowo: „Michał Strogow”. I tak się stało.

Trudno powiedzieć, czy zainteresowania historią Rosji i Polski spowodowały, że Emanuel wybrał za żonę młodą Polkę, Jadwigę Drucką-Lubecką, czy też odwrotnie, małżeństwo z Jadwigą jeszcze bardziej wzmoгло jego zainteresowania szperaniem po historii Polski. Tak czy inaczej, dwa arystokratyczne rody, belgijski i polski, połączyły się przed czterdziestu laty.

– I tak znosi mnie od czterrhdziestu lat, co dowodzi, że jest aniołem – stwierdza bezceremonialnie księżna Jadwiga ze swoim cudownym francuskim „errrh”.

On pochodzi ze starego flamandzkiego rodu Lantsheere, ona z rodu Druckich-Lubeckich, którego korzenie wywodzą się z Rurykowiczów. On pieczętuje się herbem, u którego podstawy widnieje napis „Rechts ist Land's heere” (prawo jest honorem kraju), który bezpośrednio nawiązuje do nazwiska rodu. Ona pieczętuje się insygniami Druck, opisanymi w herbarzu jak następuje:

Są cztery księżyce jak na nowiu, dwa z jednej strony, jeden nad drugim, rogami do siebie obrócone, z drugiej strony drugie dwa takimż kształtem, między nimi krzyż, nad hełmem mitra książęca,

bo według historyków naszych z książąt Ruskich idą. Roman albowiem książę Włodzimirski i Halicki, między pięciu synów swoich, księstwo Ruskie swoje podzielił, to jest na Mściława, Daniela, Wasilka, Włodzimierza i Michała. Z tych Michał pisał się książęciem Druckim.

Z tegoż to rodu pochodzi Zofia – córka Jędrzeja i siostry księcia Witolda, dziwnie urodziwa. Tę sobie wziął za małżonkę Władysław Jagiełło – Król Polski i z niej spłodził Władysława Polskiego i Węgierskiego i Kazimierza Polskiego, Królów. Od tych książąt Druckich rozmnożone potomstwo, od dóbr, które im się działem dostały, różnych nazwisk nabyli, jako Sokolińscy od Sokolni, Horscy na Horach, Lubeccy na Lubeczu, Ozierzecy na Ozierzach, Podberezcy na Podberezii. Ci wszyscy, krom Podbereskich, którzy własny inny herb mają, tego herbu, jako się tu położył, zażywają.

Atoli z czasem herb uległ pewnej modyfikacji, jako że jeden z książąt bardziej chciał mieć miecz otłuczony rękojeścią, prosto do góry obrócony, niżli krzyż...

Z tego też rodu wywodzi się Franciszek Ksawery Drucki-Lubecki, minister w rządzie carskim, praprapradziad księżnej Jadwigi.

Nikt jednak, kto przypadkiem odwiedziłby dom państwa de Lantshere, nie rozeznałby się w pierwszej chwili, że wkracza do domu tak uhonorowanego tytułami. Państwo mieszkają bowiem w dość prostej proboszczówce, ukrytej nieco za kościołem parafialnym w Houdremont. Sama zaś miejscowość jest dość głęboko w Ardenach położona. Musiałby się zatem najpierw ów gość uważnie po ścianach porozglądać, by dostrzec portrety i insygnia antenatów, albo też być zaproszonym do pokoju Pani lub Pana, wypełnionych historią, zapisaną w księgach, manuskryptach i dokumentach.

Po jednym wszakże od progu mógłby rozpoznać, że to dom staropolski z dobrymi tradycjami – po gościnności gospodarzy, którzy

każdego podejmują i dobrym obiadem, i dobrym winem, i własnymi wypiekami, a i kieliszek koniaku do kawy się znajdzie.

Jadwiga Drucka-Lubecka: Poprzednio mieszkaliśmy w Brukseli, mamy sześcioro dzieci, pięciu synów, w tym dwóch bliźniaków, i jedną córkę, ale poza tym w naszym domu przebywało, wychowywało się przez te wszystkie lata kilkanaście sierot niechcianych przez nikogo. Dawaliśmy im przygotowanie do życia i po dziś dzień mam z nimi kontakt i po dziś dzień nazywają mnie swoją matką. Ja zresztą przyrzekłam Bogu, że jeśli nie wyjdę za mąż, to oddam się całkowicie pracy społecznej i założę dom dla opuszczonych sierot. Wysłałam za mąż, sierocińca nie założyłam, ale sierotami opiekowałam się, jak tylko mogłam, a społecznie działałam zawsze. A już to w organizacjach charytatywnych, a już to w organizacjach polonijnych. I tak się jakoś składało, że zawsze posyłano mnie tam, gdzie było najtrudniej, „gdzie diabeł nie może, tam Hecię (tak na mnie wołają w rodzinie) pośle”.

Pan domu, mimo iż pracował zawodowo, też od pracy społecznej nie stronił. Był aktywny między innymi w Czerwonym Krzyżu, w organizacji belgijsko-polskiej noszącej imię Lelewela. Po dziś dzień zresztą państwo de Lantsheere są nad wyraz aktywni. On pisuje artykuły o Polsce, bierze udział w konferencjach historycznych i szpera, i szpera, i wyszukuje. (Przykład z ostatniej chwili: tygodnik „Le Soir Illustré” w relacji z podróży Papieża do Jerozolimy, pod zdjęciem dał podpis „Papież z kraju, który wymyślił Oświęcim”. Lapsus czy zamierzona obraza. Tak czy inaczej, Emanuel natychmiast wystosował list protestacyjny do redakcji. Oburzenie było wielkie.)

Hecia pasjonuje się natomiast badaniami genealogicznymi, a oboje mają zawsze czas na bywanie na niemal wszystkich polskich i nie tylko polskich imprezach w Brukseli, mimo że mieszkają sto kilkadziesiąt kilometrów na południe od stolicy. W sali jadalnej za lustrem zawsze zatkniętych jest kilka zaproszeń.

I co ważne, że mimo rozlicznych aktywności i pasji, nie zagubiła się w tym domu rodzinność. W każde święta spotykają się wszyscy: synowie, synowe, córka, zięć, wnuki. Dzieci nie mówią prawie lub słabo po polsku, ale wnuki zaczynają coraz częściej odzywać się do babci w jej ojczystym języku. W Belgii mieszkają też dwie siostry Jadwigi, madame Pierre de Sejournet i mademoiselle Teresa Drucka-Lubecka.

Ich swoistym marzeniem jest powrót do rodzinnego majątku w Bałtowie pod Ostrowcem Świętokrzyskim. Dwór, który Druccy musieli opuścić w 1944 roku i z którego rozpoczęli tułaczkę po świecie, stoi jak stał. Kiedyś była tam szkoła rolnicza, a dziś dwór czeka.

– Kiedy byliśmy tam ostatnio z wizytą, wszyscy, którzy nas pamiętali, witali nas niezwykle gościnnie, snuliśmy niekończące się wspomnienia – wspomina Hecia, a Emanuel potwierdza jej wspomnienia.

Czy kiedyś wrócą?

SPOTKANIE Z MISTRZEM **WŁODZIMIERZ LUBAŃSKI**

Wywiad opublikowany w tygodniku „Viva” 16 czerwca 2000 roku, nagrany w mieszkaniu Włodka w Lokeren, w Belgii.



Włodzimierz Lubański (po lewej) z Krzysztofem Turowskim, ze zbiorów autora

Jeden z najśłynniejszych polskich piłkarzy występujący na pozycji środkowego napastnika, reprezentant Polski, olimpijczyk.

Wychowanek Sośnicy Gliwice, następnie reprezentował barwy GKS-u Gliwice, Górnika Zabrze (siedmiokrotny mistrz Polski, sześciokrotny zdobywca Pucharu Polski) oraz KSC Lokeren, Valenciennes FC, Stade Quimper i KRC Mechelen. Z reprezentacją Polski zdobył mistrzostwo olimpijskie (1972) oraz uczestniczył w mistrzostwach świata w 1978 roku. Najmłodszy zawodnik i strzelec reprezentacji Polski,

miał wówczas szesnaście lat i sto osiemdziesiąt osiem dni, a także drugi (czterdzieści osiem bramek) spośród najsukuteczniejszych strzelców w historii narodowej kadry za Robertem Lewandowskim.

KT: Co porabia dziś dawny mistrz polskiej piłki nożnej?

Włodzimierz Lubański: Prawie ciągle nie ma mnie w domu, bo nadal zajmuję się piłką. Mam licencję menadżera wydaną przez FIFA, zajmuję się transferami piłkarzy, organizacją meczów, a z tym wiąże się współpraca z firmami reklamowymi i public relations.

KT: Ale pozostałeś wierny Lokeren?

WL: Tak jakoś wyszło. Najpierw miałem kontrakt na dwa lata, potem przedłużono mi do czterech, potem jeszcze do siedmiu. W efekcie miałem już trzydzieści lat, a nadal chciano, żebym grał. W kraju natomiast sytuacja była na tyle niestabilna, że postanowiliśmy pozostać jeszcze trochę za granicą. Po grze w Lokeren dostałem zaproszenie do Francji i znów upłynęło kilka lat. W sumie zrobiło się ich dziesięć i po prostu przyzwyczailem się do życia tutaj, do tutejszego środowiska.

Grażyna Lubańska: Ja musiałam polubić piłkę. Mogłam albo koty drzeć, albo się przyzwycząić. Od czasu do czasu jeżdżę nawet na mecze. Czasami mąż mnie zaskakuje, gdy mówi rano:

– Dzisiaj masz wybór.

To ja myślę, że może pojedziemy do kina albo do teatru. A tu się okazuje, że mogę wybrać pomiędzy meczem Standardu Liege z Brugią a meczem Anderlechtu z Lokeren. W efekcie łapię się nawet na tym, że gdy nikogo nie ma w domu, to sama oglądam mecze w telewizji.

KT: Nim zostałeś menadżerem, próbowałeś/próbowaliście swoich sił w gastronomii.

WL: To wielkie słowa. Po zakończeniu kariery zawodniczej otworzyłem i prowadziliśmy przez trzy lata taką małą tawernę, gdzie po meczu przychodzono na piwo, na drinka, coś przekąsić. Ale to już całkowicie zamknięty epizod w moim życiu.

KT: A w ogóle lubisz kuchnię?

WL: Lubię jeść. Kuchnia jest domeną Grażyny i to domeną bardzo udaną. Najbardziej lubię owoce morza. No i oczywiście dobre wino.

KT: A czym się zajmujesz poza piłką?

WL: Pierwsza jest oczywiście piłka, na drugim miejscu malarstwo, a poza tym mam wiele kotów. Kiedyś mądrzy ludzie zaszczepili mi miłość do malarstwa i ciągle chodzę na wystawy, aukcje, poszukuję dzieł polskich mistrzów. Głównie interesuje mnie Młoda Polska, trochę romantyzm, uwielbiam Malczewskiego, ale tego jest tak mało, że obrazy osiągają zawrotne ceny. Następny kot, no może kotek... to wyścigi konne. Grywam od czasu do czasu, bez większego hazardu, ale lubię wygrywać. Szczególnie jednak pociąga mnie ta niepowtarzalna atmosfera wyścigów. No i wreszcie jest ten kot żywy i najbardziej ulubiony – Munia, biały pers, który po wielu latach pobytu w naszym domu zachowuje się jak wierny pies. Kiedy wracamy do domu, to musi się przytulić, a kiedy czasami dłużej nie ma nas w domu, to i my tęsknimy, i ona tęskni.

KT: Coraz częściej jeździsz też do Polski.

WL: W tej chwili Europa zrobiła się taka mała, że czy jestem dziś w Lokeren, a jutro na Marszałkowskiej w Warszawie, czy w rodzinnych Gliwicach, to prawie nie odczuwam różnicy. Zresztą moja praca jest w dużej mierze związana z Polską, transferuję również zawodników z Polski, ale i z innych krajów, od Ukrainy po Australię.

Niestety polskie piłkarstwo przeżywa kolejny kryzys. Nie mamy sukcesów, a jak nie ma sukcesów, to nie ma zainteresowania, a jak nie ma zainteresowania, to nie ma sponsorów, a jak nie ma sponsorów, to nie ma pieniędzy i kółko się zamyka.

KT: To dlaczego mieliśmy sukcesy w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku?

WL: Bo chcieliśmy się pokazać i robiliśmy wszystko, żeby to osiągnąć. Dzisiaj, wydaje mi się, wielu zawodników zadowala się przeciętnością, tym, że zagra jeden czy drugi mecz w reprezentacji, strzeli dwie

bramki i uważa, że jest w glorii i chwale. Nie ma tego głodu sukcesu, który mu mieliśmy. A do tego ciężko, bardzo ciężko pracowaliśmy, nawet samodzielnie, po treningach. I wreszcie... był Kazio Górski.

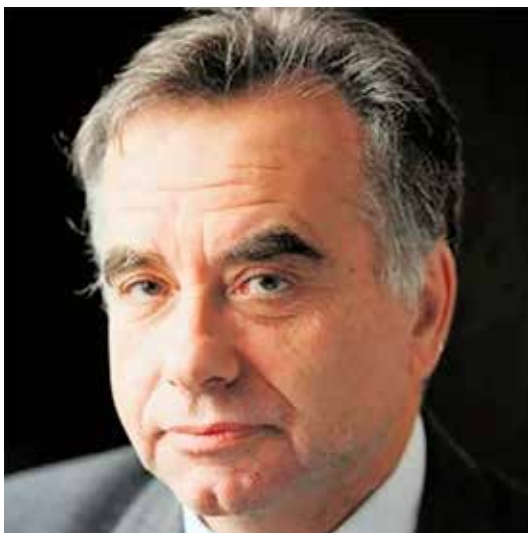
KT: A ty nie chciałbyś być trenerem reprezentacji narodowej?

WL: Byłbym niezłym selekcjonerem. Mam oko i umiem spojrzeć na piłkę, zresztą o tym świadczą moje sukcesy menadżerskie.

SPOTKANIE Z PRZYJACIELEM **KRZYSZTOF OPOLSKI**

Ekonomista, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, kierownik Katedry Bankowości, Finansów i Rachunkowości na Wydziale Nauk Ekonomicznych, specjalizacja: zarządzanie w sektorze publicznym oraz w instytucjach finansowych i przedsiębiorstwach; bankowość i finanse, konkurencyjność i marketing, audyt strategiczny.

Krzysztof Opolski,
ze zbiorów autora



Z Krzysztofem spotykaliśmy się dziesiątki razy. Z tych spotkań powstały cztery książki: „Historia ludzkiej chciwości”, „Po co nam praca”, „Na bank” i „Gra o prawdę, czyli o uczciwości w biznesie”.

Pieniądz jest spiżarnią najszlachetniejszej siły w naturze, bo ludzkiej pracy. On jest sezamem, przed którym otwierają się wszystkie

drzwi, jest obrusem, na którym zawsze można znaleźć obiad, jest lampą Aladyna, za której potarciem ma się wszystko, czego się pragnie. Czarodziejskie ogrody, bogate pałace, piękne królowny, wierna służba i gotowi do ofiar przyjaciele, wszystko to ma się za pieniądze...” – doktor Michał Szuman do Ignacego Rzeckiego w „Lalce” Bolesława Prusa.

KT: Zważ jak wielu filozofów, czy też głoszących różne religie, różne prawdy objawione, na ogół nakłaniali do tego, żeby nie potrzebować więcej, niż się potrzebuje w danym momencie. I to stwierdzenie wcale nie jest „masło maślane”. Oczywiście często praktyka kaznodziei rozmijała się z teorią.

KO: Najczęściej praktyka była odwrotnie proporcjonalna do głoszonych zasad.

KT: Niemniej chciwość, czyli chęć posiadania ponad aktualne potrzeby, jest duchowym ubóstwem.

KO: Chęć posiadania za wszelką cenę. Chcesz zdobyć więcej, niż zjesz dziś albo w przyszłości. Co za tym idzie, chciwość może prowadzić też do marnotrawstwa?

KT: Też.

KO: Następnym elementem chciwości jest zabieranie innym, żeby mieć więcej niż oni.

KT: I tu dochodzimy do wszelkich podbojów. Mogłem żyć w mojej wsi, ale jeśli zdobędę inną wieś, to będzie mi wygodniej, nieważne, że innym będzie gorzej.

KO: Ekspansja jest czynnikiem rozwoju. To nie musi być ekspansja zbrojna. Może być intelektualna.

KT: Ekspansja takowa nie jest groźna, ale czym innym jest ekspansja militarna, według mnie, objaw chciwości w czystej postaci.

KO: Definicja chciwości nie jest, moim zdaniem, taka prosta. Trzeba by wyabstrahować sytuację, w której gromadzenie, podbój jest nie dla

korzyści utylitarnych, ale dla samego zjawiska posiadania więcej. Celem jest posiadanie, a nie potrzeba, gromadzenie nie dla koniecznych zapasów, a dla rozbudowania własnego ego. Jam teraz pan!

KT: Kup więcej... zjedz więcej... miej więcej... niż sąsiad. Sądzę też, że chciwość jest siostrą chytrości i skąpstwa.

KO: Z całą pewnością. Chciwy nie dzieli się z innymi.

KT: A co, twoim zdaniem, legło u zarania ludzkiej chciwości?

KO: Sądzę, że po pierwsze – strach. Bałem się, że mi zabraknie, bałem się, że będzie za mało, bałem się, że nie będzie dostępu. Naturalne gromadzenie przerodziło się w pewnym momencie w chęć posiadania jeszcze i jeszcze więcej.

Po drugie – łatwość dostępu. Przykładem mogą być odkrywcy nowych łądów i tamtejszych bogactw naturalnych, pierwsi odkrywcy kopalń złota czy diamentów.

Po trzecie – swoista bezradność czy też bezrefleksyjność: nie wiem, do czego mi się dana rzecz przyda, ale lepiej ją mieć.

I wreszcie – dla pieszczoty mojego ego. Vide: moje bogactwo materialne jest oznaką mojej siły, mojego prestiżu. Z braku walorów umysłowych czy intelektualnych moje ego zaspokajane jest przez posiadanie. Góra bogactwa dowodzi, że jestem lepszy niż inni, jestem super zapobiegliwy, wielce przewidujący, jednym słowem genialny.

KT: Tak czy inaczej nurtuje mnie pewien dylemat ekonomiczny polegający na tym, że jak nie rośnie konsumpcja, to spadają wskaźniki gospodarcze, zaś wzrost konsumpcji oznacza to, o czym było powyżej, a dodatkowo jest to obciążające dla środowiska naturalnego.

KO: Po pierwsze, nikt nie zakłada nadmiernej i bezmyślnej konsumpcji. Jej wzrost jest wynikiem popytu na wytwarzane dobra, co naturalnie pobudza gospodarkę danego kraju czy regionu. To jest podstawa rozwoju każdego człowieka i całych grup społecznych. Tą drogą powstają wszak nowe inwestycje i nowe rozwiązania technologiczne.

To także wzrost popytu na usługi nie tylko, dajmy na to, hydrauliczne, ale i edukacyjne!

A konflikt z ochroną środowiska? To konflikt między spojrzeniem długofalowym a spojrzeniem i działaniem doraźnym. Owa dbałość o środowisko naturalne i środowisko społeczne rzeczywiście się wymyka. To są koszty, które trudno naliczyć na bieżącą produkcję, ale one są i ciążą coraz bardziej, choćby w nakładach na ochronę naszego zdrowia.

KT: Obecnie jedynym miernikiem rozwoju gospodarczego jest wzrost PKB, czyli produktu krajowego brutto. Słusznie?

KO: Nie ma innego. Były prezydent Francji Nicolas Sarkozy proponował miernik oparty na dobrym samopoczuciu, czyli na ocenie jakości życia, a nie ilości produkcji. Wymagałoby to znacznie bardziej równomiernego czy – jak kto woli – bardziej sprawiedliwego podziału dóbr i zysków. Wówczas PKB byłby jednym, a nie jedynym miernikiem wzrostu gospodarczego. Póki co to pozostaje jednak w sferze teoretycznych rozważań.

KT: Ciągłe powraca filozoficzno-literackie pytanie: mieć czy być?

KO: Być przez ograniczone i rozsądne mieć! Mieć twórcze, a nie dewastacyjne, mieć nakierowane bardziej na... bardzo się boję tego określenia... sprawiedliwość społeczną.

KT: ...bo to ciągle utopijne określenie...

KO: ...ale gdzieś na horyzoncie winien ciągle majaczyć ów bardziej zrównoważony podział dóbr w zależności od nakładu pracy czy wykształcenia i efektów ekonomicznych.

KT: Piękne, ale na razie pomimo niezwykle dynamicznego rozwoju technicznego i technologicznego bezustannie narzekamy na brak czasu dla siebie. Pęd mający ułatwiać nam życie jest tak duży, że nie pozostawia nam chwili wytchnienia...

KO: Uczymy się żyć w innym technologicznie świecie, co pochłania czas i zmusza do poszukiwań nowych rozwiązań. To powoduje spiralę

ciągłego postępu. Tak było i tak jest, może tylko dzisiaj w większym tempie.

KT: Czy to ma sens?

KO: Czy ciągle niezaspokojone ludzkie aspiracje mają sens? Dodatkowo ów pęd jest napędzany przez nasze lęki i obawy, że zostaniemy w tyle, odpadniemy z pelotonu. Więcej i szybciej da nam zabezpieczenie na przyszłość. Niestety to nie jest prawdą. To największy społeczny FAŁSZ!!!

SPOTKANIE TROCHĘ SENTYMENTALNE

BOLESŁAW BACHMAN

Profesor zwyczajny, technolog żywności i żywienia.



Bolesław Bachman,
ze zbiorów autora

Studia wyższe ukończył w 1936 roku na Wydziale Chemicznym Politechniki Lwowskiej. Piłkarz Pogoni Lwów. W 1939 roku brał czynny udział w walkach z Niemcami. Następnie był internowany w łagrze w rejonie Wołody. W 1950 roku przeszedł do nowo tworzącego się Wydziału Chemii Spożywczej Politechniki Łódzkiej, którego był jednym ze współorganizatorów. Twórca tzw. polskiego calvadosa, wódki o nazwie „Złota jesień”.

Był wieloletnim kuratorem klubu AZS przy PŁ oraz prezesem Zarządu Środowiskowego AZS w Łodzi.

Współzałożyciel Łódzkiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów południowo-wschodnich.

Bolesław Bachman: Proszę spojrzeć na ten zegarek kopertowy marki Omega. Kiedyś się o taki zegarku mówiło, że jest na całe życie. Ja mogę powiedzieć, iż jest zegarkiem co najmniej na dwa życia. Z nim wiąże się jedno z dramatyczno-humorystycznych przeżyć w mojej rodzinie. Ponieważ w dzieciństwie zachwycił mnie jego metaliczny dźwięk, prosiłem ojca, abym mógł się nim pobawić. Ojciec odparł, że go dostanę, ale dopiero po jego śmierci. Pobiegłem więc do matki z zapytaniem, kiedy tatuś umrze. Wywołałem konsternację, ale dowiedziałem się, że nieprędko zegarek przypadnie mi w udziale. Został w moich rękach po 74 latach życia mego ojca. I dzisiaj służy nadal.

Wygodnie jest go mieć przed oczyma w czasie wykładów.

W mojej szufladzie jest moc rupieci. Lata składają się na to, że ciągle ich przybywa, a tak niechętnie ubywa. Samo biurko służy mi w Łodzi już albo tylko 32 lata. Cicer cum caule, ale wszystko jest na swoim miejscu.

Nie często jednak zaglądam do szuflady ze spokojną myślą, wyciągam ją głębiej na siebie i mam w perspektywie cały szereg drobiazgów, na pozór nic nieznaczących, a jednak mających dla mnie duże znaczenie i mówiących ze mną.

O widzi pan takiego maleńkiego misia? Taka maskotka, ale ma mniej więcej tyle lat, co mój syn, czyli ponad trzydzieści. Czasami ozdabiał choinkę, a teraz jest tu ze mną.

A tu, w takiej książeczce, rzadko spotykana naszywka na mundur harcerski z racji dwudziestopięciolecia Związku Harcerstwa Polskiego obchodzonego na zlocie w Spale, w roku 1935. A tu ja na zdjęciu na tymże zlocie. Obok pocztówka z Obchodów Grunwaldzkich w Borysławiu. Takie wydarzenia kształtowały moje dzieciństwo i moją młodość, i takie zamięłowania pozostały do dziś. Stąd moja działalność w Akademickim Związku Sportowym.

Inny drobiazg, który służy mi do otwierania listów, ot, kawałek blaszki emaliowanej z breloczkiem, a mnie przypomina Boże Narodzenie 1939 roku. Wówczas znalazłem się bez rodziny, w kręgu nie zawsze przyjaznych ludzi i w wieczór wigilijny zostałem sam, zupełnie sam. Wściec się można w takim nastroju, zatem włożyłem, co miałem, na siebie i wyszedłem między chaty, między ludzi. Kiedy przechodziłem obok jednej z nich, wybiegło dziewczę, pewnie po chrust do drewnutni, i zobaczywszy mnie, z krzykiem zawróciła do domu. Nie uszedłem jednak kilku kroków, kiedy gospodyni tego domu wybiegła za mną, wołając, że nie uchodzi, abym ich dom ominął. Z niesłychaną radością w sercu przyjąłem zaproszenie i okazało się, że byłem trzecim, który zupełnie nieoczekiwanie znalazł się przy tym wigilijnym stole. Pod choinką wszyscy znajdowali coś dla siebie, to ja znalazłem ten nożyk. Oczywiście, nie musiałem długo się domyslać, jak wyglądał ten aniołek, który mi to ofiarował. Miał niebieskie oczy i bardzo oryginalne blond warkocze. Jeśli gdzieś w świecie żyją potomkowie pani Marii Warteresiewicz czy Reni Romanowskiej, to niechaj wiedzą, że w każdy wieczór wigilijny mam przy sobie ten obiekcik i głowę pełną refleksji.

A tu znaczek z napisem „Ignacy Daszyński”. Był on kiedyś noszony przez członków Polskiej Partii Socjalistycznej, a znalazł się w moich rękach nieprawdopodobnie przypadkowo. Było to któreś z zim podczas okupacji, może w Stryju, a może w Samborze, gdzieś na dworcu kończyła się łapanka, padały strzały, ludzie byli sterroryzowani. A ja wysiadłszy z pociągu, znalazłem się w tym tłumie, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić w obliczu niemieckiego żołdactwa. W pewnym momencie zobaczyłem coś na śniegu o odmiennym refleksie świetlnym. Przycisnąłem to butem, a kiedy już mogłem, wydłubałem ze śniegu ów znaczek. Pewnie któryś z bojowników o wolność albo przypadkowo, albo umyślnie go upuścił.

A w tej szkatułce jest mnóstwo znaczków i każdy z nich coś mówi. To na przykład znaczki Polskiego Związku Szermierczego. Musiałem je zdobywać w ciężkich bojach na planszy.

Albo taka piękna broszura oprawiona w atlas z godłem austriackim, gdzie niejaki pan Michał Suchorowski własnym nakładem wydając, pisał o rodzinie króla Jana III Sobieskiego... niech żyje Franciszek Józef I Habsburg Lotaryn, Wittelsbach Sobieski. I tenże autor opisał, że jest to wiersz poświęcony obrońcom mowy i narodowości polskiej, zdobiony ślicznymi fotografiami narodowcami, oczywiście Sobieskich i Habsburgów. Nie można odmówić owemu autorowi pewnych racji, gdyż pisząc o mowie polskiej, stwierdza, że:

Polska dopóty jeszcze żyje, dopóki żyje jej mowa święta. Gdy zniknie ten zabytek najświętszy słowiańszczyzny, ten skarb nasz najdroższy, ten bohaterski zabytek po ojcach, dziadach i pradziadach naszych, na ten czas Finis Polonia.

Na szczęście mowa polska kwitnie.

A to kotylion z jednego z przedwojennych balów lwowskich. Bal zaczynał się od tego, że wchodzące panie otrzymywały od członków komitetu karneciki, maleńkie miniaturowe karneciki zawierające spis tańców w obowiązującym porządku na tym wieczorze. O powodzeniu danej panny na wydaniu świadczyło to, że natychmiast zjawiali się wokół niej liczni wielbiele i sympatycy, starając się uzyskać wpis do karnetu na dany określony taniec. Karneciki owe stanowiły dla pań niesamowicie miłe wspomnienia. Nierzadko spotykało się wpisy, które często były spełniane, na przykład o treści: „Od dziś za rok”. Natomiast panowie na pamiątkę owych balów otrzymywali kotyliony. Miało to miejsce w okolicach północy, kiedy rozpoczynał się wielki walc kotylionowy, zwany też po prostu Kotylionem. Gromadzone, z czasem stanowiły dla nas, wówczas młodych, bardzo miłe pamiątki. Zachowały się niektóre u mnie do tych czasów. Zwykle wodzirej otrzymywał

jeden z najwspanialszych kotylionów i tylko jemu przysługiwały kotyliony w barwach biało-czerwonych. To ten kotylion.

Byłoby pewną przesadą określić, że byłem pierwszym tancerzem, niemniej pamiętam i takie bale, i takie wieczorki taneczne, na których rozpoczynając pierwszy taniec o godzinie ósmej wieczorem, kończyłem ostatnim tańcem o godzinie ósmej rano. Ten ostatni taniec, biały mazur, bezapelacyjnie kończył całą imprezę. Wtedy zaczynał się moment zabawy i pewnej swobody dla komitetu. W jego skład nigdy nie wchodziły panie, a tylko panowie, a zatem, kiedy już słońeczko świtało, komitet odbywał własne posiedzenie dla odbicia tyłu trudów i znoj, nierzadko zakrapiane alkoholem.

Przy tej szufladzie wracam najchętniej myślami i do czasów, i do ludzi, których już wokół nas nie ma, odeszli! Ale oni tu żyją! Tu się znowu objawiają, tu znowu są ze mną, tu nam współczują, jeżeli trzeba. Tu nam przypominają o tej radości, która jeszcze przeżyta być może. Tu też dają świadectwo temu, że to, co zostało prawdziwie głęboko przeżyte, nic ze swej wartości nie traci, a zyskuje przez to, że na nią nakłada się to wszystko, co nas od tamtych chwil dzieli. Dobre i złe, wiążące się w jakąś ciągłość, niemieszczącą się już w tej szufladzie. Już wzbogaconą o akcesoria i szczegóły, które niosą nasze dni. Niemniej jednak całość tej skromnej przestrzeni może czasem zmieścić historię niejednego życia.

Dla mnie to jest skarbnica mojego, bardzo mojego odczucia tego, co nazywamy patriotyzmem, skarbnicą mojego dobrego życia. Chciałbym też, aby ta szuflada przez swoje szczegóły przemawiała do sumienia, do serca, żeby wiązała najlepsze wartości ludzkie w sobie. Chciałbym, aby nie była tylko moim skarbem.

Chciałbym, aby i nasi potomni znaleźli w życiu taką szufladę i aby stała się, tak jak dla mnie, źródłem dobrego natchnienia, wiary i sił w pokonaniu tego, co im dyktuje obowiązek prawego człowieka.

SPOTKANIE NA POŻEGNANIE



Witaj

Czy to był zły sen, że czas jest kiepskim rzeźbiarzem?

Wiem nie jesteśmy aniołami.

*Cofnąć czas – po co? Niech będzie nowa wiosna
i stary dworzec nadziei.*

*Pogoda na jutro mnie nie interesuje,
jeszcze jedno salto przed zachodem.*

Chcę tylko, abys się mi nie zgubił.

Może coś wodzić nas będzie na pokuszenie?

*Zasady sam na sam będą melodią
między dawnością, a głębokim błękitem oceanu.*

Magda Matraszek-Domańska, autorka tego wyznania, zmarła 17 listopada 2020 roku. Była młodszą koleżanką z naszego I LO im. Mikołaja Kopernika w Łodzi. Dziewczyną, której się nie zapomina, ale trzeba było czekać dziesiątki lat, by los zetknął nas ponownie.

Gdzieś na początku XXI wieku dostałem jej numer komórkowy. Zadzwońłem natychmiast. Spotkaliśmy się po miesiącu.

– To ja – przedstawiłem się nijako.

Magda otworzyła mi drzwi swojego domu położonego na peryferiach Łodzi. Jechałem na to spotkanie w pewnym podnieceniu. W końcu nie widzieliśmy się czterdzieści lat.

Przez kilka chwil zachowywaliśmy się dziwnie. Ona przygotowywała kawę. Coś paplaliśmy, ale oboje nie wiedzieliśmy, o co tak naprawdę chodzi w tym spotkaniu. Potem, siedząc obok siebie na kanapie, oglądaliśmy stare zdjęcia, z których spoglądała młoda, ładna dziewczyna. Na zdjęciach były podpisy: Drogiemu Dyrektorowi – Jadźka i Kochanemu Krzysiu – Madelaine.

– Przepraszam, że się tak na tobie opieram.

– Ależ nic nie szkodzi.

Wydawało mi się, że po raz pierwszy byliśmy tak blisko siebie.

– Właściwie, co nas wtedy łączyło? – spytała – Nic.

– A mnie się wydaje, że trochę się lubiliśmy, czuliśmy do siebie jakąś sympatię – odparłem głupio.

– Myśmy na was patrzyły, na chłopców ze starszych klas, jak na półbogów, a wyście byli okropni, okropni... Ty też.

– Pewnie nadrabiałem miną, bo w gruncie rzeczy byłem zielonym szczypiozem. Chciałem poderwać dziewczyny, ciebie też, ale wydawałaś mi się niedostępna. Pamiętasz te prywatki u mnie?

– Ja nigdy nie byłam u ciebie na prywatce. Ja po prostu byłam u ciebie tylko z tobą. Byliśmy sami. Pamiętam każdy szczegół twego wielkiego pokoju i pamiętam, że nie wiedziałeś, co masz zrobić.

A ja nie pamiętałem, że tak właśnie było. Trochę mi się zrobiło żal i wstyd.

Jednak z każdą minutą atmosfera stawała się cieplejsza. Stawaliśmy się parą nieprzypadkowych, starych przyjaciół. Rozstaliśmy się prawie czule z postanowieniem, że spotkamy się niebawem. Po co?

W drodze powrotnej myślałem tylko o tym spotkaniu. Uznałem, że przeżyłem niesamowite chwile, podniecające, ale nie erotycznie, tylko emocjonalnie, niemal literacko. Od Magdy dostałem tomik jej wierszy z dedykacją: „Dla Krzysia, po latach – Magdalena”.

*Być szczęśliwym przelotnie w paroksyzmach nowych uczuć i odczuć.
Czasami wydaje się, że życie jest gdzie indziej,
a potem wsluchujemy się w nie
i promieniejemy radością istnienia,
pulsujemy uczuciami, których istoty nie poznaliśmy.
Ja walczę o najmniejszą nawet chwilę
i tobie życzę tego samego jednocześnie.
Być sobą w dwóch różnych epokach.
Nadal jest to, co dane mu było czuć kiedyś
i nie chce z tego zrezygnować.
Nie należy roztaczać marzeń, żeby cofnąć czas i żeby go pokonać.
Powroty po latach to wielka przygoda.
Już w młodości trzeba w uważnym skupieniu doświadczać tego,
co niesie świat.
Dzieje się z szaloną szybkością terazniejszość.
Nie trzeba smuć się tym,
że doświadczyło się prawa o kolejnego świtu.
Utwierdzać się w swojej jakości, być młodym i mniej młodym
to najmielsze, co może człowieka spotkać,
jeżeli czuje tę umiejętność doświadczenia szczęścia.
Trzeba pielęgnować to życie powoli z uwielbieniem i walczyć o świat!
Witaj zagubiony – pisała 2 stycznia 2007 roku.*

Przecież ja znałem i wspominałem tylko tę Magdę ze zdjęć. Niczego z tamtych nawet lat nie pamiętałem, żadnego z nią spotkania, żadnej próby romansu, niczego. Moje wspomnienia zostały tylko w wyobraźni. I nagle ta wyobraźnia przybrała czyjeś kształty i jakieś wspomnienia.

– Czy coś we mnie przypomina tamtą? – spytała.

– Twoje oczy – odparłem.

W nich, jedynie w nich, koncentrowała się przeszłość i rzeczywistość.

Po kilku tygodniach dostałem ten wiersz:

Czy to był zły sen, że czas jest kiepskim rzeźbiarzem?

Wiem, nie jesteśmy aniołami.

Cofnąć czas – po co? Niech będzie nowa wiosna

i stary dworzec nadziei.

Nie, Magdo, to nie był zły sen i tak bardzo nie chciałem się zgubić. Spotkaliśmy się jeszcze raz i... Brak mi właściwych słów... Dlaczego tak późno?

I tak powoli zasuwam moją szufladę...